# ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ROK XV. — OGÓLNEGO ZBIORU TOM LIX.

TOM III. — ZESZYT II.

Sierpień.

WARSZAWA.

1890.

DRUK JANA COTTY, W WARSZAWIE.
29 Senatorska, 29

# SPIS RZECZY.





---


*Druk ukończono dnia 4 sierpnia 1890 r.*



# PSYCHOLOGICZNA GENEZA
# „PANA TADEUSZA".

W poezyi Mickiewicza można rozróżnić dwa główne kierunki, odbijające w sobie prądy duchowe współczesnéj epoki. W pierwszym odźwierciedla się duch narodowy polski w najpełniejszym swym rozwoju, w drugim znajdują swój wyraz rozległe dążenia kultury ogólnoeuropejskiéj.

Ale obadwa te kierunki twórczości Mickiewicza są jak pierwiastki chemiczne, wchodzące w skład jednego ciała; dadzą się rozdzielić jedynie za pomocą abstrakcyjnéj analizy naukowéj, w konkretnych swych objawach tworzą jednolitą, samoistną całość, w któréj przejawia się natura indywidualna wielkiego poety.

Wprawdzie, ogólnie biorąc, każdy znakomity poeta jest przedstawicielem swego narodu i swéj epoki, odbija w swéj działalności twórczéj pewne strony życia narodowego i pewne dążenia współczesnéj kultury. Ale u niewielu, nawet pierwszorzędnych poetów żywioły te występują w całéj pełni i we wzajemnéj równowadze; często ustosunkowanie ich nie jest równomierne, zespolenie niedość ścisłe. Niektórzy poeci zamykają się w ciasnéj sferze wyłączności narodowéj (np. Pol, Syrokomla), inni przechylają się zbytecznie na stronę obcych wpływów (np. Trembecki), u innych znów swojskie i obce żywioły nie łączą się organicznie, a niekiedy: w jawnéj pozostają sprzeczności (po części można to zaznaczyć u Słowackiego, a nawet niekiedy u Krasińskiego).

Indywidualność Mickiewicza tém się wyróżnia, iż wszystkie składowe jéj czynniki objawiają się w niezmiernéj pełni i w doskonałém organicznem zespoleniu: duch narodowy, będący głównym jéj żywiołem, znajduje w niéj tak pełny wyraz, jakiego nigdy ani przed tém

ani potém nie osiągnął w żadnym umyśle polskim; prądy europejskie przenikają ją głęboko, ale ulegają zasadniczym przeobrażeniom w zetknięciu z narodową jéj treścią, która przyswaja je sobie i asymiluje odpowiednio do wewnętrznéj swéj natury.

A zarówno pierwiastki ducha narodowego, jak i kultury europejskiéj, rozwijają się w indywidualności Mickiewicza na gruncie niezmiernie bogatéj i wszechstronnéj natury ludzkiéj, zawierającéj w swych właściwościach istotną treść człowieczeństwa.

W skutek takiego ustroju natura indywidualna Mickiewicza odznacza się doskonałą jednolitością i harmonią wewnętrzną, tworzy odrębny, samoistny świat duchowego życia, rozwijający się na podstawie zasadniczych praw psychicznych, ale w kierunku pewnéj, wyłącznéj, sobie tylko właściwéj konsekwencyi. Ta bogata a tak jednolita natura psychiczna, w zespoleniu z potężną siłą twórczego natchnienia, z głębokiém poczuciem prawdy życiowéj i wysoce rozwiniętym zmysłem artystycznym — wytwarza jeden z największych geniuszów poetyckich literatury powszechnéj, który opromienia swym blaskiem całą poezyę polską i zapewnia jéj wybitne stanowisko w szeregu wytworów duchowego życia ludzkości.

Przedmiotem niniejszéj pracy jest jedno tylko, ostatnie w chronologicznym porządku, arcydzieło Mickiewicza; wszelako, zanim przystąpimy do specyalnych nad niém badań, rzućmy okiem na ogół twórczéj działalności poety: krótki przegląd najważniejszych jéj objawów dostarczy nam punktu wyjścia do nakreślenia genezy zajmującego nas utworu.

Twórczość Mickiewicza, podobnie jak wszystkich prawie pierwszorzędnych geniuszów artystycznych, już w początkowych swych objawach daje się poznać w całéj pełni zasadniczych swych znamion. Z wyjątkiem niektórych, na pół dziecięcych poezyi (jak np. „Zima miejska“) we wszystkich prawie młodzieńczych utworach poety, indywidualność jego wyraźnie i stanowczo się zarysowuje.

Najważniejsze z tych utworów, najbardziéj charakterystyczne pod względem indywidualnym są: „Oda do młodości“ i IV część „Dziadów“. W obu tych genialnych poematach rozpoznajemy znamiona bogatéj i bujnéj natury młodzieńczéj, obdarzonéj niezmierną siłą uczucia i wyobraźni, z bardzo wyidealizowanym kierunkiem aspiracyi. „Oda“ daje nam je poznać w zakresie ogólno-ludzkich dążeń, IV część „Dziadów“ w sferze indywidualnych pragnień serca. Mamy tu więc dane pewne zasadnicze rysy natury ludzkiéj, w najbujniejszym rozkwicie jéj sił młodzieńczych. Nigdy pono przedtém poezya nie zdobyła się na tak prawdziwy i typowy wyraz energii i żywotności młodzieńczego

wieku, jaki widzimy w ognistéj „Odzie“, a w niewielu utworach literatury powszechnéj miłość młodzieńcza przemawia taką prawdą i potęgą uczuć, jak w IV części „Dziadów“. Wszelako obok tych ogólnych, wszechludzkich rysów, oba wspomniane utwory zawierają żywioły wyłącznie właściwe otaczającéj poetę sferze społecznéj i narodowéj. W „Dziadach“ widzimy wybujały indywidualizm uczucia, będący wspólną cechą poezyi romantycznéj wszystkich krajów. Ale te prądy europejskie, przenikając do poezyi Mickiewicza, przybierają w niéj odrębny narodowo-polski charakter. Taki nastrój uczuć pozostaje w doskonałéj harmonii z głównemi właściwościami charakteru narodowego, który obcy był zupełnie krytycznym dążnościom wieku i rozwijając się wyłącznie prawie na podstawie bezkrytycznéj wiary, daleki od wszelkiego sceptycyzmu, zwracał się zawsze w kierunku optymistycznéj ufności i nazbyt niekiedy fantastycznych nadziei.

Również i w „Dziadach“ nietrudno wynaleźć cechy narodowe polskie. Krytycy nasi [1]), porównywując Gustawa z pokrewnymi mu kreacyami Rouss'a i Goethe'go, wykazali liczne odrębne jego właściwości. Streszczają się one głównie w przewadze uczucia i wyobraźni nad władzami rozumowemi. U Werther'a i St. Preux (bohatera „Nowéj Heloizy“ Rouss'a) refleksya jest jedną z cech głównych, nie dostrzegamy zaś jéj zupełnie w bohaterze IV cz. „Dziadów“. W tym względzie jest on typem prawdziwie polskiéj natury. W całém życiu społeczeństwa polskiego, zarówno w ciaśniejszych sferach prywatnych, indywidualnych stosunków, jak i w rozległym zakresie faktów dziejowych i cywilizacyjnych, zawsze widzimy tę samą jednostronność w rozwoju psychicznym: wybujałą wrażliwość uczuciową i rzutką fantazyę, obok nader słabego wyrobienia zdolności refleksyjnych i władzy racyonalnego myślenia. Dla tego posiadamy bogatą poezyą narodową, ale nie osiągnęliśmy żadnych donioślejszych rezultatów na polu pracy naukowéj i filozoficznéj. Wszystkie ważniejsze objawy naszych dziejów mają swe źródło w uczuciu i fantazyi; racyonalna myśl w życiu dawnéj Polski stanowi wyjątkowe i sporadyczne zjawisko. Mickiewicz trafnie na inném miejscu powiedział: iż żaden wielki czyn historyi polskiéj nie wyniknął z myśli [2]). Tę właściwość umysłowego rozwoju, stanowiącą główny rys charakteru Gustawa, odnajdujemy również w zasadniczéj idei „Dziadów“, w któréj znajdują swój wyraz najgłębsze przekonania Mickiewicza, dotyczące istotnych celów

---

[1]) Tarnowski—II i IV cz. „Dziadów“, Bełcikowski—Ze stud. nad lit. polsk.: „Gustaw“ i „Werther“, str. 459. Kallenbach, IV cz. „Dziadów“.

[2]) Cours de lit. slave, wyd. par. 1860 r. III, 109.

i zadań życia. Idea ta jest rozwinięciem słynnéj maksymy: miéj serce i patrzaj w serce, apoteozą uczucia, pojętego jako kierownicza i naczelna władza duszy ludzkiéj; wysnutą ona została nie z zasad filozoficznych, lecz z idei chrześciańskich, tradycyi narodowéj, oraz wyobrażeń i wierzeń ludowych.

Podobnie jak wewnętrzna natura psychiczna Mickiewicza i zdolność jego twórcza daje się poznać w młodzieńczych jego utworach w pełni indywidualnych swych znamion. Siła natchnienia, niescigniony polot fantazyi i niezmierna potęga słowa widnieją w „Odzie do młodości“ i w „Dziadach“, a jednocześnie w „Grażynie“ i w kilku mniejszych utworach panuje spokojna rozwaga artystyczna, ujmująca swój przedmiot w harmonijne, wykończone, prawdziwie klasyczne formy. Młody poeta ukazuje nam się w zaraniu swéj twórcości, nietylko jako śmiały przodownik kierunku romantycznego, obalający ciasne formułki poezyi pseudo-klasycznéj, ale również jako znakomity poeta-artysta, który tworzy nieśmiertelnie piękne arcydzieła w duchu prawdziwego klasycyzmu.

W dalszém swém rozwinięciu twórczość Mickiewicza jeszcze ściśléj jednoczy się z duchem narodowym. Ale ta przemiana nie dokonała się nagle; była wynikiem powolnéj, lecz nieustannéj pracy ducha, przyswajającego sobie pierwiastki wpływów zewnętrznych.

Epoka odeska jest fazą przejściową. Namiętne burze ucichły w duszy poety, zapanował w niéj względny spokój, pod którym jednak tlały zarzéwia dawnych płomieni i „hydra pamiątek“ swe szpony w sercu zatapiała. Poezya Mickiewicza w téj epoce jest bardziéj refleksyjna i zbliża się więcéj do realnego życia. W sonetach erotycznych zmysłowość przeważną odegrywa rolę, w „Sonetach krymskich“ panuje byronowski pesymizm, niekiedy odzywają się echa wspomnień miłosnych, złączone z tęsknotą do kraju, wreszcie wspaniale się objawia poczucie piękna przyrody. Spokojniejszy nastrój twórczości pozwala na wyrobienie formy artystycznéj. „Sonety krymskie“ osiągają pod tym względem najwyższą doskonałość: treść myśli i uczuć ujęta w nich w niezrównanie piękne kształty, pełne symetryi, harmonii i wykończenia.

Stanowczy zwrot w rozwoju indywidualnym Mickiewicza widzimy w „Konradzie Wallenrodzie“. Ten wspaniały poemat, znajdując łię na granicy dwóch epok, zawiéra w sobie żywioły jednéj i drugiéj. Dźwięczą w nim jeszcze ostatnie echa pieśni miłosnéj, ale głośniéj rozbrzmiewają wzniosłe akordy hymnu narodowego. Te dwa motywy, sącząc się w jednéj kompozycyi, tworzą czasem dysonans, ale ten dysonans jest tylko przejściem do wyższéj i doskonalszéj harmonii; pier-

wszym jéj objawem jest „Pieśń Wajdeloty“, jeden z najpiękniejszych i najgłębszych utworów Mickiewicza.

Napisany wkrótce po „Wallenrodzie“ „Farys“, stanowi jakby wstęp do nowéj epoki w życiu i dążeniach poety. Podobnie jak płomienny zapał „Ody do młodości“ daje poznać żywotną siłę młodzieńczego wieku, tak przejawiająca się w „Farysie“ siła i dzielność woli zapowiada okres pełnéj dojrzałości męskiéj.

Istotnie geniusz Mickiewicza mężnieje coraz w następujących po „Farysie“ latach: uczucia jego wznoszą się do sfer coraz wyższych, przekonania się umacniają, dążenia otrzymują określony kierunek.

Rozwój indywidualny poety znajduje ostateczny swój wyraz w słynnéj „Improwizacyi“ III cz. „Dziadów“, będącéj szczytem poezyi Mickiewicza i poezyi polskiéj wogóle. W tym wzniosłym hymnie wieszczego natchnienia główne żywioły indywidualizmu Mickiewicza objawiają się w najpełniejszéj mierze. Z jednéj strony niedościgniony zapęd samodzielności ducha ludzkiego, odbijający ogólne aspiracye epoki, z drugiéj najwyższy objaw dążeń narodowych, streszczony w idei powszechnéj miłości i poświęcenia dla dobra ogólnego [1]).

Przekonany głęboko o prawdzie swych idei, nietylko w poezyi, lecz i w realnéj działalności życiowéj, pragnął je poeta urzeczywistnić. Lecz i tutaj daremnie poszukiwał sposobu i dróg właściwych. Nie znalazł ich w ideałach etycznych wieku, nie znalazł téż w dogmatach wiary pozytywnéj. Dążąc nieustannie i wytrwale do osiągnięcia tego co niedostępne było dla możności ludzkiéj, wpadł ostatecznie w smutny obłęd mistycyzmu, który złamał skrzydła jego geniuszu i nazawsze przytłumił wieszczy głos jego liry.

Zanim jednak przyszło do téj fatalnéj ostateczności, bezpośrednio po napisaniu III cz. „Dziadów“, w duszy poety nastał okres wewnętrznego spokoju i wzajemnego zrównoważenia sił psychicznych, a w następstwie tego pełne i wszechstronne rozwinięcie zdolności

---

[1]) Brandes w swoich odczytach o literaturze polskiéj (tł. pols. str. 56) bardzo powierzchowny wyraził pogląd na „Improwizacyą“; zapatruje się na nią ze stanowiska nadzwyczaj jednostronnego. Głębiéj znacznie pojął ją znakomity krytyk niemiecki, Scherr. Przytaczam tu jego dosadne i pełne energii słowa, któremi określa ducha III cz. „Dziadów“ w ogóle, a które oczywiście stosują się bezpośrednio do „Improwizacyi“: „Kühner und gewaltiger hat die slavische, ja die moderne Poesie überhaupt nie sich geoffenbart, als sie es in diesem dramatischen Fragment gethan, und nie hat ein Dichter die Schreie der Wuth und Rache einer zertretenen Nation, den Vorzweiflungsruf der geknechteten und gepeinigten Menschheit mit so furchtbarer Warheit aufdröhnen lassen wie hier Mickiewicz“ (Joh. Scherr. Allg. Gesch. d. Liter. Stuttgart, 1875, II, 377).

twórczéj; wynikiem takiego stanu było najpiękniejsze, najdoskonalsze pod względem artystycznym arcydzieło Mickiewicza—„Pan Tadeusz“.

Arcydzieło to, pełen obiektywnéj prawdy poemat epiczny, pozostaje pozornie w zupełnéj sprzeczności z większością poprzednich utworów Mickiewicza. Gdyby nie „Grażyna“, która przez swoją przedmiotowość i spokój artystyczny jest jakby zapowiedzią „Pana Tadeusza“, możnaby sądzić, iż ten poemat niczém się nie wiąże z przeszłością swego twórcy, iż jest wynikiem zupełnego przewrotu w jego organizacyi poetyckiej. Zresztą „Grażyna“ daje poznać talent epicki Mickiewicza w szczupłym bardzo zakresie i widocznie nie mogła dostarczyć w tym względzie pewnéj wskazówki, skoro taki bystry krytyk jak Mochnacki uważał subiektywizm liryczny za główną cechę talentu jéj autora.

W chwili powstania „Pana Tadeusza“, wielbiciele Mickiewicza nie oczekiwali téż podobnego utworu. Po wzniosłéj, pełnéj wieszczego natchnienia III cz. „Dziadów“, spodziewano się jakiegoś poematu równéj, lub wyższéj może potęgi, zdolnego wstrząsnąć do głębi serca i rozpłomienić je ogniem wielkich idei i uczuć. Sędziwy Niemcewicz, zachęcał Mickiewicza do poematu epicznego w rodzaju Danta [1]).

Tymczasem zamiast hymnu wieszczego, zamiast dantejskiéj epopei, z pod pióra poety wyszła skromna „historya szlachecka“, poemat, trzymany przeważnie w tonie humorystycznym, obraz codziennego bytu naszéj szlachty, ukazujący dawną Polskę, jak się wyraził Wittwicki [2]), z szarego końca, w taratatce zaściankowéj. Dlatego téż w pierwszéj chwili „Pan Tadeusz“ nie znalazł należytego uznania, przyjęty był dosyć chłodno: z wyjątkiem kilku wyższych umysłów, jak np. Słowacki i Krasiński, które odrazu poznały się na jego wartości, ogół poczuł pewne rozczarowanie; nie tego spodziéwał się po wieszczu narodowym [3]).

A jednak już powyższy pogląd na twórczość Mickiewicza pozwala z góry przewidywać, iż ów poemat szlachecki, z całym właściwym sobie charakterem, nie mógł być wynikiem gwałtownego przewrotu w naturze poety, lecz musiał wypływać z konsekwentnego rozwoju jéj znamion indywidualnych. Indywidualność poetycka, tak jednolita, tak logiczna w swym rozwoju, jaką widzimy u Mickiewicza, nie zna nagłych skoków i przerw; każdy poszczególny moment jéj

---

[1]) Koresp. Mick. X, II, 98. — [2]) Przytoczone w dziele dr. Biegeleisena — „Pan Tadeusz“, str. LXXXVI.— [3]) P. Chmielowski, Oceny „P. Tadeusza“ Ateneum, 1885, III, 347.

rozwoju jest wytworem wszystkich poprzednich, i posiada ostateczne swe źródła we wrodzonych jéj właściwościach.

Powyższy rzut oka na twórczość Mickiewicza, okazał nam stwierdzenie tego prawa w zastosowaniu do objawów jéj, poprzedzających „Pana Tadeusza“; zobaczmy o ile daje się ono zastosować do wyjaśnienia ostatecznego jéj zwrotu, z którego wyniknął ten poemat. Poszukiwania w tym kierunku pozwolą nam odnaleźć główne źródła „Pana Tadeusza“, czyli nakreślić jego genezę.

Zwróćmy się przedewszystkiem do zaznaczonych już poprzednio indywidualnych właściwości poety. Wspomniałem wyżéj „Grażynę“, jako utwór pokrewny swym charakterem artystycznym „Panu Tadeuszowi“. Istotnie, pomimo szczupłych swych rozmiarów, ten piękny, pełen obiektywnéj prawdy, obraz z życia staréj Litwy, świadczy wymownie o wysokim talencie epickim Mickiewicza. Gdyby Mochnacki głębiéj wniknął w artystyczne właściwości „Grażyny“, nie wygłosiłby z pewnością tak jedstronnego poglądu na twórczość jéj autora i uznałby w nim nietylko wielkiego liryka, ale również znamienity talent epicki.

Zresztą nietylko w „Grażynie“, ale i w innych utworach Mickiewicza, poprzedzających „Pana Tadeusza“, można dostrzedz główne żywioły uzdolnienia w kierunku epickiéj twórczości. Silne poczucie realnéj prawdy życia, jasność i plastyka obrazów poetyckich, wreszcie niezmiernie rozwinięty zmysł artystyczny, oto niewątpliwie zasadnicze znamiona prawdziwego epika, znamiona, które na każdym kroku napotykamy w poezyi Mickiewicza i w pewnéj mierze odnajdujemy nawet w najbardziéj wybujałych jego kreacyach.

Tak więc we wrodzonych uzdolnieniach twórczych naszego poety zawiérał się niewątpliwie materyał na autora tak obiektywnéj i artystycznie skończonéj kompozycyi jak „Pan Tadeusz“. Ale zachodzi pytanie: jak wyjaśnić sobie ogólny nastrój psychiczny, który pozwolił mu odczuć i odtworzyć z taką prawdą i naturalnością odrębny charakter i właściwości życiowe ogółu szlachty polskiéj? Ażeby wiernie i prawdziwie przedstawić życie w zakresie danéj sfery społecznéj, niedość jest posiadać uzdolnienia twórcze i poczucie prawdy życiowéj, trzeba nadto przejąć się duchem téj sfery, wchłonąć w siebie niejako jéj atmosferę moralną i umysłową.

Śpiéwak „Iliady“ podzielał niewątpliwie pojęcia i uczucia swych bohatérów, wierzył na seryo w bogów olimpijskich i stosunki łączące ich z ludźmi. Podobnie też natchniony wieszcz „Boskiéj komedyi“ pałał szczerym ogniem entuzyazmu religijnego, przenikającego jego pieśni; na równi z całym ogółem współczesnych ludzi odczuwał zape-

wne dreszcz trwogi na myśl o strasznych ogniach piekielnych i zachwyt nadziemski na wspomnienie wiekuistego szczęścia mieszkańców niebios. Poeta bowiem to tylko może przedstawić z głęboką prawdą, co żywo odczuwa i w co silnie wierzy.

Wiele jeszcze innych moglibyśmy odnaleźć faktów dowodzących, iż każdy prawdziwy poeta tworzy zawsze na obraz i podobieństwo swoje. Żeby się zbytecznie nie rozszerzać nad tym punktem, powołam się tylko na świadectwo tak obiektywnego poety jak Goethe, który powiedział, iż w każdéj ze swoich kreacyi pozostawił cząstkę własnéj swéj duszy i że wszystkie jego utwory są fragmentami wielkiéj spowiedzi.

Wprawdzie nie brak kreacyi poetyckich nie związanych żadnym węzłem pokrewieństwa duchowego ze swymi twórcami (np. niektóre poemata epoki pseudo-klasycznéj, lub wiele powieści historycznych czasów obecnych), ale są to po większéj części rzeczy robione sztucznie, bez prawdziwego natchnienia, a co za tém idzie pozbawione wewnętrznéj prawdy uczuć i charakterów. W najlepszym razie tą drogą mogą powstawać utwory znakomite w stosunku do wymagań gustu pewnéj epoki, ale nigdy pomnikowe arcydzieła, którym przeznaczone jest trwać przez wieki i które zachwycać będą jeszcze odległe pokolenia, dla tego, iż w nich sztuka przestała być sztuką a stała się naturą.

Taką jest właśnie sztuka Mickiewicza w „Panu Tadeuszu"; wynika ona nietylko z intuicyi geniuszu, ale również z naturalnéj prawdy uczucia w stosunku do przedstawionego przedmiotu; poeta nietylko artystycznie przejął się jego właściwościami, lecz zżył się z nim realnie, przyswoił sobie istotną treść jego natury wewnętrznéj, czyli stanął na poziomie przeciętnéj umysłowości szlacheckiéj i przybrał nie sztucznie, lecz zupełnie naturalnie ton naiwnego epika i gawędziarza szlacheckiego.

A jakim sposobem taka metamorfoza mogła się dokonać w naturze indywidualnéj Mickiewicza? Jakim sposobem entuzyastyczny kochanek IV cz. „Dziadów", pełen tęsknoty, byronowskiéj tęsknoty pielgrzym „Sonetów krymskich", demoniczny marzyciel „Konrad Wallenrod"; natchniony wieszcz „Improwizacyi": jednem słowem poeta, żyjący pełném życiem epoki wielkich wstrząśnień duchowych, przeniknięty żywiołami niezmiernie złożonéj i wysoce rozwiniętéj cywilizacyi: jakim sposobem taki poeta mógł zniżyć się do poziomu życia, nacechowanego podobnie prostacką naiwnością i podobnie pierwotną kulturą, jak ta, którą widzimy w „Panu Tadeuszu"? Wprawdzie Mickiewicz i w poprzednich swoich utworach jest wiernym przedstawicielem kultury i umysłowości polskiéj, ale tam wyobraża

on idealną jéj treść duchową, ukrytą gdzieś w głębiach życia narodowego, w „Panu Tadeuszu“ zaś odtwarza samą powierzchnią tego życia, zewnętrzną, dotykalną jego realność i powszednią osnowę. Tutaj oddychamy nie uroczystą atmosferą świątyni ducha narodowego, ale świeżym powiewem pól i lasów rodzinnych; natchniony prorok, który w téj świątyni odkrywał nam tajniki przyszłych losów narodu, zamienia się na wiejskiego gawędziarza, który, oprowadzając nas po błoniach, zaściankach i dworach, opowiada z dobroduszną prostotą i jowialnym humorem dawne dzieje i dawne sprawy codziennego żywota naszych ojców.

Wszelako z tego, co wyżéj powiedziano, nie wynika wcale, aby Mickiewicz w czasie tworzenia „Pana Tadeusza“ miał się wyrzec wyższéj treści swego indywidualizmu, zacieśnić go do szczupłéj sfery powszedniéj umysłowości szlacheckiéj. Taka przemiana byłaby niemożliwa, przeciwna naturze. Autor „Dziadów“ nie mógł się stać takim gawędziarzem, jak Pol lub Rzewuski, nie mógł się zaprzeć swéj przeszłości i tego ducha, który ją ożywiał. Wprawdzie, z powodów, o których niżéj jeszcze powiemy, ograniczył on dobrowolnie swe aspiracye duchowe, zniżył polot swych myśli i uczuć, i przystosował je do sfery powszednich stosunków bytu narodowego, ale zarazem tchnieniem swego geniuszu podniósł i uszlachetnił tę sferę, pogłębił znacznie zasadnicze jéj motywy. „Pan Tadeusz“ nie jest tylko naiwnym eposem szlacheckim obejmuje on szerszy widnokrąg życia narodowego, odtwarza głębsze i bardziéj zasadnicze jego żywioły, niżby to w tego rodzaju kompozycyi było możliwe. Mickiewicz przyswoił sobie wszystkie zasadnicze właściwości naiwnego śpiewaka szlachetczyzny, ale obok nich zachował i te, które należały do istotnych znamion wieszcza narodowego. Zobaczymy poniżéj, w jaki sposób te dwie strony łączą się w jednolitym nastroju twórczym, — tymczasem zastanowimy się nad pierwszą z nich; postaramy się odnaleźć w indywidualnéj naturze poety te właściwości, które go zbliżały do zewnętrznych stron życia narodowego i umożliwiły tak wierne i prawdziwe ich odtworzenie.

Ażeby odtworzyć prawdziwy obraz zewnętrznych stosunków życia, poeta powinien przedewszystkiém posiadać świéże i naturalne poczucie rzeczywistości życiowéj,—powinien brać życie po prostu, zapatrywać się na nie ze stanowiska prostego zdrowego rozumu. Ludzie z wyższym rozwojem umysłowym niezawsze są do tego zdolni: przebywając myślą w sferach idealnych, abstrakcyjnych, często zbyt oddalają się od zwykłéj praktyki życia i utracają jasne i trzeźwe poczucie realnych jéj stosunków. Dlatego téż nie bez pewnéj słuszności

zdrowy rozum poczytywany bywa niekiedy za specyalny przywiléj ludzi prostych bez wyższego wykształcenia, opierających na doświadczeniu osobistém całą swą wiedzę. Prawda, iż w zasadzie rozum zdrowy jest nieodzownym warunkiem każdéj normalnéj umysłowości ludzkiéj: wielcy myśliciele i poeci powinni być przedewszystkiém ludźmi rozumnymi. Atoli różny może być stopień wyrobienia ich rozumów w odniesieniu do realnéj praktyki życia. Słynny psychiatra włoski, Lombroso, w swém dziele „Geniusz i obłąkanie", utrzymuje, iż genialne zdolności łączą się zawsze ze zboczeniami w zakresie władz rozumowych i przytacza liczne na to dowody z życia znakomitych poetów i myślicieli. Jakkolwiek w jego twierdzeniach jest wiele przesady, ale niewątpliwie jest w nich téż znaczna miara prawdy. Istotnie, natura ludzka jest tak niedoskonała i ułomna, iż najczęściéj bujny rozwój wyższych jéj uzdolnień pociąga za sobą naruszenie równowagi zasadniczych władz psychicznych.

Wszelako ten objaw nie jest prawem ogólném. Znajdują się genialne indywidualności, odznaczające się zupełném zdrowiem psychiczném i doskonałą równowagą sił duszy, które łączą w sobie najwyższe i najniższe władze umysłu: umieją ogarnąć spojrzeniem geniuszu niezmiernie rozległe obszary życia, a jednocześnie zdolne są patrzéć jasném i trzeźwém okiem zdrowego rozumu na samą powierzchnię stosunków życiowych, w ciasnéj sferze powszedniego bytu. Z poetów nowożytnych, Goethe i Mickiewicz w najwyższéj pono mierze posiadali tę podwójną zdolność.

Mickiewicz od najmłodszych lat, obok potęgi uczucia, odznaczał się zawsze niezmiernie jasnym i trzeźwym rozumem. Nawet w czasie najwyższych uniesień miłosnych, w epoce „Ody do młodości" i „Dziadów" nietylko wzlatał „w rajską dziedzinę ułudy," ale umiał téż chodzić po ziemi i rozumnie patrzéć na jéj stosunki. Takie usposobienie wspólne mu było z większością Filaretów. Ci młodzi idealiści nie byli ideologami: wznosząc się duchem ponad pospolitość życia, pojmowali i uznawali jego realne wymagania. Świadczy o tém nietylko ich teoretyczny program moralny, nacechowany niezmiernie rozumném i trzeźwém pojęciem zadań i obowiązków życiowych [1]), ale również ich czyny praktyczne, cała późniejsza ich działalność. Zasady Filaretów były zasadami Mickiewicza, on bowiem był ich duszą i głównym przedstawicielem ich dążeń.

W dalszém życiu, w miarę zwiększającéj się sumy doświadcze-

---

[1]) Przytoczony on został przez Odyńca w jego „Listach z podróży", t. IV, Dodatek, str. 410.

nia, władze rozumowe naszego poety coraz więcéj się wyrabiały: wszystkie jego sądy o ludziach i stosunkach, wszystkie czyny i postępki, aż do smutnéj epoki towianizmu, nacechowane są niezmiernie trzeźwym i wytrawnym rozumem. Bardzo charakterystyczny pod tym względem jest list do Czeczota, pisany z Moskwy [1]) w czasie tworzenia „Konrada Wallenroda.“ Mickiewicz, jak wiadomo, żył wtedy w przyjaznych stosunkach z wielu osobami z arystokracyi i inteligencyi rosyjskiéj. Z tego powodu, rozgoryczony samotnością wygnania, a przytém z natury nieco zgryźliwego charakteru, jego przyjaciel wyrzuca mu zapomnienie o dawnych ideałach, zobojętnienie i nieomal przeniewierstwo narodowe. Poeta odpowiada z wielkim spokojem i umiarkowaniem, ale zarazem jasno i stanowczo zbija bezzasadne zarzuty (a o ile one były bezzasadne świadczy „Konrad Wallenrod“). Każde zdanie w tym liście nacechowane zdrowym rozumem: widać z niego, jak realnie i trzeźwo zapatrywał się poeta na swe stanowisko i otaczające stosunki, jak wolny był od niewczesnéj ideologii i szowinizmu narodowego; a obok tego podziwiać można w tym liście znajomość natury ludzkiéj w ocenie pobudek, kierujących zbyt surowym moralistą, oraz pełną dobroci względem nich wyrozumiałość. Można powiedziéć, iż cały ten list jest klasycznie rozumny, wymownie świadczy o doskonałéj równowadze umysłowéj swego autora, o trzeźwości jego sądu, a zarazem niezmiernéj dobroci serca. Te przymioty napotykamy we wszystkich szczegółach życia poety i w całéj jego korespondencyi.

Atoli rozum Mickiewicza, jakkolwiek niezmiernie jasny i doskonale wyrobiony, nie odznaczał się nigdy rozległością swego zakresu, nie wznosił się do szerokich uogólnień i abstrakcyi filozoficznéj; wszystkie jego sądy opiérały się li tylko na doświadczeniu indywidualném, lub téż przekazaném przez żywą tradycyą. Pod tym względem Mickiewicz różni się zasadniczo od Goethe'go. Wieszcz germański miał również wiele poczucia rzeczywistości życiowéj i zdrowego rozumu, sądy swe opiérał przeważnie na doświadczeniu, ale wyniki doświadczenia służą mu zawsze za podstawę do rozległych uogólnień, do głębokich refleksyi rozumowych; twórca „Fausta“ był nietylko wielkim poetą, ale również wielkim myślicielem i poważnym badaczem naukowym. Mickiewicza żadną miarą nie można nazwać wielkim myślicielem; jego zdania i opinie, o ile są czysto racyonalne, okazują zawsze człowieka myślącego rozumnie, lecz poprostu, nie przekraczają nigdy sfery osobistych doświadczeń. Skoro tylko wznosił się do wyższych

[1]) Koresp. Mickiewicza, I, str. 15.

sfer życia umysłowego, powierzał się wyłącznie kierownictwu uczucia i wyobraźni, co wynikało zresztą nietylko z usposobienia, lecz także z uznanéj teoryi psychologicznéj, w któréj, jak wiadomo, rozumowi bardzo podrzędna naznaczona była rola. Stąd, pełen zawsze głębokiéj prawdy w sferze twórczości poetyckiéj, gdzie intuicya natchnienia jest głównym przewodnikiem, wpada nasz poeta w krzyczące błędy w sferze oderwanéj myśli, w któréj nieodzownym warunkiem jest zdolność do racyonalnéj analizy i krytyki.

Weźmy np. kurs literatury słowiańskiéj. Podziwiać w nim musimy genialną intuicyą, z jaką autor umiał wniknąć w treść wewnętrzną objawów literackich i wyobrażanego przez nie rozwoju duchowego, zachwycamy się plastyką w przedstawieniu typów i charakterów dziejowych, mocą, jędrnością i przedziwną werwą wykładu; ale zarazem w zdumienie nas wprawia zupełny brak umiejętnéj krytyki i ścisłości naukowéj, bezpodstawne uogólnienia, dziwaczne, fantastyczne pomysły, prowadzące do błędów, których mógłby łatwo uniknąć bardzo nawet pośredni umysł, przyzwyczajony do oderwanego myślenia i uzbrojony jaką taką metodą naukową. Właściwie cały ten „Kurs“, to nie krytyczno-naukowy obraz rozwoju literatury, lecz wspaniały poemat, epopea duchowa, osnuta na tle rozwoju umysłowego Słowiańszczyzny; wartość jego tkwi nie w prawdzie pojęć racyonalnych, lecz w intuicyjnéj prawdzie uczucia i fantazyi, oraz w plastyce i artystycznych zaletach formy.

We wszystkich opiniach Mickiewicza, dotyczących kwestyi naukowych i społecznych, dostrzedz można ten sam brak racyonalnéj myśli. I tak np. Odyniec opowiada, jak poeta nasz gniewał się na Niebuhr'a i innych badaczy historycznych, którzy swoją krytyką niszczą kwiaty podań ludowych; innym znowu razem wychwalał żebractwo, jako środek, pobudzający w ludziach uczucie miłosierdzia i potępiał nowożytne dążenia do uorganizowania dobroczynności publicznéj i usunięcia żebraniny [1]). Pierwsze z tych zapatrywań daje poznać poetę, odczuwającego głęboko całą piękność podań ludowych, w drugiém znać serce pełne chrześciańskiéj miłości, ale oczywiście, obadwa nie wytrzymują elementarnéj krytyki racyonalnéj i są w całości wytworem wyobraźni i uczucia.

Możnaby jeszcze z życia i pism Mickiewicza przytoczyć wiele innych dowodów, potwierdzających wypowiedziane wyżéj zdanie o naturze jego władz rozumowych; wszystkie dają w nim poznać człowieka rozumnego, ale pozbawionego zupełnie uzdolnień filozoficznych. Rozum

---

[1]) Odyniec, „Listy z podr.“, IV, 61; I, 264.

poety stanowił tylko fundament gmachu jego indywidualizmu; wszystkie wyższe piętra tego gmachu zbudowane były całkowicie z materyałów uczucia i fantazyi. Z tém wszystkiém nie znaczy to, aby władze rozumowe podrzędne miały znaczenie w naturze psychicznéj Mickiewicza; owszem, należą one do zasadniczych żywiołów jego geniuszu. Bez silnego fundamentu żadna wielka i trwała budowla nie może być wzniesioną: bez silnie wyrobionéj podstawy rozumowéj nie może się wznieść gmach prawdziwéj genialności; człowiek pozbawiony zdrowego i jasnego rozumu może być wielkim fantastą, wielkim ideologiem, marzycielem, doktrynerem, ale nigdy wielkim geniuszem.

Poprzednio okazałem, iż cały ustrój psychiczny Mickiewicza, z właściwą mu przewagą uczucia i fantazyi był naturalnym wytworem rozwoju ducha narodowego, — obecnie zobaczymy, iż również władze rozumowe poety, w tym zakresie, jak je wyżéj poznaliśmy, wynikają z zasadniczych znamion narodowego charakteru polskiego.

Niewątpliwie zdrowy, praktyczny rozum stanowił jedną z najwybitniejszych cech dawnéj szlachty polskiéj. Ogólnie bowiem biorąc, jest on władzą organizowania doświadczenia i, jak wszelkie władze umysłu ludzkiego, jest zdolnością wrodzoną, któréj pełne wyrobienie zależy od użycia i wprawy, czyli od ilości realnych wrażeń i doświadczeń jednostki. Owóż, dawna szlachta nasza w nader szczęśliwych pod tym względem znajdowała się warunkach. Wskutek ustroju politycznego Rzpltéj, posiadała ona niezmiernie rozległą sferę działania; w nieustannym wirze życia towarzyskiego i publicznego, który stanowił osnowę jéj bytu, umysły zdrowe i normalne miały możność wyrobienia swych wrodzonych uzdolnień i mogły zawsze zebrać sporą miarę praktycznéj wiedzy życia. To też, szczególnie w epokach bujnego rozwoju i ożywienia dążeń i działalności publicznéj, wszystkie wybitniejsze umysły polskie odznaczają się przedewszystkiém zdrowym rozsądkiem i jasnością myśli. Weźmy np. taki charakterystyczny, nawskroś narodowy typ, jak Rej z Nagłowic. Zdrowy rozum, oparty na indywidualném doświadczeniu, stanowi zasadniczą cechę jego umysłu i przejawia się we wszystkich jego pismach. Główne jego dzieło „Żywot człowieka poczciwego“, ta prawdziwa biblia szlachecka, pełne jest głębokiéj mądrości życiowéj i praktycznych a zdrowych i rozumnych zasad postępowania. Nawet i w późniejszych epokach, kiedy znaczna część sił umysłowych szlachty utonęła w kielichach, kiedy sfera jéj życia publicznego została niezmiernie ścieśniona, a poziom jéj dążeń uległ nadzwyczajnemu obniżeniu: nawet wtedy w zakresie stosunków domowych i rodzinnych zachowała ona wiele dawnéj tradycyjnéj mądrości. Ale ta mądrość szlachecka po wszystkie czasy zam-

kniętą była przeważnie w granicach osobistych doświadczeń, nie wznosiła się nigdy do wyższych sfer teoryi filozoficznéj. Mikołaj Rej, tak rozumny w swoich praktycznych wskazówkach i radach życiowych, gdy rozprawia o zasadach ogólnych staje się banalnym i powtarza oklepane ogólniki, lub téż wygłasza sądy ciasne i powierzchowne bardzo. A zbiorowy rozum szlachecki na polu rozległych zagadnień społecznych i politycznych płodzi takie kolosalne niedorzeczności, jak teorya złotéj wolności i *liberum veto.*

Zupełnie analogiczne objawy napotykamy w sferze sądów racyonalnych i zasad Mickiewicza. Trzeźwy i rozumny w postępowaniu i w ocenie powszednich stosunków życia, staje się nasz poeta paradoksalnym, gdy się wznosi na wyżyny teoryi racyonalnéj. Wyżéj widzieliśmy dowody tego w sferze naukowéj; wiadomo, iż również w sferze polityki, nawet przed epoką towianizmu, okazywał Mickiewicz zadziwiającą łatwowierność i snuł marzycielskie, a całkowicie bezpodstawne teorye. Wszakże nawet owa osławiona anarchia szlachecka z jéj sofistycznemi teoryami znajdowała w Mickiewiczu gorącego zwolennika, jak to można widziéć zarówno w „Kursie literatury słowiańskiéj“, jak i z wielu artykułów politycznych.

Wszelako dodać tu należy, iż jakkolwiek nasz poeta błądził nieraz w swoich zasadach politycznych, niemniéj przeto umiał bardzo jasno dostrzedz całą nicość pustych formułek, głoszonych przez wielu polityków współczesnych. W tym razie usłużył mu jego przyrodzony zdrowy rozum, który niewątpliwie, nawet zamknięty w szczupłym zakresie pojęć, lepszym jest zawsze przewodnikiem od myśli abstrakcyjnéj, zaślepionéj czczym ogólnikiem, lub szumnym a pustym frazesem. Tak samo w sferze naukowéj, mimo braku krytyki, kierowany zdrowym rozumem, a niekiedy trafną intuicyą uczuciową, słusznie gromił Mickiewicz różne teorye i teoryjki, zbudowane z wielką sztuką, a małym rozumem przez uczonych pedantów i doktrynerów szkolnych. Podobnie i Rej, mimo swego prostactwa, doskonale niekiedy umiał się poznać na słabych stronach panującéj wówczas mądrości scholastycznéj.

Zwróćmy się teraz do innych właściwości usposobienia naszego poety, przedstawiających analogią ze znamionami szlachecko-polskiego charakteru. Przedewszystkiém pewna wyłączność narodowa, dochodząca u Mickiewicza, podobnie jak u dawnéj szlachty polskiéj, do szowinizmu: przejawia się ona nietylko w miłości i czci bezgranicznéj dla wielkich ideałów narodowych, lecz także w żywém przywiązaniu do wszelkich najdrobniejszych nawet objawów życia, przyrody i obyczajów ojczystych. Zbytecznćm byłoby rozwodzić się szeroko nad tą

właściwością Mickiewicza; znaną jest ona powszechnie z jego biografii i korespondencyi; dosyć będzie przypomnieć kilka charakterystycznych przykładów. Już w „Sonetach Krymskich“ surowe, północne krajobrazy litewskie wydają mu się piękniejsze od otaczających go cudów rozkosznéj przyrody południowéj. Następnie oddalenie od kraju coraz więcéj potęguje uczucie tęsknoty za nim. We Włoszech, jak świadczą listy Odyńca, obojętnie nieraz przechodzi poeta obok arcydzieł sztuki, zdaje się nie dostrzegać wielu uroczych piękności natury, zato w zachwyt go wprawia znaleziona gdzieś w okolicach Rzymu droga podobna do litewskiéj, jakaś potrawa włoska, przypominająca litewską: wszystko co polskie, litewskie, wydaje mu się lepszém, piękniejszém, doskonalszém. Mickiewicz, w obec przyrody i sztuki obcéj, przedstawia się czasem nie jako natchniony poeta i genialny artysta, pełen głębokich uczuć i myśli, lecz jako zwyczajny, przeciętny szlachcic polski, patrzący na wszystko ze stanowiska tradycyjnych, swojskich wyobrażeń. Jest to właśnie indywidualną cechą Mickiewicza, iż zespala w swém jestestwie najniższe i najwyższe uczucia narodowe, począwszy od drobnych gustów i upodobań, należących do szczupłéj sfery codziennego bytu, aż do podniosłych aspiracyi, w którym przejawiają się dążenia wszechludzkiego ducha,—łączy on idealny patryotyzm Krasińskiego z tém, że się tak wyrażę, fizyczném przywiązaniem do rodzinnéj ziemi, jakie widzimy np. u Syrokomli; a obok tego wyłącznością swych uczuć narodowych przypomina niekiedy żywo dawną szlachtę naszą, z jéj naiwném wyobrażeniem o wyjątkowéj doskonałości wszystkiego co polskie i z butną pogardą do wszelkiéj cudzoziemczyzny. Tutaj znowu nastręcza się porównanie z „poczciwym szlachcicem polskim“ z Nagłowic: Mickiewicz, gdy mówi o rzeczach obcych i swojskich, zdaje się czasem jego słowy przemawiać:

> To wszystko zobaczywszy, do swéj Polski zajdę,
> Tu wszystko co gdzieindziéj, jeszcze więcéj najdę.

Weźmy jeszcze pod uwagę usposobienie i gusta naszego poety w sferze stosunków towarzyskich. Był on niewątpliwie człowiekiem bardzo towarzyskim: nie zamykał się w samotności, owszem, lubił żyć z ludźmi, w stosunkach z nimi okazywał zawsze szczeropolską serdeczność i dobroduszność. Przytém odznaczał się upodobaniem w prostocie i niewyszukanych formach bytu, nie znosił etykiety i wyrafinowanych wymagań światowych. Prawda, że, dzięki bogatéj swéj naturze i wrodzonym przymiotom estetycznym, umiał poruszać się z zupełną swobodą w atmosferze wielko-światowego tonu i jaśniał prawdziwą dystynkcyą w najwytworniejszych salonach zagranicznych; ale tego rodzaju tryb życia był zawsze czémś obcém jego naturze,

wzbudzał w nim tylko bardzo powierzchowne i przemijające upodobanie. W czasie pisania „Pana Tadeusza“, poeta (jak nam się przedstawia we wspomnieniach przyjaciół i we własnéj korespondencyi) był zawsze bardzo towarzyskim, ale nadzwyczaj mało wymagającym we względzie wytworności i komfortu życia: skromne warunki jego domowego bytu zupełnie mu wystarczały, o zewnętrzną estetykę otoczenia mało zdawał się troszczyć. Takie usposobienie odbija również charakterystyczną cechę szlachecko-polskiéj obyczajowości, która nigdy nie odznaczała się wyrafinowanemi formami kultury towarzyskiéj i nacechowaną była niewymuszoną, czasami może nieco barbarzyńską, w stosunku do wymagań europejskich, prostotą. Szlachta nasza lubiła wprawdzie okazałość i przepych, ale na komforcie życiowym niewiele się znała, a niecierpiała etykiety towarzyskiéj. Przytém za lepszych czasów, kiedy jeszcze szlachta nie zawisła u pańskiéj klamki i nie topiła swéj ambicyi ludzkiéj w pańskich kielichach, cechował ją duch prawdziwie szlachetnéj niezawisłości towarzyskiéj, upodobanie w skromnych, ale niezależnych warunkach swego bytu, w swym „pomiernym staniku“, jak się wyraża Rej. Ta cecha widoczna jest również u Kochanowskiego, Kochowskiego, Paska i z wielu innych pisarzy XVI-go i XVII-go wieku.

Oprócz wyżéj wspomnianych, można jeszcze w indywidualném usposobieniu Mickiewicza wskazać wiele charakterystycznych rysów narodowych. Jako to: zamiłowanie w życiu wiejskiém, związane z niém proste i bezpośrednie poczucie przyrody, obce zupełnie refleksyjnemu sentymentalizmowi Niemców, daléj dobroduszny humor, wolny przeważnie od pierwiastków satyry i sarkazmu, niekiedy swobodny i nie troszczący się o przyszłość optymizm życiowy. Nawet owo słynne polskie „jakoś to będzie“ odzywa się nieraz w listach poety, gdy, nie troszcząc się o niepewne jutro, liczy zawsze na jakiś pomyślny skład okoliczności. Chociaż ta ostatnia właściwość nie tyle jest może typowym rysem narodowym, ile ogólném znamieniem wyższéj natury, która wznosi się zawsze ponad powszednie, egoistyczne troski życia.

Jedna tylko cecha bardzo charakterystyczna u dawnéj szlachty zdaje się być obcą zupełnie naturze Mickiewicza: mianowicie fantastyczna samowola, niesforna buta i porywczość, przejawiająca się tak wybitnie w typach szlachecko-polskich. Ale i w tym względzie istnieją analogiczne cechy w usposobieniu poety, choć bardziéj ukryte. Pewną jest rzeczą, iż ta właściwość charakteru narodowego wynikała z przeważających w nim żywiołów fantazyi i wrażliwości uczuciowéj, które wskutek ogólnych warunków bytu dawnéj Polski, nie pozwala-

jących na wewnętrzne skupienie umysłów, zużywały się całkowicie w zewnętrznych objawach, w żywych i gwałtownych, ale krótkotrwałych wybuchach; u Mickiewicza te same żywioły, skupione w potężnie rozwiniętém życiu wewnętrznèm, przejawiają się w porywach wielkich uczuć i w płomiennym entuzyazmie dla wszystkiego, co wzniosłe i szlachetne. Oprócz tego jednak w téj właściwości poety można dostrzedz pewien wyłączny rys charakteru litewskiego, jak to niżéj jeszcze zobaczymy.

Wszystkie wyżéj podniesione rysy charakterystyczne Mickiewicza dają nam go poznać jako człowieka odznaczającego się dziwną prostotą, jako naturę, która, obok bujnego rozwoju życia wewnętrznego, zdołała zachować całą bezpośrednią świeżość przyrodzonych znamion człowieczeństwa. W takiém świetle ukazuje się też poeta we wszystkich swych listach. Są one pod tym względem niezmiernie charakterystyczne i różnią się zasadniczo od korespondencyi innych znakomitych poetów. Weźmy np. dla porównania korespondencyą Krasińskiego i Słowackiego. Listy Krasińskiego, to rozprawy moralno-filozoficzne, w których zawsze daje się poznać poeta-myśliciel; Słowacki w swych listach snuje wspaniałe poematy w prozie, odźwierciadlające wiernie jego bujną i lotną fantazyą. Zupełnie inaczéj przedstawia się korespondencya Mickiewicza. Nie znając jéj autora, nikt-by się chyba nie domyślił, iż jest to jeden z największych geniuszów poetyckich, wybitny przedstawiciel wielkich prądów duchowego życia swéj epoki. Wszystko w tych listach: myśli, wyrażenia, ton i nastrój, zdaje się wskazywać człowieka rozumnego, zacnego, z wyższém wykształceniem i szerszym na świat poglądem, ale nie odznaczającego się wcale szczególną wyższością umysłu; chyba tylko nadzwyczajna prostota i naturalność, jaka rzadko kiedy spotyka się na świecie, wyróżnia listy Mickiewicza od listów wielu najzwyczajniejszych ludzi. Ta niewymuszona prostota, która cechowała zawsze postępowanie i zewnętrzną osobistość poety, w połączeniu z blaskiem geniuszu, promieniejącym z jego czoła, nadawała mu szczególny urok, który pociągał ku niemu serca i umysły ludzkie.

Indywidualność Mickiewicza zawierała w sobie dwa różne światy: świat wewnętrzny, w którym wrzała skupiona potęga uczuć, kształtowały się olbrzymie kreacye fantazyi, a niezmordowana praca myśli wznosiła gmachy wielkich idei—i świat zewnętrzny, rozjaśniony promieniami zdrowego rozumu, pogodny i spokojny na pozór, jak świat ludzi, którzy nie zaznali wewnętrznych wstrząśnień ducha, których myśli nie wznosiły się nigdy ponad dymy rodzinnéj wioski. Zespolenie w logicznéj jedności tych dwóch tak odmiennych sfer życia jest

charakterystyczną cechą geniuszu Mickiewicza i określa najdobitniéj indywidualną jego odrębność. Słusznie téż sam on mówił o sobie:

Gdy mię spokojnym widzą dzieci świata.
Burzliwą duszę kryję przed ich okiem
I obojętna duma, jak mgły szata,
Wnętrze piorunu pozłaca obłokiem.

Ta „obojętna duma“ wypływała z poczucia genialnéj siły, grzmiącéj piorunami natchnienia, których odblask tylko ukazywał się ludziom na twarzy poety.

Mówią o Napoleonie Wielkim, iż zwykł był okrywać swój majestat monarszy jaknajskromniejszą suknią, — podobnie Mickiewicz przyodziewał majestat swego ducha zewnętrzną szatą skromnéj, nieomal pospolitéj prostoty.

Wyżéj okazane bogactwo właściwości narodowych Mickiewicza sprawia, iż można w nim odnaleźć rysy, przypominające wielu wybitnych przedstawicieli narodu. Zdrowym, praktycznym rozumem przypomina nasz poeta Reja, a z drugiéj strony pewne duchowe pokrewieństwo łączy go z tak różną od Reja naturą, jak Skarga; wspólnym ich rysem jest olbrzymia siła miłości, pojętéj w duchu czysto-chrześciańskim, oraz ścisła łączność między ideałami religijnemi i narodowemi. Poczuciem artystyczném, jasnością i precyzyą wyobraźni, przypomina Mickiewicz Jana Kochanowskiego, z którym nadto wspólną mu jest szlachetna niezależność ducha, oraz wzgarda dla dóbr i zaszczytów światowych. Czysta etyka poglądów politycznych Mickiewicza jest jakby dalekiém echem podobnych pojęć Długosza, tego najpierwszego w czasie z wielkich przedstawicieli umysłowości polskiéj i ducha narodowego [1]).

Ale oczywiście, wszystkie przytoczone wyżéj podobieństwa odnoszą się jedynie do poszczególnych rysów indywidualnych Mickiewicza, nigdy zaś do ogółu znamion. I tak jasną jest rzeczą, iż do Reja Mickiewicz zbliża się jedynie przez pewne czysto-zewnętrzne strony swego usposobienia, różni się zaś od niego zasadniczo swém życiem wewnętrzném, o którém poczciwy autor „Zwierciadła“ nie mógł mieć nawet wyobrażenia; również i Kochanowski, choć ogromnie przewyższa Reja swym rozwojem wewnętrznym, daleki jest nieskończenie pod tym względem od Mickiewicza; jego harmonijna artystyczna natura nie odznaczała się wielką głębokością i polotem duchowym. Skarga,

---

[1]) Podobieństwo to daje się szczególnie dostrzedz w mistrzowskiéj charakterystyce Długosza, którą podaje sam Mickiewicz w „Kursie lit. słow.“ (Pisma, Paryż, 1860, t. VIII, str. 17).

który był niewątpliwie jednym z najsilniejszych duchów polskich, w bardziéj istotnych cechach pokrewny jest Mickiewiczowi, ale jego bogate życie wewnętrzne zamykało się wyłącznie w sferze uczuć narodowych i religijnych, przytém indywidualność jego, poddana pod bezwzględną władzę karności kościelnéj, nie mogła swobodnie się rozwinąć; wielki mówca zygmuntowski nie posiadał ani rozległéj treści humanitarnéj, ani samodzielności duchowéj nowożytnego poety i wieszcza narodu.

Jednėm słowem, Mickiewicz, zawierając w swém jestestwie wiele charakterystycznych znamion znakomitych mężów polskich, przewyższa ich wszytkich tak intensywną siłą, jako téż rozległością swego indywidualizmu. W skład jego istoty duchowéj wchodzą żywioły, obce tamtym, będące wytworem epoki późniejszéj, w któréj życie wewnętrzne narodu, zasilone prądami ogólno-europejskiéj kultury, uległo pogłębieniu i szerzéj roztoczyło swe fale. Mickiewicz, jak to już wyżéj widzieliśmy, jest przedstawicielem ducha narodowego nie w jego wyłącznéj odrębności, lecz w związku z duchem kultury powszechnéj.

Mówiąc powyżéj o znamionach narodowo-polskich natury Mickiewicza, mieliśmy na względzie te tylko, które przejawiają się w jednéj warstwie narodu—szlachcie. Ale téż, jak wiadomo, szlachta polska stanowiła cały naród: pochłonąwszy bowiem wszystkie żywotne siły organizmu narodowego, uczyniła niemożliwém pełniejsze wyrobienie pozostałych jego części. Mieszczaństwo polskie nie zdołało wyrobić żadnych znamion indywidualnych, rozwój jego rozpoczyna się dopiéro od rozbioru i w nowszych zaledwie czasach znaczniejszych dosięga rozmiarów. Lud polski, poniżany i gnębiony w ciągu wieków, nie zdołał uświadomić sobie swéj indywidualności, która na pół bezwiednie rozwija się w głębi jego ducha, czerpiąc soki żywotne z odległéj, przeddziejowéj tradycyi. Ale „kto zbada puszcz litewskich przepastne krainy?“ kto zdoła przeniknąć do mrocznych krain indywidualności ludowéj? A jednak nie pozostała ona obcą duchowi Mickiewicza. Wiadomo, jak wielką rolę odgrywały pojęcia i wierzenia ludowe nietylko w poezyi jego, ale również w najistotniejszych przekonaniach. Nie wynikały one jedynie, jak u innych poetów, z artystycznego upodobania, lecz znajdowały grunt w pewnych wrodzonych skłonnościach, które stanowiły sympatyczny łącznik między poetą a życiem ludowém, a w których zawierał się zapewne jakiś zasadniczy pierwiastek rasowy ogólno-słowiański, spoczywający niewątpliwie na dnie duchowego życia ludu. Nie mogę tutaj zastanawiać się nad tą stroną indywidualności Mickiewicza, gdyż nie łączy się ona bezpo-

średnio z przedmiotem niniejszéj pracy; zaznaczam ją tylko mimochodem, jako cechę, uzupełniającą wszechstronną i bogatą treść jego geniuszu.

Wszelako ta wszechstronność zdaje się być ograniczoną przez pewną właściwość, o któréj dotąd jeszcze nie wspomnieliśmy; mianowicie przez cechy prowincyonalno-litewskie, które niewątpliwie zawierały się w usposobieniu, przyzwyczajeniach, gustach i upodobaniach Mickiewicza i odbiły się nawet w jego poezyi. Wiadomo, iż z tego powodu czyniono mu nawet poważne zarzuty w swoim czasie; Witwicki nie mógł mu darować apostrofy do Litwy na początku „Pana Tadeusza.“ Nowsza krytyka obaliła stanowczo podobne zarzuty i okazała całkowitą ich bezzasadność. Istotnie, głębiéj zastanowiwszy się nad tym punktem, dochodzimy do przekonania, iż prowincyonalizm nie może przynosić ujmy czystości ducha narodowego, a w pewnéj mierze jest nieodzownym warunkiem jego zewnętrznych objawów.

Duch narodowy nie jest rozdzielony częściowo w całéj masie organizmu narodowego, lecz, podobnie jak siła inteligencyi w mózgu ludzkim, zawiera się całkowicie w każdym znaczniejszym jego odłamie. Życie pewnéj prowincyi odzwierciadla w sobie istotne cechy życia całego narodu. Zapewne, ma ono swoje odrębne cechy, ale te stanowią tylko zewnętrzną jego stronę. Natury płytkie odbijają zazwyczaj tylko tę ostatnią i wyobrażają specyficzne i ograniczone typy pewnéj prowincyi; głębsze indywidualności, posiadając nawet powierzchownie znamiona prowincyonalne, przechowują w swéj wewnętrznéj istocie żywioły ogólno-narodowego bytu. Z drugiéj strony prowincyonalizm, przez właściwe swoje zabarwienie nadaje wyrazistość i życie zasadniczym znamionom narodowym. W swéj czystéj typowéj formie są one bezbarwną i bezkształtną abstrakcyą, tylko w prowincyonalnych objawach stają się realnością. W naturze Mickiewicza cechy narodowe posiadały tak żywy, plastyczny i realny charakter, iż nie mogły się objawiać w abstrakcyjnéj tylko postaci, lecz przybierały konkretne kształty stosunków i form życia prowincyonalno-litewskiego [1]; dzięki temu właśnie, poeta mógł odczuć z taką prawdą realną różne strony życia narodowego i nadać im tak plastyczny wyraz w swéj poezyi.

Ale odrębne znamiona charakteru litewskiego posiadały inne

[1] Jak żywém było u Mickiewicza poczucie konkretnych objawów życia narodowego, dowodzi między innemi szczegół, przytoczony przez jego córkę, która opowiada, jak poeta martwił się, iż jego dzieci z powodu wychowania na emigracyi, choć poprawnie mówiły po polsku, ale akcent miały bezbarwny, pozbawiony cech prowincyonalnych (M. Gorecka, „Wspom. o Mick.“, str. 76).

jeszcze, głębsze znaczenie w indywidualności Mickiewicza. Znaną jest to powszechnie rzeczą, iż typ prowincyalno-litewski wyróżnia się od typów innych prowincyi polskich większą gruntownością umysłu i siłą wewnętrznego skupienia. Nie mogę tu roztrząsać przyczyn tego zjawiska. Być może, iż szukać ich należy w późniejszém wystąpieniu Litwy na widownią dziejową i mniejszym udziale téj w tém nadmiernie rozległém życiu zewnętrznym, które w Polsce pochłaniało wszelkie siły żywotne jednostek, — być może, iż wynikały one ze szczególnego skombinowania żywiołów etnicznych, wchodzących w skład miejscowéj ludności: dość, iż powyższa właściwość, z jakichkolwiek przyczyn pochodzi, stanowiła zawsze wybitną cechę charakteru litewskiego i pociągała za sobą względnie większą jego głębokość i większe uzdolnienie do rozwoju wewnętrznego życia duszy. W obec tego wydaje mi się uzasadnionem przypuszczenie, iż znamienne właściwości narodowo-polskiego bytu, jedynie na gruncie umysłowego życia Litwy mogły wydać tak potężną i głęboką indywidualność duchową, jaką nam przedstawia wewnętrzna natura Mickiewicza. Jest to jedno z najdonioślejszych następstw pełnego znaczenia faktu unii litewsko-polskiéj.

Jakiekolwiek jednak będzie nasze zapatrywanie w téj mierze, niewątpliwą jest rzeczą, iż litewszczyzna w niczém nie ograniczała wszechstronności narodowego geniuszu Mickiewicza: na gruncie wewnętrznego jéj życia, pod znamionami zewnętrznych warunków jéj bytu, widzimy w indywidualnéj naturze poety cechy powszechno-narodowe w takiéj pełni i w tak rozległym zakresie, jak one nigdy nie objawiły się w żadnéj wybitnéj osobistości naszych dziejów. Mickiewicz jest najpełniejszym typem indywidualnym natury ludzkiéj, jaki tylko w warunkach narodowo-polskiego życia mógł się rozwinąć, — a przytém typem, który nie przekracza swemi właściwościami granic tego życia. Widzimy w nim nie uzupełnienie, lecz tylko pełne rozwinięcie indywidualizmu narodowego, najwyższe spotęgowanie zasadniczych jego znamion. Właściwości psychiczne, obce charakterowi narodowemu, obce są téż i naturze duchowéj naszego poety.

Inaczéj przedstawiają się pod tym względem dwaj wielcy jego współzawodnicy: Słowacki i Krasiński. Ci bowiem, obok charakterystycznych cech narodowych, posiadali pewne cechy, które nie mogą być poczytywane za typowo polskie, są wynikiem obcych wpływów, jakby rozszerzeniem indywidualizmu narodowego po za przyrodzone jego granice. U Słowackiego taką właściwością jest wysoce rozwinięta zdolność krytyczna, u Krasińskiego — niepospolita siła abstrakcyjnéj myśli. W obec tego możnaby sądzić, iż obadwaj wspomnieni poeci przewyższają Mickiewicza bogactwem swego rozwoju umysło-

wego. Istotnie, w pewnych kierunkach niewątpliwie mają nad nim wyższość, ale nie dorównywają mu ogólną sumą życia duchowego, a jeszcze mniéj indywidualném jego wyrobieniem. Indywidualność bowiem stanowi organiczną całość, a wszelka organizacya tém jest doskonalsza im zupełniejsza łączność i harmonia składowych jéj części. W życiu duchowém zespolenie poszczególnych czynników wtedy będzie najzupełniejsze, kiedy wzajemne ich ustosunkowanie wynika z całokształtu warunków życiowych jakiéjś określonéj sfery społecznéj. Indywidualność Mickiewicza jest właśnie wytworem takiego całokształtu warunków, jest jednolitym typem narodowym i kulturalnym, wskutek tego składowe jéj czynniki są jaknajzupełniéj zharmonizowane, stanowią zamkniętą w sobie, organiczną całość. Przeciwnie, u Krasińskiego i Słowackiego widzimy pewną sprzeczność, pewną dysharmonię wewnętrzną: natura polska kłóci się u nich z obcemi jéj żywiołami. Zdolności krytyczne Słowackiego są po części udaremnione przez nazbyt lotną i kapryśną fantazyą, szerokie uogólnienia filozoficzne Krasińskiego pozostają w sprzeczności z jego wyłącznėm szlachecko-polskiém stanowiskiem. Stąd u pierwszego często krytyka wyradza się w fantastyczną negacyą i kapryśny duch przekory,—u drugiego rozległe idee socyalne stają się często marzycielską, szlachecko-rycerską ideologią. Inaczéj przedstawia się wewnętrzny świat Mickiewicza. Umysł jego nie rozprasza się w nieokreślonych dążeniach negacyi, ani w mglistéj i bezkształtnéj ideologii, lecz znajduje zawsze oparcie w żywiołach realnych, pozytywnych, które jego jasny rozum umié wydobyć ze sfery różnorodnych zjawisk życia i określić dokładnie wedle ich natury i wartości;—te żywioły dostarczają odpowiedniéj karmi bujnie rozwiniętym władzom uczucia i fantazyi, których dążenia znajdują drogowskaz w silnie ugruntowanych zasadach etycznych.

Tak samo harmonijną i jednolitą okazuje się indywidualność Mickiewicza w zakresie zdolności twórczéj. Pod tym względem zbliża się on do najwyższego geniuszu artystycznego nowożytnych czasów do Goethe'go. Podobnie jak wieszcz germański, twórca „Pana Tadeusza“ łączył w swéj organizacyi poetyckiéj siłę i polot fantazyi twórczéj z poczuciem plastyki kształtów i realnéj prawdy życia, oraz wysoce rozwiniętym zmysłem estetycznym. Tak szczęśliwego zespolenia głównych pierwiastków twórczości nie widzimy u Słowackiego i Krasińskiego. U pierwszego przemaga niedościgniony zapęd fantazyi twórczéj, przekształcającéj często zbyt dowolnie rzeczywistość życiową, — u drugiego czuć się daje brak plastyczności w tworzeniu, a w następstwie tego pewna nieokreśloność i rozwiewność kształtów. Tylko Mickiewicz umiał nadać pełnię życia i wszelkie pozory realnéj

prawdy nawet najbardziéj wybujałym swym kreacyom. W kreacyach Słowackiego kontury zacierają się często w blaskach fantastycznego oświetlenia, postaci Krasińskiego zamieniają się niekiedy na bezcielesne symbole i personifikacye.

Cała powyższa analiza psychologiczna miała na celu uwydatnić właściwości indywidualne Mickiewicza, w których zawierały się źródła natchnienia twórczego, znajdującego swój wyraz w „Panu Tadeuszu.“ We wstępie zwróciliśmy uwagę na żywioły psychiczne, nie pozostające w bezpośrednim związku z tym poematem, a to w tym celu, aby określić jego stosunek do innych utworów poety i ogólne wśród nich stanowisko. Opierając się na powyższych poglądach, możemy teraz jaśniéj zrozumiéć, jakim sposobem poezya Mickiewicza mogła ogarnąć taki rozległy zakres objawów życiowych i zdolną była zstąpić z wyżyn duchowéj ekstazy „Konrada“ na poziom przez pół naiwnéj epopei szlacheckiéj.

Rzućmy jeszcze okiem na przebieżoną drogę badań.

Widzieliśmy, iż w pierwszych okresach życia, twórczość poety zamykała się wyłącznie prawie w sferze wewnętrznych wstrząśnień duszy. Dodać tu należy, iż ta sfera stanowiła zarazem główne źródło jéj natchnień. Epoka „Pana Tadeusza“, obejmująca niespełna dwa lata, krótka jest bardzo w stosunku do czasu tworzenia „Dziadów“, stanowiących dzieło całego życia Mickiewicza, które on sam poczytywał za główny swój utwór [1]).

Przyczyna tego pierwszeństwa i przewagi kierunku, wyobrażanego przez „Dziady“, tkwiła zarówno w zasadniczych znamionach indywidualności poety jak i w stosunku jéj do wpływów zewnętrznych. Przedewszystkiém pamiętać trzeba, iż podobnie jak u każdéj wyższéj natury ludzkiéj w świecie wewnętrznych zjawisk duchowych, zawierała się główna treść jego jestestwa; w głębi duszy jego żyła i rozwijała się ta potężna władza, która wiodła go ku coraz wyższym sferom i na sztandarze jego życia wypisywała istotne hasło człowieczeństwa: *excelsior!* Zewnętrzne warunki otoczenia potęgowały jeszcze ten bujny rozwój życia wewnętrznego. Prądy ogólno-europejskie, łącznie z bliższemi wpływami, jak stosunki filareckie i zawód miłosny, odbiły się w dążeniach humanitarnych „Ody do młodości“ i w wybujałéj uczuciowości IV cz. „Dziadów“; następnie współczesne aspiracye narodowe, rozwijając się coraz pełniéj w duszy Mickiewicza, znalazły swój

---

[1]) W liście do Odyńca pisze Mickiewicz: Z „Dziadów“ chcę zrobić jedyne dzieło moje warte czytania („Koresp.“, I, 99).

wyraz w „Wallenrodzie“ i III części „Dziadów“. Dopiéro, kiedy poeta w „Improwizacyi“ wzniósł się do szczytu duchowego życia, kiedy stanął po nad otchłanią niezgłębionych tajemnic bytu i z istoty swéj wewnętrznéj nie mógł zaczerpnąć sił do dalszego lotu, dopiéro wtedy geniusz jego zstąpił z nadobłocznych wyżyn na równiny powszedniego życia i rozjaśniając je blaskiem swych promieni, podniósł rzeczywistość do ideału w nieśmiertelném arcydziele poezyi.

W uzupełnieniu genezy „Pana Tadeusza“ pozostaje nam obecnie bliżéj rozważyć warunki tego zwrotu w rozwoju psychicznym Mickiewicza.

W tym celu zwróćmy się jeszcze na chwilę do III cz. „Dziadów“.

Jak wiemy, w tym utworze dążył poeta do rozwiązania zasadniczych problematów bytu w duchu tradycyi chrześciańskiéj, ale drogą samodzielnego rozwoju indywidualnéj uczuciowości. Kulminacyjnym punktem tych dążeń była „Improwizacya“ Konrada. Bezpłodny poryw uczucia, pragnącego wznieść się do wszech-potęgi duchowéj, powinienby za sobą pociągnąć zupełne zwątpienie i rozpacz. Na szczęście znajdował poeta ochronę przeciw temu w zasadach religii pozytywnéj, które na krótko przed tém silnie ugruntowane zostały w jego duszy. Na nich oparty, uznał bezsilność ducha ludzkiego w jego absolutnéj samodzielności i w zespoleniu jego dążeń z dogmatami wiary, widział jedyną drogę do urzeczywistnienia istotnych zadań życia.

Takim sposobem, poddając się pod powagę religii, znalazł poeta uspokojenie wewnętrznych wstrząśnień swego ducha. Jest to bowiem pewném, iż religia pozytywna stanowi najdzielniejszy środek zapewnienia człowiekowi wewnętrznego spokoju, gdyż daje odpowiedź na wszystkie trapiące go wątpliwości, przez to powstrzymuje zapęd jego umysłu ku najwyższym, niedościgłym sferom wiedzy i jest rodzajem kompromisu między dążeniem do udoskonalenia wewnętrznego, a wymaganiami zewnętrznego świata. Wprawdzie kompromis ów wychodzi najczęściéj na korzyść tych ostatnich, bo w nich zawiéra się wszystko, co najdroższe ludziom: interesa ich bytu materyalnego; aspiracye duchowe u większości ludzi dadzą się zaspokoić jaką taką bezmyślną formułką, która uznana w słowach, spokojnie sobie leży w duszy, stanowiąc część martwego jéj inwentarza i w niczém nie krępując pospolitych zabiegów i niskich pragnień.

Atoli znajdują się nieliczne natury wyższe, które inaczéj pojmują ten kompromis i pragną, aby cała korzyść z niego dla duszy płynęła; wierzą w możność podniesienia serc ludzkich do wysokości religijno-moralnych ideałów i uświątobliwienia przez nie całéj natury ludzkiéj. Tak pojmował wpływ religii Mickiewicz, wierzył niezłomnie w żywo-

tną siłę jéj praw i w możność moralnego odrodzenia ludzkości przez zastosowanie ich do praktyki życia. Wprawdzie następnie doznał zawodu: widząc, że kościół oficyalny, zasklepiony w nieruchoméj tradycyi, daleki jest od podobnych zadań, odsunął się od niego i poszedł swą własną drogą, która, niestety, zaprowadziła go na manowce mistycyzmu; ale przez ciąg lat kilku po napisaniu III cz. „Dziadów“ pozostawał w zgodzie z głównemi zasadami wiary kościelnéj. Wiara atoli Mickiewicza daleką była od martwego kwietyzmu i ciasnéj bigoteryi, była żywą, samodzielną siłą psychiczną; nie zamykając się w bezmyślnéj ortodoksyi, pobudzała nieustannie wewnętrzną pracę ducha, szukającego coraz to nowych dróg i sposobów działania. Dla tego poeta zatapiał się w czytaniu dzieł myślicieli chrzeciańskich: Dyonizyusza Areopagity, mniemanego ojca kościoła, a w rzeczywistości przedstawiciela filozofii neoplatońskiéj, Jakóba Boehme, Anioła Szlązaka, Saint-Martin'a, chociaż wszyscy ci pisarze religijni mniéj lub więcéj rozchodzili się ze ścisłą prawowiernością kościelną. Tak więc życie wewnętrzne poety nie zostało skrępowane przez religią pozytywną, lecz otrzymało od niéj stały kierunek i potężny płomień uczucia, który poprzednio wybuchał pożarem samodzielnych porywów ducha, pod spokojném i równém tchnieniem wiary, zamienił się na światło jednostajnie rozjaśniające obszary jego istoty wewnętrznéj.

W związku z tym pozytywnym nastrojem uczuć religijnych Mickiewicza, pozostawał téż zwrot jego aspiracyi narodowych ku bardziéj realnym, pozytywnym celom. Patryotyzm, stanowiący główny motyw III cz. „Dziadów“, występował tam w postaci abstrakcyjnéj idei, wyrażał się w miłości dla zasadniczych ideałów narodowych, w dążeniu do pełnego ich urzeczywistnienia. Ale, jak wyżéj widzieliśmy, uczucia narodowe poety przejawiały się nietylko w tym oderwanym, idealnym patryotyzmie, lecz także w bardziéj konkretnych formach, streszczających się w przywiązaniu do ziemi rodzinnéj, do życia, przyrody i obyczajów ojczystych. Oddalenie od kraju i tęsknota za nim potęgowały te ostatnie uczucia, wrażenia doznane nadały im określony kierunek i zwróciły je ku pozytywnym celom.

Taki pozytywny zwrot w dążeniach i uczuciach poety sprzyjał szczególnie rozwojowi tych władz jego indywidualności, które, że się tak wyrażę, znajdowały się bliżéj jéj powierzchni i stanowiły naturalny łącznik ze światem zewnętrznym; główne z nich: zdrowy rozum i związany z nim trzeźwy i jasny pogląd na rzeczywistość życiową, serdeczna dobroć i współczucie dla ludzi, wreszcie zmysł artystyczny dla konkretnych form życia, stały się teraz panującemi w duszy poety. Wprawdzie należały one zawsze do istotnych składników jego

jestestwa, ale poprzednio objawiały się swobodnie tylko w ciaśniejszym zakresie powszednich stosunków życia, w sferze twórczéj działalności pozostawały pod przemożném panowaniem i niejako na usługach potężnych i burzliwych sił uczucia; dopiéro skoro te ostatnie uległy uspokojeniu i zwrócone zostały ku pozytywnym celom, tamte władze osiągnęły z nimi równouprawnienie i zrównoważyły je swym wpływem.

Wogóle w poprzednich epokach w jestestwie Mickiewicza jakby dwóch różnych było ludzi: człowiek wewnętrzny, przejawiający się w natchnieniach poetyckich, w samotnych dumaniach i w rozmowach z najbardziéj zaufanymi przyjaciółmi i człowiek zewnętrzny, światowy, odznaczający się w stosunkach towarzyskich wytwornością, dystynkcyą i lekkim swobodnym humorem. Po wewnętrznych zmianach, jakie wyżéj poznaliśmy, na skutek zrównoważenia i zharmonizowania wszystkich sił duchowych, znika ta dwoistość; poeta staje się jednolitym we wszystkich swych uczuciach, czynach i dążeniach: jest poważny i głęboki nawet w powszednich stosunkach z ludźmi, a pełen spokoju i trzeźwéj rozwagi w swych natchnieniach twórczych i w działaniach polityczno-społecznych.

Głębokie poczucie prawdy, które stanowiło jeden z głównych żywiołów geniuszu Mickiewicza, nie pozwalało mu tworzyć pod wpływem chimerycznych przywidzeń fantazyi, jak to widzimy u Słowackiego w epoce towianizmu. Uczucia i myśli Mickiewicza nie raz wkraczały na błędne drogi, ale jego intuicya poetycka nigdy nie błądziła i zwracała się zawsze ku istotnéj prawdzie życia (Wyjątek stanowi widzenie księdza Piotra); dla tego też skoro doszedł do ostatnich kresów téj prawdy, jakkolwiek przekraczał je myślą i pragnieniem i zapuszczał się w mgliste krainy ideologii i marzycielstwa, ale geniusz twórczy opuścił go w téj wędrówce; poeta mógł myśléć, pisać i działać w duchu swych chimerycznych idei, ale nie mógł tworzyć pod ich wpływem.

Twórczość jego szukała tam przedmiotu, gdzie była realna prawda życia. A przedmiot ten nastręczał się sam we wspomnieniach dzieciństwa i w przepełniających je obrazach ziemi ojczystéj i bytu narodowego; te wspomnienia zatém dostarczyły odpowiedniego materyału twórczym natchnieniom poety.

Nastręcza się tu pytanie, w jaki sposób wspomnienia tak odległéj epoki życia mogły się przechować z dostateczną wiernością, a szczególniéj jak mogły dostarczyć tylu drobnych i szczegółowych, a tak zawsze prawdziwych rysów? Złożyło się na to wiele przyczyn i warunków. Przedewszystkiém pewna ogólna i zasadnicza właściwość umysłu ludzkiego, wskutek któréj wszelkie wrażenia, otrzymane

w dzieciństwie i młodości najtrwalsze pozostawiają ślady; wtedy bowiem proces życiowy dokonywa się ze szczególną energią, a stąd zarówno fizyczna, jak i duchowa strona ustroju ludzkiego silniéj odczuwa zewnętrzne działania. Ale u Mickiewicza musiało zachodzić inne jeszcze zjawisko psychiczne. Dla tak wiernego odtworzenia charakterów, rysów obyczajowych i obrazów natury, jakie widzimy w „Panu Tadeuszu“ niedość było, aby one utrwaliły się w świeżéj wrażliwości dziecinnego umysłu; należy tu jeszcze przypuścić jako konieczny warunek, wyjątkowe uzdolnienie tego umysłu do pochwytywania wszystkich wrażeń w całéj pełni, w nieskończonéj masie różnorodnych ich pierwiastków.

Owóż to uzdolnienie było wyłączną właściwością geniuszu poety. Geniusz im wyższy jest i doskonalszy, têm w większéj zupełności wrodzonych uzdolnień na świat przychodzi. U Mickiewicza już w dziecinnych latach genialne siły twórcze rozwijały swą czynność, bezwiedną i tajemną, ukrytą gdzieś w głębi nieświadomych sfer umysłu; dzięki temu, umysł dziecinny odbijał z całą prawdą i dokładnością obrazy otaczającego świata, które wyryte na kartach jego wspomnień, niby na śpiżowych tablicach, zachowały czyste i jasne zarysy, aż do epoki dojrzałego wieku.

Opowiadania przyjaciół, o których sam poeta wspomina [1], odnawiały te dawne wspomnienia i dorzucały do nich poszczególne rysy, ale oczywiście udział ich w odtworzeniu całokształtu obrazów mógł być tylko bardzo pośredni i działały one jako bodźce, pobudzające zasoby nagromadzone w pamięci poety. Jakież bowiem choćby najwierniejsze opowiadania mogły uprzytomnić jego fantazyi tę pełnią realnych rysów i szczegółów, którą podziwiamy w obrazach „Pana Tadeusza“; na to koniecznie było potrzeba, aby one jasno stanęły przed wewnętrznym wzrokiem poety, w dokładném odbiciu rzeczywistych, osobiście doznanych wrażeń.

Psychologia nas uczy, iż nie ma istotnéj różnicy między wyobrażeniem jakiegoś przedmiotu, a rzeczywistém dostrzeganiem go za pośrednictwem zmysłów. W obu wypadkach dane są wrażenia i stosunki zachodzące między nimi; tylko że w piérwszym przedstawiają się one żywo, wyraźnie, w drugim zaś są mniéj lub więcéj zatarte. Przy odpowiednich wszakże warunkach wyobrażenie może osiągnąć dokładność rzeczywistego dostrzegania. U ludzi zwykłych zdarza się to

---

[1]
I przyjaciele wtenczas pomogli rozmowie
I do pieśni rzucali mi słowo po słowie
(Wstęp do „P. Tadeusza“.)

w stanie chorobliwym, kiedy normalna równowaga władz psychicznych zostaje zupełnie zniesiona na korzyść jednéj grupy wyobrażeń— i wtedy mamy halucynacyą; u ludzi obdarzonych wyjątkową siłą fantazyi, u poetów i artystów wyobrażenia osiągają niekiedy pełną wyrazistość bez naruszenia równowagi umysłowéj, przy zupełnie normalnym stanie władz psychicznych; wtedy są one podstawą i źródłem procesu twórczego [1]). Oczywiście zachodzić tu może wiele stopni pośrednich, odpowiadających stopniowaniu, jakie istnieje między talentem twórczym a zwykłym umysłem ludzkim; nadto w umysłach, obdarzonych zdolnością twórczą, dokładność, żywość i t. p. cechy wyobrażeń w rozlicznéj téż mierze mogą się zawiérać. Indywidualną właściwością Mickiewicza była wyobraźnia, odznaczająca się nietylko nadzwyczajną siłą, lecz również dokładnością w odbiciu wrażeń zewnętrznych; dzięki temu, wyobrażenia, raz utrwalone w jego umyśle, mogły być po wielu latach powołane do życia i rozwijały się przed wzrokiem wewnętrznym z jasnością i prawdą realnego widzenia.

Skreślone powyżéj działanie sił fantazyi twórczéj poparte i wzmocnione było przez pewne warunki psychiczne, wynikające z ówczesnego stanu duszy poety i otaczających go stosunków. Najprzód zaznaczony już powyżéj kontrast między rzeczywistością istniejącą, a tą która odradzała się we wspomnieniach poety, kontrast istotnie niezmiernie silny: z jednéj strony życie nacechowane sztuczną, wytężoną kulturą z jéj gorączkową atmosferą, przepełnioną miazmatami namiętności ludzkich, z drugiéj — obraz sielskiego bytu, owiany czystém powietrzem pól i lasów, złączony tysiącznemi węzły z żywą przyrodą. Podobne przeciwstawienie musiało się bardzo przyczyniać do ożywienia wspomnień poety. Jest to jedno z zasadniczych praw psychologicznych: im silniejsze kontrasty, tém jaśniejsze wyobrażenia. W tym wypadku zaś kontrast działał tém skuteczniéj, iż wspierany był przez ogólny nastrój uczuciowy. Wszystkie władze umysłu o tyle energiczniejszą rozwijają czynność o ile silniéj są pobudzane przez jakiś panujący przeważnie stan uczucia. U Mickiewicza takim stanem, od wielu lat panującym, była tęsknota. W epoce „Pana Tadeusza“ ta tęsknota, wskutek zniechęcenia do otaczającego świata, wskutek spotęgowania uczuć narodowych i zwrotu ich w kierunku bardziéj realnym,

---

[1]) Ta teorya odradzania się wyobrażeń i stosunku ich do wrażeń realnych. wyłożona jest szczególnie jasno i gruntownie w znakomitém dziele Taine'a „O inteligencyi“, tam również przytoczone są liczne przykłady, świadczące o niezmiernéj wyrazistości i sile wyobrażeń u artystów i poetów.

doszła do najwyższego natężenia i stała się niezmiernie silnym bodźcem, pobudzającym czynność twórczych sił umysłu.

Tak więc zarówno zdolność twórcza, jak i wskazane wyżéj pobudki, współdziałały skutecznie dla ożywienia wspomnień poety. Te wspomnienia stworzyły dokoła niego, w pośród otaczającego go świata, świat inny, niemniéj rzeczywisty i prawdziwy, choć istniejący tylko w głębi jego genialnéj fantazyi. Mickiewicz nietylko wspominał ów „kraj lat dziecinnych", jak to mogą czynić zwykli ludzie, ale widział go oczyma duszy w realnym obrazie, odtwarzającym się w natchnieniu poetyckiém. Jak sam powiedział, w czasie pisania „Pana Tadeusza" naprawdę żył w Litwie w lasach, karczmach ze szlachtą, żydami etc. [1]).

A owo życie, z właściwą mu wyłącznością narodową, ze swym ograniczonym widnokręgiem, pociągało poetę nietylko urokiem spokoju i pogody, nietylko przemawiało do jego uczuć narodowych, ale w pewnéj mierze odpowiadało wszystkim ówczesnym pragnieniom jego serca i umysłu, całéj jego istocie moralnéj, jak ona się ukształtowała pod wpływem przebytych wrażeń i doświadczeń. Poeta doznał zawodu w swych dążeniach do najczystszych sfer duchowego bytu, otaczająca go wyższa kultura europejska nie odpowiadała wcale pragnieniom jego serca. Wskutek tego wybujałe życie duchowe i właściwości, łączące je z prądami ogólno-europejskiemi, uległy niejako przytłumieniu w duszy poety, a za to w pełnéj mierze wystąpiły odrębne znamiona, określające czysto-narodowy charakter jego indywidualności. Owe znamiona, jak je wyżéj poznaliśmy, czyniły Mickiewicza typowym przedstawicielem szlachecko-polskiego życia, to téż skoro odtrącił on od siebie nabytki europejskie, skoro, jak sam się wyraził „zamknął drzwi od hałasów Europy" i myślą przeniósł się do sfery czysto narodowéj, szlachecko-polskiéj, uczuł się w niéj jak w swoim żywiole, mógł czuć, myśléć i pragnąć tak samo, jak cały ogół zamieszkujących ją jednostek. Czyli poeta stanął tu istotnie na poziomie swego przedmiotu, na stanowisku prawdziwego epika, który przedstawia obraz życia narodowego nie na podstawie obiektywnéj obserwacyi, lecz osobistych, subiektywnych wrażeń, tak jak je sam odczuwa w głębi swego jestestwa, gdyż on sam żyje tém życiem, oddycha jego atmosferą, stanowi niejako cząstkę jego. Tylko przy takim stosunku do swego przedmiotu, może poeta stworzyć prawdziwe, nieśmiertelne arcydzieło.

Wszelako powyższy pogląd nie daje jeszcze pełnego pojęcia o indywidualnym nastroju Mickiewicza w czasie tworzenia „Pana Tade-

[1]) Koresp. I, 79.

usza". Prawda, że ograniczając dobrowolnie zakres swego życia duchowego, swych aspiracyi i pragnień, mógł on zejść do poziomu przeciętnego bytu szlacheckiego i wcielić się niejako w jego stosunki, ale dla zupełnego zrównania się z nim nie mógł wyrzec się swéj wyższéj natury duchowéj, tych jéj znamion i właściwości, które wyrobiły się w bujnym i wszechstronnym rozwoju umysłowym i stały się integralnemi jéj żywiołami. O ile indywidualność poety znalazła pełne odbicie w procesie twórczym i owa wyższa jéj strona nie mogła być wykluczona od współudziału w nim.

Wskutek tego Mickiewicz zajmuje odmienne stanowisko względem swego przedmiotu, niż Homer i wogóle epicy czysto-ludowi. Ci stoją na poziomie otaczającego ich życia, dlatego, że choćby chcieli, nie mogą się wznieść po nad ten poziom, bo cały ich ustrój umysłowy jest doń najzupełniéj przystosowany. Mickiewicz nie z konieczności, ale z własnéj woli zniża się do swego przedmiotu; jego życie umysłowe jest wytworem nierównie rozleglejszych sfer. Są w nim pewne zasadnicze właściwości szlacheckiego epika, które pozwalają mu przybrać zupełnie naturalnie ton i nastrój przeciętnéj umysłowości szlacheckiéj, ale oprócz tego jest jeszcze coś więcéj, pewne żywioły umysłowe, dzięki którym zdolny jest wznieść się w każdéj chwili po nad sferę odtworzonego w poemacie życia i spojrzéć na nią nietylko na pół dziecięcém okiem naiwnego epika, lecz również okiem męskiém poety-myśliciela, oraz gorącego patryoty zdolnego wnieść się do najwyższych ideałów narodowych, miłującego swój kraj i swoje społeczeństwo i jasno zdającego sobie sprawę z tych uczuć.

Naiwny epik podobny jest do człowieka, który nigdy nie opuszczał okolicy rodzinnéj i na wszystko patrzy ze stanowiska zaściankowego bytu, wszystko sądzi na podstawie szczupłego zasobu osobistych wrażeń i tradycyi miejscowéj. Mickiewicz jest jako człowiek, który powodowany wyższemi pragnieniami, wyszedł z ciasnéj sfery ojczystéj, wędrował długo po dalekich krajach, poznał obce ludy i obyczaje, działał i walczył wśród nich, ale zawsze stęskniony do swoich, powrócił do nich w końcu, a zarazem do ich obyczajów i sposobu życia. Wszakże nie mógł już powrócić do dawnych ograniczonych pojęć: podziela on wprawdzie uczucia, pragnienia i zabiegi swych sąsiadów i ziomków, lecz zapatruje się na nie z wyższego stanowiska, jaśniéj i daléj widzi; zbratan sercem z otaczającém go życiem, wznosi się myślą po nad jego poziom.

Podobnie i geniusz naszego poety nie mógł ograniczyć się do ciasnego obrębu uczuć i pojęć rodzinnych, domowych, wśród których rozwijał się pierwotnie. Porwany przez tkwiącą w nim siłę ducha wzniósł

się do sfer wyższych, do sfer wszechnarodowych i wszechludzkich aspiracyi, tam działał i tworzył, dążył i walczył, wśród burzy uczuć, wśród gromowych błysków natchnienia piął się na niedościgłe szczyty duchowego bytu, aż w końcu, znużony nadludzką walką, wrócił tam skąd wyszedł: do owéj szczęśliwéj i pogodnéj krainy lat dziecinnych, co „niepodkopana nadziei złudzeniem, ani zmieniona wypadków strumieniem“ przechowywała się zawsze czysta i jasna w głębi najdroższych jego wspomnień. W niéj znalazł to, czego nigdy nie zaznał w życiu, a co tak pożądane było artystycznéj jego naturze: spokój i harmonią wewnętrzną. Nie dziw, że czuł się nad wyraz szczęśliwym wśród jéj ograniczonych, ale tak miłych sercu stosunków, że przylgnął do nich całą duszą i ze szczególném upodobaniem przybiérał ton i nastrój człowieka, który nigdy nie wykroczył po za ich obręb. Wszelako nie mógł się zaprzéć wyższéj treści swego ducha, wznoszącéj go po nad tę ciasną sferę; mimo sympatyi dla wszystkiego, co w niéj napotykał, nie mógł nie widziéć pewnych jéj stron ujemnych, niekiedy nadto ograniczonych, niekiedy śmiesznych w swém prostactwie i pospolitości. Zawsze szczery i pełen prawdy, nasz poeta nie ukrywał tych ujemnych rysów pod osłoną jakiejś udanéj naiwności lub fałszywego entuzyazmu, lecz z zupełną swobodą i naturalnością przedstawił je w swéj poezyi, ale przedstawił nie w ciemném oświetleniu satyrycznéj refleksyi, lecz w ciepłych promieniach przywiązania dla wszystkiego co swojskie i rodzinne.

Ten subiektywizm uczuciowy, którym przeniknięte są liczne ustępy poematu, daje również poznać odrębne zupełnie od naiwno-epicznego, stanowisko Mickiewicza względem jego przedmiotu. U naiwnego epika przywiązanie do ziemi rodzinnéj ma charakter na pół bezwiednego instynktu, nie uświadamia się jasno i dla tego nie może się téż przejawić w procesie tworzenia poetyckiego, u Mickiewicza jest ono zupełnie wyraźném, świadomem siebie uczuciem, stanowiącém integralną część natchnienia twórczego, jako takie, musiało znaleźć swój zewnętrzny wyraz w jego objawach, czyli musiało się odbić w tonie i nastroju poematu.

Z tego stosunku poety do przedmiotu wyniknął cały charakter artystyczny „Pana Tadeusza“. Rozważenie jego znamiennych cech nie wchodzi oczywiście w zakres niniejszéj pracy, która ogranicza się jedynie do skreślenia genezy psychologicznéj poematu. Dla uzupełnienia téj ostatniéj podniosę jeszcze pytanie: czy Mickiewicz mógł zająć inne stanowisko względem swego przedmiotu, niż to, które powyżéj zostało określone? — czy mógł zająć stanowisko czysto naiwnego epika, a przez to zbliżyć się więcéj do klasycznych wzorów poezyi epi-

cznéj? Ogólnie biorąc, niewątpliwie, że tak; autor „Pana Tadeusza“, jak wyżéj widzieliśmy, posiadał wszystkie dane po temu, potrzebował tylko ograniczyć i przytłumić w sobie wszystkie właściwości, które go po nad takie stanowisko wznosiły. Ale wtedy musiałby przybrać pewien ton sztuczny, zadawać niejako gwałt swoim uczuciom. Otóż do tego nie był zdolny geniusz naszego poety. Cała jego poezya była zawsze wynikiem samorodnego porywu natchnienia nie zaś rozmyślnéj sztuki; w tém właśnie tkwi jéj doniosłe znaczenie i stąd wynika cechujące ją znamię wyższéj genialności. Tylko mierne i średnie talenta oglądają się trwożliwie na wzory klasyczne i wynikające z nich prawidła sztuki; geniusz idzie swoją drogą, on sam tworzy wzory i prawidła.

„Śpiéwam, jak ptak śpiéwa“ — mówi Goethe [1]). Porównanie proste, ale dokładnie rzecz malujące. A właściwie mówiąc, nie jest to tylko porównanie, lecz określenie saméj istoty tworzenia poetyckiego. Choć wyda się to może paradoksem, powiem jednak, iż nie ma istotnéj różnicy między śpiéwem ptaka i poety; jest tylko różnica w stopniu. W obu razach mamy zewnętrzny wyraz wewnętrznych stanów duszy i nic więcéj, tylko, że między jednym i drugim objawem leży cały świat duchowego rozwoju, nieskończony szereg jego stopniowań, począwszy od zarodkowéj duszy zwierzęcéj, aż do wszechstronnie rozwiniętéj duszy ludzkiéj.

Jest to istotną cechą wszelkich zjawisk życiowych, iż zarówno na początku jak u kresu swego rozwoju są one czystą naturą; w pośrednich stopniach procesu rozwojowego panuje sztuka. Sztuka jest tylko przejściem od niższych do wyższych objawów przyrody, jest ona wynikiem częściowego, niedoskonałego wyrobienia sił przyrodzonych. Geniusz jest wytworem przyrody, talent — przeważnie sztuki. Poeta, idący za samorodnym popędem swego geniuszu, śpiéwa jak ptak na wolności, poeta stosujący się do reguł sztuki, jak ptak, wyuczony przy dźwiękach pozytywki. Tylko pierwszy śpiéw ma przywiléj nieśmiertelnéj młodości i trwałego piękna, bo tylko przyroda w swoich tworach jest zawsze młoda, piękna i nieśmiertelną; wszystko co stwarza sztuka, znikome jest i przemijające.

„Pan Tadeusz“ jest wytworem przyrodzonych sił geniuszu, nie reguł sztuki i stąd jego tytuł do nieśmiertelności. Wszelkie oceny

---

[1]) Ich singe, wie der Vogel singt,
Der in den Zweigen wohnet,
(Der Sänger).

tego poematu ze stanowiska reguł, wszelkie dyskusye nad pytaniem: czy mógł być inaczéj napisany, jak powinien być pisany? bezcelowe są i jałowe; krytyka powinna jedynie odpowiedzieć na pytanie: dla czego tak a nie inaczéj został napisany? dla czego taki a nie inny posiada charakter poetycki i artystyczny?

Te pytania winny stanowić punkt wyjścia i podstawę wszelkich studyów nad „Panem Tadeuszem“. Jedynie wyczerpująca odpowiedź na nie może doprowadzić do głębszego wniknięcia w tajniki geniuszu wielkiego poety, a co za tém idzie do zrozumienia istotnych znamion i właściwości nieśmiertelnego jego arcydzieła.

*Walery Gostomski.*





# SPRAWA INDEMNIZACYJNA

## W GALICYI.

Gdyby Macchiavel znał był dzieje Galicyi za Bachów, Brucków i Schmerlingów, zapewne przekazałby potomności tę zasadę, że podobnie, jak praca około dźwignięcia oświaty i dobrobytu wydać może błogie rezultaty tylko wówczas, jeśli odbywa się systematycznie i według z góry ułożonego planu, tak ucisk wszelki, jeśli się ma powieść, jeśli ma doprowadzić do istotnego zgnębienia ludności, musi być mądrze i z całą finezyą obmyślany. I tu brutalna siła fizyczna nie poszczyci się temi rezultatami, jakie niewyczerpane siły naszego umysłu osiągnąć są w stanie.

W Królestwie dziwią się, dlaczego pod względem oświaty i dobrobytu stoimy tak znacznie w tyle po za obywatelami innych prowincyi, dlaczego mamy tylu analfabetów, a żadnego prawie przemysłu, tak liche i niedostateczne środki komunikacyi, dlaczego rolnik nasz boi się dotąd intensywnego gospodarstwa, a nie uznaje pożytku ubezpieczeń, dlaczego jesteśmy tak biedni, że jeden rok posuchy może wywołać głód w całych powiatach i zdziesiątkować ludność i bydło?

A jednak na te wszystkie pytania jest odpowiedź i to bardzo prosta. Galicya przez czas rządów absolutnych, w pierwszéj połowie i z początkiem drugiéj połowy bieżącego stulecia, pogrążoną była we śnie letargicznym. Kopciuszek między prowincyami monarchii, używaną ona była bezustannie do wszelkiego rodzaju eksperymentów; tu wprowadzano na próbę wszelkie możliwe ustawy; tu umiano przytłumiać wszelką śmielszą inicyatywę w handlu i przemyśle, czy to wygórowanemi podatkami, czy też, zwłaszcza późniéj, patrzeniem przez palce na taryfy kolejowe z refakcyami dla niemieckich, a obostrzenia-

mi dla krajowych producentów; tu rząd skwapliwie wyzuwał się z dóbr koronnych za bezcen, jak gdyby całą prowincyę nazajutrz miał stracić na rzecz jakiegoś sąsiedniego mocarstwa. Biurokracya wiedeńska uważała biedny nasz kraj koronny za chwilową i nietrwałą zdobycz, z któréj trzeba było co rychléj ostatnie wycisnąć soki; a uważała go zarazem jako nabytek wcale niebezpieczny. Ciągła, acz nieuzasadniona, obawa rozruchów podała jéj myśl pozyskania sobie wielkim aktem wspaniałomyślności monarszéj ludu polskiego i ruskiego w Galicyi i zniechęcenia go raz na zawsze do szlachty, z którą związek mógł się, jak mniemano, stać w przyszłości niebezpiecznym dla monarchii. Zniesienie pańszczyzny, połączone z uwłaszczeniem włościan, rozbiérane na zgromadzeniach stanów galicyjskich już od r. 1846-go, a uchwalone w pamiętnym adresie do tronu z d. 19 marca 1848 r., podało pożądaną ku temu sposobność. Ówczesny gubernator Galicyi, hr. Stadion, dopatrzył się w usiłowaniach szlachty galicyjskiéj karygodnego zamiaru porozumienia się z ludem po za plecami biurokracyi austryackiéj. Spróbowawszy tedy bezskutecznie przeszkodzić w ogóle zniesieniu pańszczyzny, zaprojektował je w Wiedniu z ramienia i na koszt rządu. Projekt ten uzyskał aprobatę w ministeryum i téj inicyatywie hr. Stadiona zawdzięcza swój początek patent z d. 17-go kwietnia 1848 r., znoszący wszystkie robocizny i inne poddańcze powinności tak gospodarzy gruntowych, jakoteż chałupników (*Häusler und Inleute*), z dniem 15 maja 1848 r. kosztem skarbu państwa i zarazem skwapliwie przyznający uprawnionym wynagrodzenie, czyli indemnizacyę z funduszów państwowych [1]). Nie szlachetne poczucie sprawiedliwości, nie zrozumienie potrzeb spółczesnych podyktowało go ówczesnemu ministrowi spraw wewnętrznych, Pillersdorfowi, ani też ówczesnemu ministrowi skarbu, bar. Kraussowi; chodziło tam poprostu o współubieganie się ze szlachtą o popularność u ludu, który dał się już poznać w r. 1846 jako groźna i budząca się do życia społecznego potęga nieznanéj

[1]) Ustęp VII tego patentu stanowi, że wynagrodzenie uprawnionych następuje ze strony państwa (*die Vergütung wird vom Staate geleistet*); ustęp VIII mówi o wyrachować się mającém wynagrodzeniu, które skarb państwa uprawnionym zapłacić ma (*der vom Staatsschatze übernommenen Vergütung, welche der Staatsschatz leistet*), a ustęp końcowy wyraża nadzieję, że szczególniéj posiadacze gruntów poddańczych, chałupnicy i komornicy, „których powinności nawet z ofiarą skarbu państwa znosimy“ (*deren Schuldigkeiten wir selbst mit Opfern des Staatsschatzes aufheben*), staną się godnymi okazanych sobie względów. Pod tą samą datą, co i patent (17 kwietnia 1848 r.), wyszło rozporządzenie ministeryalne odnoszące się do powyższego patentu, w którém również mowa jest o wynagrodzeniu wymierzyć się mającém na koszt państwa (*auf Kosten des Staates*), a tego samego zwrotu używa i okólnik gubern. z d. 22 kwietnia 1848 powołany w tekście.

dotąd wielkości; chodziło o wcielenie w czyn czémprędzéj szczytnéj zasady: *divide et impera.* Ten cel osiągnięto, a gubernium lwowskie wydało, już 22 kwietnia 1848 r., objaśniające rozporządzenie, w którém zaznaczyło, „że rząd nadaje chłopom grunta na własność, a cesarz za to szlachcie zapłaci.“ Z tą wiadomością rozjechali się w jednéj chwili po całéj Galicyi komisarze rządu, w każdéj gminie zwoływali lud wiejski i uroczyście ogłaszali mu darowiznę cesarską. Chłop racyi państwowéj nie znał, wiedział tylko, że wszystko czém jest i co posiada, zawdzięczał cesarzowi i stał się odtąd najlojalniejszym i najwierniejszym jego poddanym.

Cel był osiągnięty, przedział między szlachtą a ludem wiejskim dokonany, teraz więc należało przystąpić do mniéj już przyjemnego wypełnienia szumnie zapowiedzianéj obietnicy, do płacenia uprawnionym owego wynagrodzenia. Tu jednak poczęto powoli wycofywać się z niewygodnéj pozycyi, a odraczając z roku na rok wypłatę, przemyśliwano równocześnie nad sposobem, w jakiby można koszta indemnizacyi przerzucić choćby nie legalnie na kraj. A koszta te były znaczne, wynosiły bowiem dla wschodniéj i zachodniéj Galicyi bez W. Ks. Krakowskiego 75,371,638 zł. mon. konw., czyli 79,140,220 zł. wal. austr. Ponieważ zaś rząd zaczął dawać właścicielom zaliczki na wynagrodzenie dopiéro od r. 1855, a operacyą finansową, t. j. wydanie obligacyi indemnizacyjnych, wypłatę niemi wynagrodzenia i umarzanie tych obligacyi rozpoczął dopiéro w r. 1857, t. j. w dziesięć lat po zniesieniu pańszczyzny, przeto do owéj sumy 75,371,638 zł. m. k. przybyły jeszcze odsetki zwłoki w kwocie 16,970,939 zł. m. k., które należało przed przystąpieniem do planu amortyzacyi do samych kapitałów doliczyć i na równi z niemi amortyzacyą objąć [1]). Suma łączna 92,343,000 zł. m. konw. warta już była tego, aby ją choćby samowolnie oszczędzić skarbowi państwa a wydrzéć z Galicyi.

Już od r. 1853 począł więc rząd, acz bezprawnie, pobierać z całego kraju dodatek na potrzeby indemnizacyi [2]), płacony w znacznéj części przez samych właścicieli, których indemnizować miano, i za czas do r. 1858 nie złożył dotąd nawet zamknięć rachunkowych z dochodów i wydatków funduszów indemnizacyjnych, tak, że skutkiem tego i dziś jeszcze nie można ściśle obliczyć, ile kraj za to zniesienie pań-

---

[1]) Por. Zyblikiewicz, „Indemnizacya“. Kraków, 1880, str. 25. Sprawozdanie posła Chrzanowskiego z d. 20 stycznia 1887 r. w allegatach do stenogr. zapisków sejmu krajowego.

[2]) Przynoszący dziś około 3 milionów rocznie, a pobierany obecnie w corocznie przez sejm uchwalanéj wysokości, umniejszającéj się stosownie do wzrastającéj wydatności centa podatkowego.

szczyzny zapłacił. Dla upozorowania zaś swego bezprawia, wymógł rząd na cesarzu najwyższe postanowienie z 13 października 1857 r., którém, zrozumiawszy ostatecznie, iż dodatek indemnizacyjny żadną miarą już dalej podwyższyć się nie da, a sam przez się na pokrycie raty amortyzacyjnéj nie wystarczy, postanowiono udzielać funduszom indemnizacyjnym wschodnio- i zachodnio-galicyjskim roczną subwencyę w kwocie 2,500,000 zł. m. konw., czyli 2,625,000 zł. wal. austr., „atoli z zastrzeżeniem pretensyi do zwrotu“ (*unter Vorbehalt des Rückzahlungsanspruches*). To zastrzeżenie, jakkolwiek w myśl patentu 17 kwietnia 1848 r. nieuzasadnione, było powodem, że wydział krajowy Galicyi nie objął po dziś dzień funduszów indemnizacyjnych w swój zarząd, do czego w myśl statutu krajowego jest uprawniony i co mogłoby było tylko wyjść na korzyść kasy krajowéj, uposażyłoby ją bowiem w znaczniejszą ilość gotówki; a nadto przeszkodziło to zastrzeżenie uregulowaniu budżetu krajowego, z tysiącznych względów tyle pożądanemu dla Galicyi. Chodziło więc o usunięcie raz na zawsze tego zastrzeżenia, o ugodę z rządem, choćby nie opartą na ścisłéj sprawiedliwości, według któréj wszakże Galicya nietylkoby nic skarbowi państwa zwracać nie potrzebowała, ale miałaby jeszcze uzasadnioną pretensyę do zwrotu tego, co sama przez lat tyle, wbrew osnowie patentu Ferdynandowego — na amortyzacyę obligów pańszczyźnianych zapłaciła. Wydział krajowy był skromniejszy w swoich żądaniach; pragnął ugody na zasadzie *status quo*, t. j. aby rząd przynajmniéj nie upominał się już o to, co dawał przez szereg lat na poczet swego obowiązku. Ugoda ta po rozlicznych a bezskutecznych usiłowaniach, była przedmiotem uchwały sejmowéj z d. 20 października 1882 r., a następnie po przerwie lat przeszło siedmiu przedmiotem ponownéj uchwały sejmowéj w jesieni 1889 r., poczém nastąpiły znane rokowania w ubiegłéj sesyi parlamentarnéj. Sprawa idemnizacyjna miała się tu stać probierzem siły żywotnéj obecnego ministeryum, które przebyło ją szczęśliwie: ugodę rządu z Galicyą „względem ułożenia stosunku państwa do wschodnio- i zachodnio-galicyjskich funduszów indemnizacyjnych“, uchwalono w izbie poselskiéj po burzliwych naradach 14 i 15 maja, a w izbie panów d. 20 maja r. b.

Była to kampania, która wymowniéj, niż wszystko inne, dowiodła zwyrodnienia wielkiego narodu myślicieli. Miast spodziewanéj wyrozumiałości i sprawiedliwości, napotkaliśmy ślepą i bezgraniczną nienawiść. Ci, którzy mienią się szermierzami swobód konstytucyjnych w Austryi, składali usta do pochwał, a ręce do frenetycznych oklasków, kiedy wróg ich najzaciętszy, lecz w téj chwili drogi sprzymierzeniec, znany klerykał, hofrat Lienbacher, krzyżackim wierny

tradycyom, plwał na wszystko, co polskie. Ci sami członkowie liberalnéj lewicy nie mieli słów oburzenia, kiedy sędziwy prezes koła polskiego, Apolinary Jaworski, krótko lecz dosadnie odważył się scharakteryzować tyloletnią gospodarkę rabunkową Szulzów i Wencliczków w Galicyi, kiedy śmiał potępić ucisk i samowolę wszechwładnéj biurokracyi z czasów przedkonstytucyjnych! Nie tyle chodziło p. Jaworskiemu o wątpliwą uczciwość jednostek, ile o napiętnowanie systemu, równie zgubnego, jak obecny system wynaradawiania w Prusiech, o którego wcielaniu w czyn dzienniki aż nadto częstą przynoszą wiadomość, a do którego rząd pruski jawnie w parlamencie się przyznaje. Więc nie było właściwie o co gniewać się tak bardzo za małe, jakkolwiek może niewygodne wspomnienie historyczne, zwłaszcza, że odnośny ustęp mowy p. Jaworskiego stosował się do rządu absolutnego, z którym przecie ani obecny, ani jakikolwiek były rząd lub frakcya, stojąca na gruncie konstytucyi, nie powinnaby do żadnéj przyznawać się wspólności. A jednak stało się inaczéj. Niemcy w parlamencie i w prasie zręcznie odegrali komedyę oburzenia, znalazł się nawet historyograf rządowy, Alfred Ritter von Arneth, dyrektor archiwum państwowego i prezydent wiedeńskiéj akademii umiejętności, który jako członek izby panów zadać śmiał kłam historyi i okrył się śmiesznością uroczystym protestem przeciw dowiedzionym faktom dziejowym. Ponadto jednak sam rząd,—czy z wrodzonéj słabości i niezdecydowania, czy folgując nieprzystępnéj ogółowi racyi państwowéj, a może chcąc pogłaskać Niemców dla sprawy ugody czeskiéj, uznał za potrzebne przez usta ministra dla Galicyi, Zaleskiego, zsolidaryzować się z gabinetem Bacha i narzucając się na sędziego w sprawie, w któréj już historya wydała swój wyrok, oświadczyć, iż nie uznaje za słuszne „uogólniań“ posła Jaworskiego. Nie długo jednak dała na siebie czekać odpowiedź kraju. Oto stolica jego, Lwów, nadała p. Jaworskiemu za inicyatywą znanego adwokata i radnego, d-ra Maryańskiego, obywatelstwo honorowe, najwyższy zaszczyt, jaki miasto ma do udzielenia, a głośny uczony i członek izby panów, prof. dr. Małecki, oświadczył na posiedzeniu rady miejskiéj, że chodziło o złożenie tym sposobem hołdu stolicy posłowi Jaworskiemu właśnie za ten ustęp jego mowy, który takie rozdrażnienie na lewicy wywołał, za niepospolitą odwagę cywilną, jakiéj złożył dowód, niwecząc raz na zawsze legendę o życzliwości dawnéj, reakcyjnéj Austryi dla Polaków.

Tak zakończyła się jedna burza przeciw zasłużonéj jednostce zwycięstwem dobréj i uczciwéj sprawy. Na innym przecie tryumfie musiało nam zależéć przedewszystkiém.

Lewica w komisyi i w izbie poselskiéj głosowała za wnioskiem

mniejszości (referent: *Hofrath* Beer), zmierzającym do wezwania rządu, aby sprawę indemnizacyjną przedłożył trybunałowi państwa do rozpatrzenia zasadności pretensyi rządu do Galicyi. Wniosek ten, na pozór nieszkodliwy i w obec słuszności naszéj sprawy chyba tylko niemiłą odwłokę w pomyślném jéj załatwieniu zwiastujący, komentowały organa lewicy, a na ich czele Nowa *Presse*, stała nieprzyjaciółka Galicyi, w ten sposób, że Polacy pod koniec sesyi parlamentarnéj chcieliby ułowić dla swego kraju tłusty podarek w kwocie 105 milionów zł., z uszczerbkiem dla ogółu podatkujących monarchii, że te 105 milionów stanowią rzeczywisty dług Galicyi na rzecz Austryi i że dlatego załatwienie sprawy téj ugodą byłoby niewczesną i nie licującą ze stanem skarbu państwowego faworyzacyą Beniaminków gabinetu, Polaków, przed którymi i tak wszystkie inne stronnictwa uginać muszą karki. „Darowizna“ brzmiało z ust wszystkich mówców lewicy, „darowizna dla Galicyi“ (*Ein Geschenk für Galizien*) czytano codziennie na szpaltach gazet niemieckich. „Kto chce otrzymać darowiznę, winien prosić, ale nie rozkazywać. Polacy przybrali w téj dyskusyi ton dyktatorski, jak gdyby im się naprawdę coś od nas należało. A zresztą jeśli tak jest, trybunał państwa niech między nami rozstrzyga.“ Takie i tym podobne głosy dawały się słyszéć w ciągu dyskusyi. Teroryzowano i podjudzano nieustannie opinię publiczną, znęcano się nad Młodoczechami, dlatego że postanowili iść w tym wypadku ręka w rękę ze Staroczechami i Galicyą. Nawet klerykałów, którzy z hr. Brandisem na czele usunięciem się od głosowania przeważyli salę zwycięstwa na rzecz rządu, spotkały ostre i namiętne zarzuty. A już nie do opisania była wściekłość Niemców, kiedy przedłożenie rządowe większością — acz słabą — 18 głosów przyjęte zostało w trzeciém czytaniu.

*Calumniare audacter, semper aliquid haeret.* I w nas, gdy tak często wyraz: darowizna obijał się nam o uszy, obudzić się musiała wątpliwość o słuszności naszéj pretensyi — i my sami poczęliśmy sobie poszeptywać i winszować na ucho dobrego interesu. Nie wiele pomogło nawet szlachetne oświadczenie samego cesarza [1]), że odpisanie mniemanéj pretensyi rządu do Galicyi w łącznéj kwocie 105 milionów zł. nie było żadną darowizną, gdyż pretensya owa była fikcyjna, a żądanie Galicyi, aby rząd zrzekł się téj pretensyi, zupełnie uzasadnione. To zdanie cesarskie tłómaczono po prostu, jako nowy objaw życzliwości monarchy dla Galicyi, ale trwano przy dawniejszéj opinii. Chodzi

[1]) Kilka tygodni temu przy otwarciu delegacyi wspólnych rozmawiał cesarz o tym przedmiocie z deleg. Bilińskim.

więc o przeprowadzenie i rozpowszechnienie innego, ściślejszego dowodu.

Istnicje w téj sprawie cała obszerna literatura, najobfitszego atoli źródła dostarczają mowy sejmu galic. i austr. rady państwa za czas od r. 1848 po dzień dzisiejszy, jak niemniéj sprawozdania komisyi obu tych ciał parlamentarnych, którym w ciągu tego długiego okresu czasu roztrząsanie téj sprawy bywało poruczane. Atoli te wszystkie mowy i sprawozdania zbyt są dla ogółu nieprzystępne, aby wystarczyło, dla odparcia baśni o darowiźnie, na ich wywody się powołać. Z drugiéj jednak strony honor kraju nieodzownie tego wymaga, aby w obec obelg nań miotanych cała sprawa stanęła czysto i jasno przed opinią ogółu. To téż nie będzie może bez pożytku zestawić na tle ostatniéj dyskusyi parlamentarnéj treściwie i przystępnie choćby ważniejsze *pro* i *contra*, dotyczące kwestyi darowizny i w ten sposób ułatwić czytelnikowi wyrobienie sobie sądu.

Wiadomo już, że ze stanowiska patentu z d. 17 kwietnia 1848 r. wynagrodzenie uprawnionych za zniesienie powinności poddańczych nastąpić miało „ze strony skarbu państwa“ i „z ofiarami skarbu państwa.“ Otóż posłowie Beer i Lienbacher usiłowali dowieść, że skoro w tym patencie nie powiedziano wyraźnie „kosztem skarbu państwa“ (*auf Kosten des Staatsschatzes*), podobnie jak w rozp. min. z 17 kwietnia 1848 r. i w okólniku guber. z 22 kwietnia 1848 r., przeto Stadion, ówczesny gubernator Galicyi, w okólniku owym przekroczył po prostu zakres swéj władzy, obwieszczając ludowi swéj prowincyi, „że rząd nadaje im grunta na własność, a cesarz za to szlachcie zapłaci,“ zwłaszcza, że okólnik z 22 kwietnia ogłoszony został znacznie *przed* patentem z 17 kwietnia, a to tylko decydującém być może w danym wypadku, co monarcha podpisał i co zyskało moc ustawy, a nie co jakiś tam komisarz rządowy, lub namiestnik obwieścił. Dowiódł jednak poseł Gniewosz, że okólnik guber. Stadiona z 22 kwiet. 1848 r. Nr. 34,563 powstał z polecenia ówczesnego ministeryum i w porozumieniu z takowém, że minister-prezydent br. Pillersdorf i minister skarbu Krauss akceptowali go w uwzględnieniu szczególnych stosunków galicyjskich, i że Pillersdorf, w odczytanym przez posła Gniewosza liście do Stadiona, wyraźnie udzielił mu swéj aprobaty, że wreszcie podczas obrad sejmu kromieryskiego (1848 r.) nad wnioskiem Hanusza Kudlicha w przedmiocie zniesienia pańszczyzny w całéj Austryi; minister skarbu, Krauss, wyłuszczał obszernie powody, dla których państwo zmuszczoném było wziąć na siebie w Galicyi koszta indemnizacyi, a zarazem przyjął z tego powodu na rząd całą odpowiedzialność [1]).

---

[1]) Uwaga posła Magga, że po wypadkach marcowych w Austryi, nie wie-

Podnósł daléj poseł Lienbacher, że w każdym razie patent z 17 kwietnia 1848 r. zniesiony został patentem z 7 września t. r., przerzucającym wrzekomo koszta indemnizacyi na kraj. Dla odparcia tego twierdzenia nie będziemy się powoływali na opinię tak znakomitego i wytrawnego prawnika, jakim jest Ryszard hr. Belcredi, obecny prezydent trybunału administracyjnego, który w izbie panów powiedział dosłownie: „*Dieses Kaiserliche Patent ist in dem oben erwähnten Puncte nie aufgehoben, oder modifiziert worden*" (str. 1131 sprawozd. stenogr.); wolimy bowiem odmienne zapatrywanie naszych mężów stanu od lat 40-tu uzasadnić ściśle rzeczowo. Otóż twierdzimy, że patent z 17 kwietnia 1848 r. *nie* został zniesiony patentem z 7 września t. r., ten ostatni bowiem wcale o tém nic wspomina, ani gdyby nawet wspominał, nie odnosi się do Galicyi, ani wreszcie nie było nigdy intencyą ustawodawcy uchylenie lub zmotyfikowanie postanowień patentu z 17 kwietnia. Uzasadnimy to szczegółowiéj. Patent z 7-go września 1848 r. nie odnosi się właściwie do Galicyi, tu bowiem już patentem z 17 kwietnia t. r. zniesiona została pańszczyzna z dniem 15 maja 1848 r., uprawnieni do poboru wynagrodzenia przyjęli należycie im obwieszczoną obietnicę rządu, że wynagrodzenie to w całości ze skarbu państwa zostanie im wypłacone, wierzyciele hypoteczni uprawnionych uzyskali również ekwiwalent utraconego wskutek zniesionych powinności poddańczych zabezpieczenia w przyznaném wynagrodzeniu indemnizacyjném [1]). W obec tego zaś i dla samych uprawnionych, i dla ich wierzycieli hypotecznych powstała pewna wierzytelność prywatno-prawna do skarbu państwa, któréj jednostronnym objawem woli, choćby w formie ustawy, unieważnić ani cofnąć nie można było. Zaznaczyli wreszcie podczas dyskusyi nad patentem z 7 września 1848 roku posłowie, Adam Potocki i Machalski, jak to pos. Gniewosz przypomniał, że w Galicyi pańszczyzna wówczas już nie istniała, więc nie było już przedmiotu, do któregoby się patent z 7 września 1848 r. miał odnosić. Lecz pominąwszy to wszystko, patent z 7 września nie przerzuca nigdzie kosztów indemnizacyi na kraj, a § 8 *d*), na który Lienbacher dla poparcia swego odmiennego zdania się powołał, stanowi jedynie, że komisya, mająca się utworzyć z delegatów wszystkich pro-

dzieć co obiecywano i że dlatego do pat. z 17 kwietnia 1848 r. nie należy przywiązywać najmniejszego znaczenia, nie ma oczywiście żadnéj doniosłości prawnéj. Pominąwszy bowiem, że ten patent był owocem dojrzałéj rozwagi i głębokiego namysłu, patent ten zaopatrzony jest we wszystkie znamiona wymagane przez ustawę i nic mu tego charakteru i powagi odjąć nie potrafi.

[1]) Por. w tym względzie mowę Gniewosza.

wincyi, ma wypracować i przedłożyć sejmowi państwa (*der Reichsversammlung*) projekt ustawy, która zawierać ma między innemi postanowienia względem miary i wysokości udzielić się mającego wynagrodzenia i względem mającego utworzyć się na ten cel funduszu ze źródeł odnośnéj prowincyi, z któregoby jedynie na dotyczącą prowincyę wyrachować się mająca kwota indemnizacyi za pośrednictwem rządu umorzoną być mogła [1]). Znaczy to jedynie, że komisya, którą się utworzy z posłów wszystkich prowincyi, wypracuje i przedstawi sejmowi państwa projekt ustawy, zawierający postanowienia o mierze i wysokości wynagrodzenia, jakie dać należy, tudzież o funduszu na pokrycie tego wynagrodzenia przeznaczonym. Fundusz ten wprawdzie utworzy się ze źródeł każdéj prowincyi z osobna i z niego to za pośrednictwem państwa umorzy się kwotę idemnizacyjną, jaka wyłącznie dla téjże prowincyi wyrachowaną będzie, — ale dopiéro wówczas, jeśli tak komisya owa postanowi i projekt taki wypracuje i jeśli nadto sejm państwa projekt ten zaakceptuje i uchwali. Cały ten ustęp był przeto wskazówką dla prac komisyi i niczém więcéj. Mowa tu tylko o komisyi, któréj powierzoném zostało wypracowanie ustawy nie zaś o ustawie saméj, nie powiedziano zgoła, że fundusze krajowe są obowiązane uczestniczyć w kosztach indemnizacyi, a ustawa, wydać się mająca, ma jedynie bliżéj oznaczyć sposób pociągnięcia ich do ponoszenia tych kosztów, lecz poprzestano na poleceniu komisyi, aby nad tą kwestyą się zastanowiła i projekt ustawy zgodnie z zarysem przez sejm państwa nakreślonym wypracowała. A czy komisya wywiązała się ze swego zadania, czy sejm państwa radził kiedy nad wypracowanym przez tę komisyę projektem ustawy? Wszak patent z 15 sierpnia 1849 r., zawierający przepisy wykonawcze do patentu z 7 września 1848 r., zgoła innym czynnikom zawdzięcza swe powstanie. A więc to wszystko, co § 8 *d*) orzeka, jest tak samo bez znaczenia, jak bez znaczenia jest dla Galicyi postanowienie § 2 względem zniesienia wszelkich różnic między dworskiemi a włościańskiemi gruntami, jak bez znaczenia jest dla Galicyi postanowienie § 11 o zniesieniu prawa propinacyi,—oba te przepisy nie weszły wówczas w wykonanie.

Ale choćby tak się rzecz nie miała, w każdym razie należałoby stosownie do § 6 ustawy cywilnéj austr., przepis § 8 *d*) patentu z 7-go września 1848 r. tylko tak tłómaczyć, jak „właściwe znaczenie wyra-

---

[1]) „Ueber den Massstab und die Höhe der zu leistenden Entschädigung, und über den aus den Mitteln der betreffenden Provinz zu bildenden Fond, aus welchem lediglich die für die betreffende Provinz zu berechnende Entschädigungsquote, durch Vermittlung des Staates getilgt werden könnte.

zów w związku rozważonych i wyraźna intencya ustawodawcy“ na to zezwala. A jakież było właściwe znaczenie wyrazów: ze środków krajowych, jakąż była wola ustawodawcy przy uchwaleniu tylekroć wspomnianego § 8 *d*)? Trzeba wiedzieć, że, jak sam poseł Beer przyznaje, wówczas przez „środki krajowe“ rozumiano powszechnie środki w kraju się znajdujące, a więc dobra i lasy skarbowe, żupy i warzelnie soli, dodatków zaś krajowych wcale jeszcze wówczas nie było. Tak samo rozumiał zwrot ten Smolka i jako federalistra, zmierzający do jak największego rozluźnienia węzłów między krajami koronnemi a monarchią, do utworzenia w każdym z nich samorządu z samoistnym systemem podatkowym, z własnym budżetem, własną milicyą etc., nie mógł go nawet rozumiéć inaczéj. W chwili urzeczywistnienia tego planu, cały majątek skarbu państwa t. zw. dobra koronne stałyby się własnością poszczególnych prowincyi, wówczas zaś słuszność wymagała, aby Galicya przejęła także obowiązki, przez skarb państwa zaciągnięte. W tém znaczeniu powiedział Smolka, że z przeprowadzeniem téj zasady w Galicyi nie będzie żadnych trudności, co sprawozdawca mniejszości hofrat Beer skwapliwie podchwycił i przeciw Galicyi zużyć usiłował. Mówca ten jednak nie wspomniał, że Smolka, obawiając się słusznie fałszywéj interpretacyi § 8 *d*), wniósł zarazem do § 5 zbiorowego wniosku (*Collectivantrag*) poprawkę téj treści: „iż wyznaczyć należy jak narychléj słuszne wynagrodzenie ze środków państwowych (*aus Staatsmitteln*) i wniosek ewentualny: „iż wyznaczyć należy jak najrychléj słuszne wynagrodzenie, a mianowicie w Galicyi ze źródeł państwa.“ Mówca ten zamilczał również, że Smolka dlatego tylko poprawkę tę cofnął, ponieważ referent Lasser wyraźnie oświadczył: „I ci, którzyby chcieli, aby państwo płaciło indemnizacyę i ci, którzyby chcieli, aby chłop wszystko płacił, mogą się bardzo łatwo złączyć w tém, że w każdym razie państwo wstąpi pomiędzy strony jako pośrednik. Z jakich środków fundusz ten będzie utworzonym, całkiem się opuszcza, ale państwo winno wstąpić jako pośrednik między uprawnionego a obowiązanego“ [1]). Po przeprowadzeniu wyczerpującéj dyskusyi po głosowaniu, 31 sierpnia 1848 r. odbytém, Lasser 5 września t. r. powiedział: „Przechodzę teraz do drugiego ustępu, który odpowiada na pytanie, kto ma opłacać wynagro-

---

[1]) „Selbst diejenigen, welche wollen möchten, dass der Staat die Entschädigung leiste und diejenigen welche wollen möchten, dass der Bauer Alles zahle, können sich recht leicht vereinigen darin, dass jedenfalls der Staat vermittelnd zwischen beide zu treten haben. Aus welchen Mitteln dieser Fond creirt wird, ist ganz weggelassen.“

dzenie? Sądzę, że i na to pytanie znajduje się odpowiedź w poprawce zbiorowéj. Poprawka ta mówi bowiem w § 8, że komisya zaprojektować ma izbie, z jakich środków poszczególne prowincye zapłacić mają przypadające wynagrodzenie. Być może, a ja z méj strony z góry jestem przeświadczony o tém, że dla jednéj lub dla drugiéj prowincyi nie będzie innego sposobu zapłaty, jak za pośrednictwem państwa; atoli inne prowincye będą miały znów środki, które umożliwią im pokrycie wynagrodzenia bez uiszczenia całéj kwoty wynagrodzenia ze strony państwa" [1]). Lasser wcale więc nie przypuszcza, aby państwo mogło być zupełnie od tego wydatku zwolnione sądzi tylko, że państwo w jednym wypadku zniewolone będzie cały wydatek, w innym tylko przyczyniać się do niego. Sam więc daléj powiada: „Stylizacya poprawki zbiorowéj wcale nie wyklucza wynagrodzenia ze strony państwa, lecz tylko stanowi, że dla każdéj prowincyi poszczególnéj środki mają być ustanowione i zaprojektowaném ma być przez komisyę, w jaki sposób mogłoby być świadczoném wynagrodzenie w odnośnym kraju koronnym" [2]).

Sądzimy, że ten stan rzeczy, który ze zwykłą gruntownością przypomniał izbie poseł Gniewosz, przekonać może każdego nieuprzedzonego o rzeczywistych intencyach ustawodawcy, bo jeśli kto, to niewątpliwie Smolka jako wnioskodawca § 8 *d*), i Lasser jako referent ustawy znać musieli te intencye. To więc, co oni o znaczeniu § 8 *d*) powiadają, uchodzić musi za wykładnię autentyczną.

Dnia 4 marca 1849 r wydał rząd patent wykonawczy do pat. z 7 września 1848 r., w którym wyraźnie zaznaczył, że według jego zdania Galicya w téj sprawie zajmuje zupełnie odrębne stanowisko. Nietylko bowiem zaopatrzył go tytułem: „Dla wszystkich tych krajów

---

[1]) „Ich komme nun auf den zweiten Absatz der die Frage beantwortet, wer die Entschädigung zu leisten habe? Ich glaube, dass auch diese Frage bereits im Collectivamendement beantwortet sei. Das Collectivamendement sagt nämlich in § 8, dass die Commision Vorschläge an das Haus zu bringen habe, aus welchen Mitteln die einzelnen Provinzen die entfallende Entschädigung zu leisten haben. Es ist möglich und ich für meine Person bin im Vorhinein überzeugt, dass für die eine oder die andere Provinz kein anderer Ablösungsmodus übrig bleibt, als durch den Staat: allein andere Provinzen werden wieder Mittel haben, die es ihnen möglich machen die Entschädigung zu leisten, ohne dass die ganze Entschädigungssumme vom Staate geleistet werden muss."

[2]) „Die Fassung des Collectivamendements schliesst also keineswegs die Entschädigung durch den Staat aus, sondern nur ganz einfach, dass für jede einzelne Provinz die Mittel von der Commission bestimmt und vorgeschlagen werden sollen, wie für die betreffende Provinz die Entschädigung geleistet werden könnte."

koronnych, w których obowiązuje patent z d. 7 września 1848 r., ale nadto w § 34 wyraźnie orzekł: „Co do Królestwa Galicyi osobném zarządzeniem ustanowi się sposób wykonania patentów z 17 kwiet. 1848 r. i 7 września 1848 r.“ Sposób wykonania tych patentów w Galicyi określił dopiéro patent z 15 sierpnia 1849 r. I tu powiedziano wyraźnie w § 17, że całe wynagrodzenie za zniesione patentem z 17-go kwietnia 1848 r. powinności poddańcze, wypłaci się całkowicie ze skarbu państwa (*vollständig aus dem Staatsschatze*). A jakkolwiek § 26 tego samego patentu opiewa: „Przedmiotem osobnéj rozwagi w drodze ustanowionéj konstytucyą będzie sprawa utworzenia wskutek ust. z 7 września 1848 r. § 8 lit. *d*) ze źródeł krajowych funduszu na pokrycie należącego się uprawnionym za pośrednictwem skarbu państwa wynagrodzenia“; to jednak nie da się stąd żadną miarą wysnuć wniosek, jakoby tym sposobem ustaloną została zasada, że utworzyć się mający fundusz istotnie ze źródeł krajowych powstanie, § 26 powołanego patentu mówi bowiem wyraźnie o drodze konstytucyjnéj; gdy zaś w myśl § 35 obowiązującéj wtedy konstytucyi 4 marca 1849 r. wszystkie sprawy finansów krajowych i mienia krajowego przekazane zostały sejmom krajowym, przeto i prawo utworzenia funduszu na pokrycie należącego się uprawnionym wynagrodzenia na téj podstawie, bezprzecznie było atrybutem sejmu krajowego. Za tém zapatrywaniem przemawia także brzmienie § 89 rozp. min. spr. wew. z 28 czerwca, a właściwie 4 października 1850 r. (l. 1 dz. u. kr. ex. 1851), który opiewa: „Będzie najpilniejszém zadaniem reprezentacyi kraju wydać stosowne zarządzenie w celu obmyślenia funduszu ze środków krajowych dla pokrycia wynagrodzenia, należnego uprawnionym za pośrednictwem skarbu państwa.“ Czy atoli sejm kiedy podobny fundusz utworzył, czy dla utworzenia takiego funduszu obmyślił źródła potrzebne? Nigdy, a przeto mienie krajowe bezprawnie, gdyż bez udziału właściwego czynnika, pociągnięteby zostało do ponoszenia kosztów indemizacyi. Co zaś rozumiano wówczas przez środki krajowe, wyżéj już wyjaśniliśmy [1]).

Poseł Lienbacher powołał się nadto na patent z 25 wrześ. 1850 r. i na rozp. min. z 30 paźdź. 1850 r. A jakkolwiek uczynił to tak ogólnikowo, że dowiedziano się o tém właściwie dopiéro ze stenograficznego sprawozdania, to jednak nie zawadzi kilku słowy i ten argument scha-

---

[1]) Zresztą rozp. min. z 4 paźdz. 1850 wydane jako rozp. wykonawcze do patentów z 17 kwietnia i 7 września 1848 r., nie może miéć prawnego znaczenia w tych ustępach, w jakich od tych patentów odstępuje, jak trafnie hr. Belcredi w izbie panów zaznaczył.

rakteryzować. Patent z 25 wrześ. 1850, mający na mocy rozp. min. z 30 paźdź. 1850 zastosowanie także i do Galicyi, stanowi o utworzeniu funduszu indemnizacyjnego i wymienia jako źródła tego funduszu: wpłaty zobowiązanych, fundusze krajowe, dodatki do podatków i zaliczki ze skarbu państwa. Fundusze krajowe oznaczają toż samo, cośmy już wyżéj jako środki krajowe w rozumieniu patentu z 7 wrześ. 1848 określili. Co się tyczy dodatków do podatków, to poznaliśmy już przepis konstytucyi austryackiéj, oraz postanowienia samychże ustaw indemnizacyjnych, które uchwalanie i wymiar tego dodatku przekazują sejmom krajowym. Co się wreszcie tyczy wpłat zobowiązanych wedle wydanych ustaw (*infolge der erlassenen Gesetze*), to słusznie zauważył Belcredi w izbie panów, że skoro wydane zostały ustawy, według których p a ń s t w o jest owym zobowiązanym, t. j. patent z 17 kwiet. 1848 i 15 sierp. 1849, przeto patent z 25 wrześ. 1850 zawiéra tylko zatwierdzenie owych poprzednich patentów i nic więcéj. Wymienieniem więc patentu z 25/9 1850 i odnośnego rozporządzenia z 30/10 1850 niczego p. Lienbacher nie udowodnił. Ale poszedł on daléj. Powołał się na „wielkiéj doniosłości“ § 6 pat. z 12 marca 1851, w którym istotnie jest mowa o wynagrodzeniu z funduszów krajowych. Szkoda tylko, że pos. Madeyski schwycił przeciwnika na gorącym uczynku, stwierdzając natychmiast, że ów patent nie był nigdy wydany dla Galicyi, lecz jedynie dla okręgu b. rzplitéj krakowskiéj, stanowiącéj wówczas jeszcze odrębną od Galicyi całość; a sam referent mniejszości, hofrat Beer musiał w tym wypadku przyznać słuszność Polakom [1]).

Ale atutem Lienbachera i Magga było postanowienie ces. z 13 paźdź. 1857, przyznające funduszom indemnizacyjnym wschodniéj i zachodniéj Galicyi zaliczkę w kwocie 2,500,000 zł. m. konw., czyli 2,625,000 złr. wal. austr. rocznie „z zastrzeżeniem pretensyi do zwro-

---

[1]) Ten jeden przykład świadczy wymownie o sposobie walki przeciw nam prowadzonéj. Wskutek tego zapewne uskutecznił zdemaskowany Lienbacher w stenogr. sprawozdaniu (str. 15641) dopisek słów: „*für Krakau*“, których jednak w izbie nikt nie słyszał! Nie zapomniał również p. Lienbacher wymienić § 3 ces. pat. z 29 paźdź. 1853, stanowiącego wyraźnie, że wierzytelność skarbu państwa do funduszów indemnizacyjnych ma być zapisaną jako taka do ksiąg kredytowych odnośnego funduszu (*Das Guthaben ist auf dessen Creditbüchern vorzuschreiben*) Lecz i na tę uwagę p. Madeyski nie pozostał dłużnym odpowiedzi, powołując się poprostu na zasadę proceduralną: *scriptura probat contra scribentem*“ a nie „*pro scribente*“. Okoliczność, że rząd, zawiadujący dotąd w Galicyi funduszami indemnizacyjnemi, wstawia sobie kwotę zaliczek udzielonych jako dług na rzecz skarbu do ksiąg funduszowych, nie dowodzi niczego o istocie téj wierzytelności, która tylko w drodze prawnéj ustaloną być może.

tu i z tymczasowém zawieszeniem oprocentowania i zwrotu“. Dowodzili oni — i w téj mierze nie można im odmówić słuszności, że pretensya do zwrotu pokrywa się z prawem państwa do żądania a obowiązkiem kraju do uskutecznienia tego zwrotu. Nie odpowiedzieli jednak ani słowem na pytanie, od kogo zwrot ten się należy i na czém on ma polegać. A pod obu względami nasuwają się poważne wątpliwości. Zwrot należéć się może tylko od tego, na czyją rzecz dokonano świadczenia. W tym wypadku świadczenie odbywało się na rzecz funduszów indemnizacyjnych, zostających aż do téj chwili w administracyi państwa. Skądże więc kraj, który wzbraniał się konsekwentnie objąć je w zarząd, dopóki cała sprawa uregulowaną nie będzie, miałby płacić cośkolwiek w zastępstwie tych funduszów? Konsekwentniejsze byłoby przypuszczenie, że zwrot należy się od zobowiązanych, na rzecz i w interesie których przedewszystkiém cała akcya się odbywała, gdyby bowiem zwrot jakiś miał należéć się jeszcze od uprawnionych, otrzymane przez nich swego czasu wynagrodzenie wyglądałoby do reszty na ironię, zwłaszcza jeśli się uwględni, że ci w dodatku indemnizacyjnym faktycznie zwrócili już większą część tego, co im tytułem wynagrodzenia przyznano. W najgorszym przeto razie zwrot należałby się od uwłaszczonych w r. 1848 włościan, a względnie od ich spadkobierców, nie zaś od ogółu podatkujących. Ale tu nasuwa się druga wątpliwość. Patent z 15 sierp. 1849 zawiéra w § 10 postanowienie, że zobowiązani winni uiszczać wynagrodzenie, przypadające za pozostawienie ich w wykonywaniu służebności nie do rąk uprawnionych, lecz wprost do kas państwa. To postanowienie nigdy nie weszło w życie, pozostawiono włościan bez żadnego z ich strony wynagrodzenia w wykonywaniu służebności. Lecz cóż był temu winien właściciel nieruchomości, uprawniony przez wydaną raz ustawę do poboru wynagrodzenia, które w myśl § 10 pow. pat. na rzecz skarbu państwa odstąpił! Trafnie więc zauważył p. Belcredi, że gdyby przyszło do zrealizowania tylekroć wspomnianéj pretensyi do zwrotu, mógłby jéj kraj skutecznie przeciwstawić należące się byłym uprawnionym wynagrodzenie za ustępstwo praw przysługujących im względem byłych poddanych swoich. Lecz gdyby nawet zwrot należał się od saméj Galicyi i nie dopuszczał kompensaty z wzajemną pretensyą uprawnionych, to jednak żądania zwrotu tego na najw. postanowieniu z 13 października 1857 oprzéć nie podobna. Postanowienie to nie jest wcale ustawą, nie zostało bowiem nigdy ani w dzienniku praw państwa ani ustaw i rozporządzeń krajowych ogłoszone [1]), mimo, że sam

[1]) §§ 2 i 3 austr. kod. cyw. stanowią, że działalność ustawy i wynikające z niéj skutki prawne biorą początek dopiéro od chwili należytego jéj ogłoszenia,

wydział krajowy natarczywie tego się domagał. Cała nasza wiedza o niém polega na fakcie udzielenia zaliczki w kwocie 2,625,000 złr. w. a. corocznie, tudzież na jakimś reskrypcie ministeryalnym streszczającym owe postanowienie [1]). Tak więc o jakichkolwiek skutkach prawnych tego nigdzie nie ogłoszonego, a przeto prawnie nikogo prócz samego rządu nie obowiązującego postanowienia nawet mowy być nie może. Na tém postanowieniu kończy się szereg ustaw indemnizacyjnych.

Przeprowadziliśmy czytelnika przez las sprzecznych i bałamutnych nieraz przepisów, lecz za to u końca żmudnéj téj wędrówki dobiliśmy się do sensu moralnego, który brzmi, że najłatwiéj hojnym być w cudzéj kieszeni. Cesarz rzymski darował w podobny sposób krzyżakom Litwę całą. Rząd austryacki uwłaszczył włościan galicyjskich kosztem skarbu państwa, aby potém koszta wszelkie przerzucać na kraj nietylko w téj połowie, w jakiéj koszta te inne prowincye Austryi ponosiły, ale i w téj drugiéj połowie, którą wszędzie indziéj ponosili zobowiązani. Doprawdy, że oklepany wiersz z Eneidy: *Timeo Danaos et dona ferentes*, aż się prosi o przytoczenie. Jakież tedy konkluzye nasuwają się nam na podstawie tego stanu rzeczy? Przedewszystkiém konsekwentnie rzecz biorąc, wszystko to, co płaciła Galicya przez szereg lat od r. 1853 na koszta amortyzacyi obligów indemnizacyjnych, w myśl patentu z 17 kwiet. 1848, żadną późniejszą ustawą nie uchylonego ani zmienionego, powinien był ponosić skarb państwa, a wobec tego, w razie wytoczenia sprawy przed trybunał państwa, wzajemna akcya Galicyi, oparta na § 1042 kod. cyw. [2]) miałaby wszelkie szanse powodzenia i musiałaby się utrzymać. Dla tego sądzimy, że można było dobitniéj, niż to się stało, odpowiedzieć na wniosek mniejszości komisyi, zmierzający do oddania sprawy trybunałowi państwa, groźbą skargi wzajemnéj, zwłaszcza, że z tą ewentualnością liczył się już raz gabinet Auersperga-Lassera, skoro wskutek referatu byłego ministra dla Galicyi, Ziemiałkowskiego, wywołanego podobną uchwałą parlamentarną, najznakomitsi prawnicy Austryi, Glaser i Unger, za-

---

to zaś nastąpić może w myśl pat. z 4 marca 1849 (l. 153 dpp.) tylko przez umieszczenie ustawy w dzienniku praw państwa. Por. także pat. z 27 grud. 1852 (l. 260 dpp., pat. 1 stycz. 1860 l. 3 dpp. i ustawę z 19 maja 1860 l. 45 dpp.

[1]) Był to reskrypt z 22 paźdz. 1857 r. wydany przez ministra skarbu Brucka do ówczesnego prezydenta galic. funduszu indem. Kalchberga. Z całego najw. postanowienia ogłoszono w dzienniku ustaw tylko przepisy dotyczące wylosowania obligacyi indemnizacyjnych.

[2]) „Kto dla drugiego czyni wydatek, jaki tenże według ustawy sam musiałby ponosić, ma prawo żądania zwrotu“. Przyznał to i komisarz rządowy w r. 1861 w sejmie.

siadający wówczas w gabinecie, zgodnie orzekli, że ani skargi przeciw Galicyi wytoczyć, ani summy zaliczek jako długu Galicyi uznać nie podobna, jak tego żądał ówczesny min. skarb. Pretis, gdyż w przeciwnym razie Galicya wystąpi przeciw skarbowi państwa i niechybnie spór wygra. Wiadomość o tém polega dotąd na ustnych informacyach, oczywiście bowiem protokóły posiedzeń ministeryalnych są osłonione najściślejszą tajemnicą. Sądzimy jednak, iż nie trudno byłoby pogłoskę tę sprawdzić i że ani Józef Unger, obecny prezydent trybunału państwowego, ani poseł Fl. Ziemiałkowski, byli członkowie gabinetu Auersperga, nie powinniby dzisiaj, gdy rzecz cała ostatecznie już została ubitą, odmówić stosownych wyjaśnień [1]). I ś. p. marszałek Zyblikiewicz był orędownikiem myśli, prawa wzajemnego, która w razie nieprzewidzianych wypadków politycznych byłaby mogła przybrać wyraźniejsze kształty. Bądź-co-bądź nie należało też zamilczéć o pretensyach Galicyi przy stylizacyi ugody zawrzéć się mającéj, lecz przeciwnie, objąć ugodą wyraźne zrzeczenie się téj pretensyi ze strony Galicyi, tak iżby ogół nieobznajmiony ze sprawą, wiedział przynajmniéj, że chodzi o kompensatę wzajemnych wierzytelności, a nie zaś o opust i ulgi jakie dla naszego kraju koronnego. Jednostronne zrzeczenie się choćby najbardziéj uzasadnione, choćby pretensya, któréj się zrzeczono, przy bliższém jéj rozpoznaniu rozpływała się w nicość, zawsze prędzéj podobne do prezentu, niż wzajemne zrzeczenie się pretensyi dwóch stron kontraktujących. Zamilczenie owych 132 milionów w ugodzie, tak wysoką bowiem jest wzajemna pretensya Galicyi obliczona już z uwzględnieniem obciążeń tą właśnie ugodą spowodowanych—nie przyniosło nam żadnéj korzyści, albowiem już tém samém, że wdaliśmy się w ugodę z rządem w téj saméj kwestyi, bez żadnych zastrzeżeń, wyrzekliśmy się swéj wierzytelności raz na zawsze. Na tyle liczymy się wprawdzie z realnemi stosunkami, aby zrozumiéć, że kwoty téj przy obecnym stanie skarbu austryackiego nie odzyskalibyśmy nigdy, można było atoli użyć jéj skutecznie do wymiany, do szachowania przeciwnika, a tego właśnie nie wyzyskaliśmy tak, jak należało. Lecz

[1]) W komisyi budżetowéj izby poselskiéj miał sam minister dla Galicyi, Zaleski, powołać się na tę opinię Glasera. To samo, co i Glaser. jota w jotę miał powiedziéć trzeci słynny prawnik, br. Hye, również były minister sprawiedliwości austryacki. My szczegóły te ciekawe, jak i wiele innych cennych i trafnych uwag zawdzięczamy posłowi Edw. Gniewoszowi. Czyżby nie było właściwém. aby sam Exc. Ziemiałkowski, który gruntownêm i wyczerpującém przedstawieniem rzeczy odniósł tak świetny w gabinecie tryumf i najwybitniejszych jego przedstawicieli zdołał ująć dla sprawy Galicyi, podał teraz ów epizod z jéj historyi do wiadomości publicznéj?

opuśćmy wreszcie to zasadnicze stanowisko i przypatrzmy się stosunkom, jakie w innych prowincyach w téj mierze istniały. Porównanie z niemi tém bardziéj jest potrzebne, ile że lewica kładła ustawicznie na to największy nacisk, że Galicya rości pretensye do jakiegoś odrębnego, uprzywilejowanego stanowiska, kiedy my oświadczamy z góry, że gdyby rząd był w Galicyi przeprowadził tylko ustawy, wydane dla innych prowincyi, a więc patent z 7 wrześn. 1848 i 4 marca 1849, obeszłoby się było bez ugody i Galicya zrobiłaby na tém jeszcze świetny interes. We wszystkich innych prowincyach połowę obliczonego na czysto wynagrodzenia opłacał zobowiązany, drugą połowę kraj, a gdyby kraj i téj połowy nie miał z czego opłacać, państwo winno mu było udzielić zaliczkę. W Galicyi stosunki od pierwszéj chwili były odmienne. Od zobowiązanego t. j. od chłopa, którego sobie zniesieniem pańszczyzny kosztem skarbu państwa zjednano, nie można było żądać owéj połowy, nie chcąc narazić się z jego strony na zarzut cofnięcia darowizny, nie chcąc stracić dogodnego narzędzia przeciw szlachcie. Nie żądano również od niego wynagrodzenia za pozostawienie go w używaniu służebności, które pierwotnie uprawnionemu, późniéj zaś do skarbu państwa miał płacić, lecz przeciwnie wstrzymano je reskryptem min. spraw wewn. z 22 lut. 1853, a potém zupełnie zniesiono najwyż. postanowieniem z 27 lut. 1858. Cały więc wydatek na indemnizacyę pokrywała 1853—1857 wyłącznie Galicya, od r. 1857 zaś pokrywa go w znacznie większéj połowie, a rząd dawał tylko zaliczki zwrotne i to na poczet połowy przypadającéj od zobowiązanych a nie od kraju. I stosunkowo biorąc, obciążenie Galicyi jest znacznie większe, niż innych krajów koronnych; kiedy bowiem dodatek indemnizacyjny w Czechach za r. 1887 i 1888 wynosił 4%, na Morawie za r. 1889—7%, na Szląsku za r. 1881 — 3%, w wyższéj Austryi za r. 1887 — 8%, w Salzburgu za r. 1887—10% — w niższéj Austryi od szeregu lat tylko 2%, jedna Galicya płaciła długie lata około 50% a za lata 1888 i 1889 — 27%, wreszcie za r. 1890 płaci jeszcze 26% podatków bezpośrednich w dodatku na cele indemnizacyjne. Od r. 1857 po koniec r. 1885 wydało państwo na ten cel 83,047,560 zł. 54½ cnt. Galicya zaś 89,402,240 zł. Wobec tych cyfr niezbitych, jak pełnym przewrotności i fałszu wydać się musi głos posła Derschatty i wtórującéj mu z zachwytem „Nowéj Pressy“ o nienasyconych chuciach reprezentantów Galicyi, dla dogodzenia którym chłop styryjski lub kraiński, ma krwawym potém uznojony (?) grosz złożyć na ołtarzu ojczyzny dla tego chyba, aby jedna Galicya mogła wyłamać się z pod ustaw, inne kraje koronne téj monarchii obowiązujących“ (!!).

Wskutek ugody, obciążenie Galicyi na rzecz rządu wzrosło jesz-

cze o całe 7,875,000 zł. [1]). Wprawdzie zyskaliśmy to, że rząd uznał udzielone przezeń od r. 1857 zaliczki za subwencye bezpowrotne, z drugiéj strony atoli zredukował ich pierwotną wysokość z 2,625,000 zł. już od 1 stycz. 1883 r. wstecz licząc na 2,100,000 zł. w. a. Wskutek tego należy się rządowi za czas od 1 stycz. 1883 r. do 1 styczn. 1890, w którym pełną kwotę subwencyi w myśl dotychczasych przepisów uiszczał, zwrot całéj nadpłaconéj kwoty po 525,000 rocznie w sumie 3,675,000 zł. Od 1 styczn. 1890 począwszy, do 1 styczn. 1898 obowiązał się rząd tytułem zaliczki płacić obok subwencyi 2,100,000 zł. jeszcze kwotę 325,000 zł. rocznie, która po ośmiu latach urośnie do kwoty 2,600,000 zł. Suma ta reprezentować będzie wraz z sumą 3,675,000 zł. bezprocentowy dług Galicyi w łącznéj wysokości 6,275,000 zł. Nareszcie zaś kraj dla wydobycia brakujących 200,000 zł. co roku będzie musiał w okresie ośmioletnim, dzielącym nas od ukończenia amortyzacyi obligacyi indemnizacyjnych, podnieść dodatek krajowy o 2 cnt., co spowoduje dalsze obciążenie kraju w sumie 1,600,000 zł. w. a.

Otóż uwzględniając cyfry te ustalone ugodą, przyjść musimy do rezultatu, że nie biorąc nawet w rachubę cyfr za czas przed emisyą obligów indemnizacyjnych t. j. za lata 1853—1857, te bowiem znane nam są tylko z wschodniéj Galicyi [2]), rząd wyda na cele indemnizacyi 107,985,060 zł., Galicya 132,814,740 zł., czyli okrągło o 25 milionów więcéj niż połowę. Gdyby się tedy rzecz tak miała, jak w innych krajach koronnych, byłaby Galicya zapłaciła o 12½ milionów mniéj, t. j. ściśle połowę ogólnéj potrzeby, drugą połowę zaś ponieśliby zobowiązani. Bez żadnéj ugody lub prezentu, wyłącznie na podstawie patentu z 7 września 1848 i 4 marca 1849, w innych krajach koronnych obowiązującego, należałby się Galicyi jeszcze zwrot co najmniéj 12½ milionów. Odrębnéj tylko i uprzywilejowanéj naszéj pozycyi w monarchii austryackiéj zawdzięczamy, że te 12½ milionów zostaną się bezpowrotnie w kasach rządowych.

Wiadomo, że najlepszą miarę sił własnych i nieprzyjacielskich daje dopiéro walka. Lewica dowiodła w ciągu dyskusyi parlamentarnéj, że nie wzdryga się przed żadnym, choćby wstrętnym jéj skądinąd

---

[1]) Kwota ta przedstawia oraz udział państwa w zamierzonym interesie konwersyjnym, czyli raczéj faktorne z góry eskontowane, o które pos. Kronawetter tak natarczywie imieniem państwa się upominał.

[2]) Pierożyński w dziele „Rozprawa o funduszach krajowych" podaje tę cyfrę na wschodnią Galicyę w kapitale 1,979,924 złr. 45 cnt. w odsetkach 790,416 złr. 20 cnt.

sojuszem, byle Galicyę poniżyć i oczernić przed światem, a witając wybuchami bezsilnéj, pieniącéj się wściekłości wniesienie i uchwalenie ugody indemnizacyjnéj, uniemożliwiła ona na długie czasy wszelką między nami łączność. Za to po prawicy znaleźliśmy dzielnych i wytrawnych obrońców: poseł czeski Zeithammer, jako referent większości parlamentarnéj, opracował wyśmienicie gruntowne i wyczerpujące sprawozdanie, członek izby panów hr. Belcredi, prezydent trybunału administracyjnego, wygłosił w obronie naszéj sprawy znakomitą mowę; koło polskie w izbie poselskiéj wysłało do boju trzech najdzielniejszych szermierzy: Gniewosza, Jaworskiego i generalnego mówcę *pro* Madeyskiego, słynącego zarówno z katedry profesorskiéj, jak z trybuny parlamentarnéj. Tylko rząd sprzyjający wrzekomo Galicyi nie popisał się jako sprzymierzeniec. Już w motywach rządowych do wniesionego projektu znalazła się arcy-oryginalna uwaga, że zgodnie z intencyą w chwili wydania ces. postanowienia z 13 paźdz. 1857 istniejącą, rząd przystępuje w chwili obecnéj do odpisania i uznania za umorzone — udzielonych krajowi zaliczek z dwóch powodów: po pierwsze dla tego, ponieważ budżet Austryi doszedł już do równowagi a powtóre dla tego, ponieważ Galicya znajduje się w tém położeniu, iż nie mogłaby sumy téj zwrócić skarbowi państwa. Wobec tylu innych przyczyn przemawiających za ugodą z zasadniczych względów, uznano za stosowne wysunąć na pierwszy plan naszą „bierność“ finansową i nią umotywować ten mizerny strzęp sprawiedliwości, który po dziesiątkach lat samowoli biurokratycznéj dostał się nam w udziale [1]). Wówczas pisaliśmy o tym ustępie motywów: „Galicya jest biédnym krajem, to prawda, ale nikt a choćby rząd nie śmié obwoływać jéj bankrutem. Galicya zobowiązania swoje wypełnia ściśle i krwawo zapracowanym groszem nie przestaje zasilać skarbu państwa. Galicya płaci swoje i cudze długi, płaci bowiem i annuitety indemnizacyjne. Czy to jest dowód bierności, czy to dowód niemożności płacenia?“ Galicya zapłaci i pretensye rządu do ostatniego szeląga, ale niech wprzód sąd kompetentny orzeknie, że ta kwota się rządowi należy. Wierzycielewi nie wolno kwestyonować wypłacalności dłużnika, póki nie uzyska wyroku, nie przeprowadzi egzekucyi, nie przekona się, że egzekucya ta została bezowocną. Jakże więc rząd dziś, kiedy nawet akcyi przeciw krajowi nie wytoczył, gdy sam pretensyę swoją wątpliwą nazywa, gdy przy sfinansowaniu obligacyi propinacyjnych miał świéży dowód zasobności Galicyi, gdy wreszcie jemu samemu zależéć winno na utrzy-

---

[1]) Por. artykuły: „Die galizische Grundentlastungsfrage“ von Dr. Leopold Caro w dzienniku: „Die Presse“ Nr. 59 i 60 z 1 i 2 marca 1890.

maniu kredytu swéj prowincyi, może mówić o niemożności zwrotu ze strony Galicyi. Jeżeli to ma być motywem rządu, jeżeli kosztem dobréj sławy Galicyi, nadszarpanéj już dosyć przez organa lewicy, okupić mamy ugodę, przynoszącą nam w darze, nie odpisanie przeszło 75 milionów złr. długu, bo o to nie dbamy wcale, bo tego długu i tak byśmy nie płacili, ale obciążenie większe Galicyi o blisko ośm milionów złr., tedy dziękujemy pięknie za taką ugodę i proces od niéj wolimy! Wierzymy bowiem, że nie znajdzie się taki trybunał państwa, któryby na podstawie wydanych w téj sprawie ustaw, za rządów tego sprawiedliwego monarchy, mógł państwu cośkolwiek z jego uroszczonych wierzytelności przyznać i kraj od wzajemnych wierzytelności odsądzić. Lecz nawet gdyby tak nie było, gdybyśmy mieli przegrać przed trybunałem państwa, wolimy płacić niż przyjmować jałmużnę.

Galicya ma wszelkie po temu warunki, aby stać się krajem wielkim, bogatym, potężnym. Przyroda wyposażyła ją w skarby swoje obficie; rządy biurokracyi niemieckiéj paraliżowały każdą śmielszą inicyatywę, każdy krok samodzielny mieszkańców téj ziemi. Pod egidą systemu samorządnego zaczyna Galicya budzić się do nowéj twórczości ekonomicznéj, aby podążyć za innemi, szczęśliwszemi krajami koronnemi monarchii. Czyliż w tych ciężkich zapasach z nieprzychylnym dotąd losem, w téj chwili przełomu, jaką dziś przebywa Galicya, u progu świetnéj przyszłości ekonomicznéj, ma ją spotkać zarzut, że nie płaci swoich długów, lub jak się motywa oględniéj wyrażają, że nie ma funduszów na ich płacenie?“ [1]). Przytoczyliśmy słowa te nie względu na osobę ich autora, ale ze względu na to, że wszyscy wraz z nami czuli się wówczas dotknięci krzywdą wyrządzoną Galicyi tym ustępem motywów rządowych. A jednak minister dla Galicyi, p. Filip Zaleski ten sam argument przytoczył w izbie poselskiéj za ugodą, tak, że ostatecznie — o ironio losu! — pierwsza obroniła nas „*Neue Freie Presse*“, nazywając słusznie mowę ministra nie bardzo zachęcającém preludyum do zamierzonéj przez kraj konwersyi resztującego długu indemnizacyjnego.

Ugoda idemnizacyjna ogłoszona już w dzienniku praw państwa, jako ustawa z d. 5 czerwca 1890 l. 110, z kontrasygnaturą Taaffego i Dunajewskiego, upoważnia c. k. administracyę państwa do podpisania z reprezentacyą królestw Galicyi i Lodomeryi z W. Ks. Krakowskiém ugody na znanych nam już warunkach. Wydział krajowy dotąd jednak wzbrania się ugodę tę bez upoważnienia sejmu krajowego

---

[1]) „W sprawie ugody indemnizacyjnéj“ artykuł VI, nap. dr. Leopold Caro. „Gazeta Narodowa“ Nr. 51 z d. 2 marca 1890.

podpisać, pragnąc widocznie podzielić się odpowiedzialnością za podpisanie tej ugody z sejmem całym. Dla wszechstronnego zrozumienia sytuacyi, wytworzonéj tym oporem wydziału krajowego, cofnąć się musimy wstecz nieco. Dnia 20-go października 1882 r. sejm uchwalił pierwotne upoważnienie dla wydziału krajowego do zawarcia ugody z rządem i w przypuszczeniu, że ugoda ta przez radę państwa natychmiast zostanie przyjęta, ustanowił termin rozliczenia wzajemnego w d. 1 stycz. 1883 r. i kwotę odpisać się mających, a po ten dzień udzielonych zaliczek rządowych w sumie 75,172,560 zł. 54⁵/₁₀ ct. redukując, oraz już od tego dnia bezzwrotną subwencyę z 2,625,000 zł. na 2,100,000 zł. Wbrew przypuszczeniu sejmu, ugoda ta ugrzęzła wówczas w komisyi izby poselskiéj, a w sejmie poruszona została dopiéro wnioskiem Alfreda hr. Potockiego, na skutek którego sejm dnia 20-go stycznia 1887 r. powziął uchwałę, wzywającą rząd „do przeprowadzenia na drodze konstytucyjnéj ugody w myśl swego przedłożenia z 9-go września 1882 r. i uchwały sejmowéj z 20-go października 1882 r.“ Z motywów sprawozdania komisyjnego i przemówienia sprawozdawcy posła Chrzanowskiego wynika, że sejm był wówczas tego uzasadnionego przekonania, iż rząd wniesie nowe przedłożenie do sejmu, oparte wprawdzie na zasadach uchwały sejmowéj z 20 paźdz. 1882 r., ale zawierające obliczenie bezzwrotnéj subwencyi w dotychczasowéj wysokości, aż po chwilę rzeczywistego przyjęcia ugody przez radę państwa, nie zaś po 1 stycz. 1883 r. Od uchwały sejmowéj z 20 stycz. 1887 r. upłynęły z górą dalsze dwa lata, kiedy p. minister skarbu, Dunajewski, przypomniawszy ją sobie, zapowiedział 1 marca 1889 r. w izbie poselskiéj jaknajrychlejsze załatwienie sprawy indemnizacyjnéj [1]. Załatwienie to miało jednak nastąpić bez

---

[1]) Na walném zgromadzeniu wyborców m. Lwowa 19 czerwca 1889 r. dowiedliśmy się na zasadzie przepisów kodeksu cywilnego, że uchwała sejmowa z 20 paźdz. 1882 r. nie obowiązuje więcéj kraju, gdyż rada państwa, do któréj wystosowaną została zawarta w niéj propozycya, już nie istniała. Na téj podstawie wzywaliśmy posłów naszych, by starali się o przyjście do skutku ugody na nowych, korzystniejszych warunkach, powołując się w téj mierze na projekt ugody, wypracowany przez gabinet Carlosa Auersperga 1868 r., według którego ówczesny minister skarbu Brestel, Niemiec, zgadzał się na udzielenie krajowi subwencyi bezzwrotnéj w całéj wysokości 2,625,000 zł. w. a.,—w szczególności zaś kładliśmy nacisk na to, że cała sprawa musi przyjść raz jeszcze przed sejm, nim wejdzie ponownie do rady państwa i wyraziliśmy nadzieję, że w tym kierunku zwrócone będą usiłowania posłów lwowskich. Wniosek nasz opiewał dosłownie: („Dzien. pol.“ z 20 czerwca 1889 r. Nr. 169 i z 2 lipca 1889 N. 182) „Walne zgromadzenie wyborców m. Lwowa wyraża życzenie, by wybrać się mający posłowie tego miasta załatwienia sprawy indemnizacyjnéj w myśl obietnicy wys. ministeryum skarbu już w najbliższéj sesyi

ponownego przedłożenia do sejmu i bez zmiany rządowego projektu. Oto na wezwanie namiestnika Galicyi, Kazimierza hr. Badeniego, sejm powziął 25 listop. 1889 r. uchwałę, brzmiącą dosłownie: „Sejm królestwa Galicyi i Lodomeryi wraz z W. Ks. Krakowskiém oświadcza, że trwa przy warunkach wypowiedzianych w uchwale swéj z d. 20 paźdz. 1882 r. co do zawarcia ugody, w celu usunięcia sporu co do stosunku skarbu państwa do funduszów indemnizacyjnych wschodnio- i zachodnio-galicyjskich.“ Rozumiano to zapewne tak, jak w roku 1887-ym, tu jednak użyto niefortunnéj stylizacyi, która wykrzywiła możliwe intencye sejmu. Rząd oczywiście z niéj skorzystał, zachowując rozliczenie uchwałą sejmową z 20 paźdz. 1882 r. ustalone. Teraz dopiéro zrozumiano, jak dotkliwa szkoda, — wynosząca według obliczenia rządowego 3,675,000 złr., — spotkała kraj skutkiem nie dość jasnéj stylizacyi uchwały sejmowéj i poczęto robić rządowi z tego powodu wyrzuty, że zwala na kraj ciężary za okres czasu, w którym ugoda jeszcze uchwaloną nie była, wskutek czego utracono bezpowrotnie lat siedm, w ciągu których z większą, niż dzisiaj dla gospodarki kraju korzyścią, można było przystąpić do konwersyi resztującego długu indemnizacyjnego. Te zarzuty jednak, naszém zdaniem, niesłusznie skierowane zostały pod adresem rządu, a możemy to powiedzieć tém snadniéj, ile że pierwszy raz się nam zdarza, w kwestyi indemnizacyjnéj stanąć po stronie rządowéj. Oświadczenie z 25 listopada 1889 r. mieściło niewątpliwie w sobie powtórzenie uczynionéj raz propozycyi, a gdy „w stosownym czasie“, t. j. na najbliższéj sesyi rady państwa, nastąpiło przyjęcie takowéj, wskutek zgodnéj woli stron przyszła do skutku umowa. Oświadczenie, „iż sejm trwa przy warunkach 1882 r.“, oznacza niewątpliwie dosłowne przyjęcie i powtórzenie warunków z r. 1882. Tam zaś cyfrowo oznaczono i kwotę odpisać się mającą i datę, a mianowicie 1 stycz. 1883 r., od któréj licząc redukcya subwencyi bezwzględnie ma nastąpić. Sejm w dniu 25 listop. 1889 r., mając pełną po temu sposobność, żadnych zmian w tym względzie nie uchwalił, a rząd mając przed sobą tę uchwałę sejmową, musiał ją in-

---

sejmowéj przyszłéj z całą energią się domagali, — a zarazem wyraża przekonanie, iż rząd winien sprawę indemnizacyjną ponownie przedłożyć sejmowi, tudzież że sejm winien przy załatwieniu téj sprawy stanąć na stanowisku uchwały sejmowéj z 28 lutego 1866 r., a przynajmniéj projektu rządowego z 28 sierpnia 1868 r.“ Walne zgromadzenie wyborców uchwaliło 2 lipca 1889 r. tylko pierwszą część tego wniosku, drugiéj zaś, ważniejszéj i wnikającéj już w *meritum* sprawy na wniosek komitetu obszerniejszego nie uchwaliło, nie chcąc, jak się wyraził jeden z mówców *contra*, zanadto krępować swobody poselskiéj.

terpretować na zasadzie ustawy cywilnéj [1]). Reguły interpretacyjne téj ustawy są następujące: należy baczyć na właściwe znaczenie wyrazów w związku uważanych i na oczywisty zamiar ustawodawcy (§ 6 kod. cyw.); umowa wątpliwa winna być tak tłómaczoną, iżby nie zawierała sprzeczności i była skuteczną (§ 914 kod. cyw.); przy obustronnie obowiązujących umowach wyrażenie się niedokładne, tłómaczy się na szkodę tego, który go użył (§ 915 kod. cyw.). Gdyby przeto sejm dzisiaj chciał inaczéj interpretować uchwałę swą z 25 listopada 1889 r., spowodowałby tém tylko rozbicie ugody; jakakolwiek bowiem obecnie przez sejm poczyniona w niéj zmiana byłaby oczywiście po uchwale obu izb rady państwa spóźnioną i musiałaby być ponownie przez nie przyjętą, nimby ostatecznie można przystąpić do spełnienia tych zadań, dla których właściwie starano się już obecnie — na siedm lat przed ukończeniem amortyzacyi obligów indemnizacyjnych — załatwić tę sprawę.

To też opozycyi téj nie bierzemy na seryo, zwłaszcza że te same dzienniki, które przemawiały w swoim czasie za tém, aby wydział krajowy ugody nie podpisywał i funduszów indemnizacyjnych w zarząd kraju nie objął, bez odnośnéj uchwały sejmowéj, wnet potém rozpisały się o konwersyi, która wszakże jedynie na zasadzie niewątpliwéj już i dokonanéj ugody mogłaby przyjść do skutku. Jakiż więc byłby pożytek z uchwały sejmowéj, jeżeli treść jéj jest już z góry oznaczoną i uledz zmianie nie powinna? Mogłoby się wydawać, że wytoczenie sprawy ponownie przez sejm krajowy pożądaném jest choćby z tego względu, aby kraj zaznaczył, iż tylko z konieczności niejako przyjmuje uciążliwe warunki rządu. Tymczasem jednak idzie teraz o pośpiech z innego powodu. Jeżeli resztujący dług indemnizacyjny w kwocie 33,187,000 zł. m. konw., czyli 34,846,350 zł. w. a., ma istotnie uledz konwersyi, jeśli za jéj pomocą, łącznie z unifikacyą istniejących dziś w kwocie 8,383,270 złr. długów krajowych, Galicya ma istotnie zamiar przystąpić do nakładów gospodarczych na wielką skalę, do subwencyonowania kolei lokalnych, budowy dróg wodnych, wspomożenia funduszu przemysłowego, udzielania gminom pożyczek bezprocentowych na wzniesienie budynków szkolnych i t. d., a nadto jeśli myśli o zaprowadzeniu czémprędzéj ulg podatkowych, tedy każda chwila jest drogą i dlatego, naszém zdaniem, najbliższa sesya sejmowa powinna

---

[1]) Przewidzieliśmy taki obrót rzeczy w broszurze naszéj: „Obecny stan sprawy indemnizacyjnéj“ (nakł. „Gaz. Nar.“, Lwów, 1890), która pojawiła się przed ukazaniem projektu rządowego.

być w całości poświęconą nie jałowym dyskusyom o warunkach ugody, gdyż to, niestety, rzecz przesądzona, ale uchwaleniu konwersyi długu indemnizacyjnego wraz z unifikacyą długów krajowych, a następnie ustaleniu programu gospodarczego, podobnego programowi Węgier, Rumunii i innych krajów młodych, lecz pełnych sił i widoków na przyszłość. Nie ma już czasu myśléć ani o przewrotności Lienbacherów *et consortes*, ani o stratach, jakie ponieśliśmy w przeszłości, lecz trzeba z wytężeniem wszystkich sił dążyć naprzód, bez wytchnienia, aby osiągnąć ten dobrobyt i stopień oświaty, jakiemi inne, szczęśliwsze, kraje już oddawna się szczycą.

*Dr. Leopold Caro.*





# OJCOWIZNA.

## OBRAZ Z ŻYCIA KRAINY PODKARPACKIÉJ

**z niedalekiéj przeszłości.**

---

### IX.

Gdy jeszcze wszystko we wsi spało i najmniejszego nie było ruchu, już Hnatko był z wołkami na paszy. Sam, owinięty płachtą, drżący od rannego chłodu, wyszukiwał im miejsc najlepszych po zagumienkach, po rowach, pod płotami. Nie wracał, aż dopiéro, kiedy się dobrze napasły. Jeśli zaś przy robocie zgrzały się, nie wiódł ich zaraz do wody, czekał, zanim nie wypoczną. W nocy nawet wstawał, zaglądając, czy im czego nie potrzeba, czy się im podściółka nie usunęła. Posiadając woły, miał się już za bogatego.

Na polu zaś pracował Hnatko za dwóch; mimo to zdawało mu się, że nie czuje żadnego umęczenia. Nie dojadł, nie dospał, a pracował, jakby na wyścigi, ochoczy, dziś szczęśliwy, że ma na czém pracować. On nigdy jeszcze nie pracował na swojéj roli. Mełanka mu do tego dzielnie dopomagała. Atoli ona miała od niego łatwiejsze zadanie; środki jéj bowiem zupełnie wystarczały do uprawienia ogrodu, on przeciwnie walczyć jeszcze musiał, gdy szło o „ciągłą“ robociznę. Pług jakoś mógł złożyć, ze swoich wołków z dopożyczeniem drugiéj pary; ale tu trzeba było i zawlec ziarno posiane. On zaś nie miał do bron koni. Lecz chłop w takim razie musi sobie radzić w biedzie nawet i wołami... bo choć one nie są wcale do brony, i mogą sobie od żelaznych zębów nogi pokaléczyć, a do tego nader niezgrabnie i powoli idą w téj robocie: z konieczności jednak i tego trzeba się chwytać.

Mało która matka na wsi dbała tak o dziecko swoje, by się gdzie nie rozbilo, jako nasz młody gazda o swoje wołki. Raz wraz się trwo-

żył, by się gdzie na grudzie nie potknęły, by brona, nagle szarpnąwszy, którego z nich w nogę nie skaleczyła.

Kiedy zaś już nadeszło żniwo, oboje z Mełanką, w pocie czoła zadyszani, żęli na wyścigi.

Hnatko zrzucał z głowy kapelusz, a kosmyk bujny jasnych jego włosów zwisał mu na uszy... on żął, cały czerwony, zasapany, Mełanka, choć zwinna i również zdrowa, nie mogła mu sprostać. Wtedy on się zawracał i próbował jéj dopomagać, za co się „molodyca“ gniewała. I były stąd małe „swarnie“, gdy kobiéta nie chciała dać się chłopu w robocie prześcignąć... On wówczas uważał, żeby sam szerszy mógł zająć pas zboża, ale ona chychocąc wesoło, czémprędzéj wżynała się chłopu w część jego. Wtedy zaś dorównali sobie, gdy Hnatko pobiegł przynieść wody konewką, ażeby było czém ugaszać w upał pragnienie. W téj chwili Mełanka prześcignęła chłopa... i była już daléj, teraz go przedrwiwając, że już jéj nie dogoni. Lecz Hnatko, jak-ci się „kopnął“, to nie długo Mełanka się cieszyła takiém zwycięstem.

Na wóz, zaprzężony już ich wołkami, gdy snopy ładowali, ucieszeni, że tuż pierwszy zbiór swój powiozą, wtedy podawała z dołu snopy „witkami“ Mełanka, Hnatko układał je na wozie i „przyrublowywał“ z tą myślą, że dziś już oboje nie zginą przy zimie nadchodzącéj.

Zbiór atoli nierównie był mniejszy, niżeli im się wpierw wydawał, rozmarzonym szczęście. Zbiór pierwszego roku nie mógł być obfity. Ani bowiem rola przy takich środkach nie mogła być dobrze uprawiona, ani przy dzisiejszém sprzęganiu się z drugim w czas byli w stanie zasiać. Twardo téż przyjdzie im przebyć pierwszą zimę... Lecz od czegóż ręce zdrowe i dobra wola?... Im mniéj będzie miał gospodarz do młócenia ze swojego zbioru, tém częściéj będzie musiał chodzić do drugiego na zarobek. A tu trzeba będzie niejednego, bo dotąd siedzieli w teściowéj chacie, nie mając jeszcze własnéj, na którą zrąbany po części czekał dopiéro materyał. Brać się do stawiania nie można było w lecie, kiedy pilniejsza nie mogła czekać około pola robota. Stawianie chaty musiano na zimę odłożyć.

Gdy się jesień skończyła, a nastała już zima, wówczas wybrano się do lasu, by resztę na chatę materyału dorąbać, i wszystko zwieść, co pójdzie powoli... Hnatko ma bowiem tylko parę wołków, których do wszystkiéj używać musiał roboty. Tak téż został materyał do domu zwieziony, suchy jak i mokry: trzeba było bez zwłoki zabiérać się do jego obrobienia i do stawiania chaty.

Według dawnego zwyczaju, pomogli mu również i inni włościanie. Bo kiedy znów przyjdzie tamtym stawiać dla siebie mieszkanie,

wówczas i Hnatko nie pożałuje swojéj również ręki. W owych czasach stawianie chat nie napotykało na takie, jak dzisiaj trudności.

Przy dobréj woli szło tu jakoś ze stawianiem. Hnatko pracował z siekiérą w ręku, Mełanka, choć kobiéta, pomagała, czém mogła. Raz wraz przychodzili do pomocy siekiernicy. Wznoszono już zrąb Hnatko przytém jak ci się zapalił, dźwignął raptem z taką gwałtownością, ciężką do góry płatwę, że choć silny i chłop jary, podźwignął się mocniéj, a na bok odszedłszy, pochylił się wnet i upadł, robiąc ciężko piersiami.

Zdało się wraz, że już się nie podniesie, że chłop ducha wyzionie, nie doczekawszy się swojego domu.

Mełanka przestraszona, zaczęła załamywać ręce, lamentując w niebogłosy, lecz on nagle otworzył oczy i zaczął się dźwigać.

— Durna! — zawołał z wysileniem, łając kobiétę — ta, czy ty „skazyła“ się, czy napiła „duru“ jakiego?... tać nie widzisz, że ja już wstaję? — I choć ciężko mu przychodziło, zabiérał się jednak do roboty... Mimo to w środek coś mu wlazło, że zwaliło chłopa na drugi dzień, i bredził w następujących dniach, jakby przez sen, a coś gadał, czego inni nie rozumieli. Mówiono, że to „biéda“ z niego tak gada. Przywoływano „mądre“ baby, które go okadzały, ale to nie pomagało, gdyż „biéda“ nie dawała się wykurzyć, jak-ci siedziała, tak i siedziała...

Dopiéro sprowadzona z drugiéj wsi baba, która na wszystko miała „swoje sposoby“, gdy zaczęła „zamawiać“ „swojém słowem“, zaraz się „biéda“ zlękła, i musiała chcąc nie chcąc opuścić chłopa, bo z niego już tak nie gadało i za parę dni zdrów powstał. Czy tu młodość pomogła jaremu chłopu, czy téż wymawianie „słów“ skutecznych lekarki, nie wiedziéć! Ale, że to zdziałała przemowa jéj, i „biéda“, przeczuwszy tu „silniejszego“ wyniosła się: tego wszyscy byli pewni.

Gdy się tylko uczuł nieco na siłach Hnatko, zabrał się wnet daléj do stawiania. Teraz podnoszono, zakładano płatwy na słupy, zabijano. Nieraz musiał chłop nasz dobrze jeszcze stęknąć.

Nareszcie stanął zrąb, i gdy złożono w górze wiechę, należało zrąb „oblać“.

Wieczorem, po zachodzie zatém słońca usiedli na podwalinach zrębu i zaczęli przypijać jedni do drugich, życząc sobie, by dokonano roboty, bez szwanku, by szczęśliwie stanęła chata, i w niéj mógł zamieszkać człowiek.

Hnatko, choć jeszcze czuł nieco osłabienia po świeżéj chorobie, jednakże zawstydzał przy robocie téj zdrowych. Wszak to dla niego buduje się mieszkanie?...

Robili na gwałt snopki do poszycia; tu oboje z Mełanką byli czynni. Ponieważ okłotów z ich zbioru nie starczyło, dodał im ojciec, dodali i inni: należało bowiem dopomóc temu, co się buduje. A choć Hnatko pierwszy raz w życiu zabierał się do poszywania dachu, czynił téż to, jak umiał, i za parę dni dach cały został poszyty. U jednego rogu wprawdzie zabrakło, ale to już musi poczekać do drugiego roku. Dobrze, iż nad izbą strzecha jest poszyta!...

Czémprędzéj zatém zabierała się Mełanka do gliny, by szpary w ścianach pozalepiać i gdzie trzeba gliną narzucić. A nie łatwa wśród zimy robota, kiedy glina zamarznięta i palce krzepną! Oni zaś nie zrażali się żadnemi trudnościami. Hnatko nakopał, a raczéj narąbał zamarzłéj gliny, Mełanka grzała wodę, i ukropem ją zlewano, glina musiała odtajać; wtedy brano ją, a choć ręce krzepły, z pośpiechem zalepiali, gdzie było potrzeba. Glina raz w raz zamarzała; nieraz téż musieli to samo powtarzać... nalepiona zaś nie raz zamarzała, i mróz ją ze szpar wysadzał.

Lecz oni nie ustawali w pracy.

Wkrótce i piec stanął, na jaki stać we wsi było. Gdy pierwszy raz w nim zapalono, natychmiast popękał... a taka rozeszła się para gęsta, gorąca, taki zaś dym i swąd, iż głowa mogłaby pęknąć... Hnatko mimo to siedział we środku. On zdawał się rozkoszować piecem swoim; rad, że będą mieli miłe ciepło. Szpary w piecu trzeba było zaraz pozalepiać, bo dym zaczął się na prawdę przeciskać, wijąc się w górę. Chociaż nie jeden jeszcze dzień rozchodził się po całéj izbie swąd z gliny, gęsty, trujący, lecz głowa chłopska twarda, wiele mogła wytrzymać.

## X.

Stanęła nareszcie chata. Byłoć mieszkanie gotowe.

Teraz zanim się ludzie do środka sprowadzą, należy księdza przywołać, chatę poświęcić, żeby „chrześcianina“ w nowym budynku co nie nagabywało... żeby tam-ci już bez obawy jeść mogli i mieszkać w spokoju.

Nazajutrz był zatém dzień świąteczny, dzień poświęcenia chaty.

Pleban obchodził naprzód chatę do koła, i kropił i wyganiał „złe“. Wchodził do środka, odmawiał „pacierze“ i kropił wnętrze, kropił piec i kąty wszystkie, kropił téż i dzieżę stojącą w rogu, by w niéj zawsze miesił się chléb, i był dostatek, kropił półki z garnkami i miskami, sień, potém i komorę.

Hnatko i Mełanka klękali, i ksiądz ich święconą kropił wodą, napominając, ażeby w téj chacie pilnowali się i żyli, jak „Hospod Boh“

przykazał... oraz zażegnywał, by do mieszkania tego nie weszła żadna niezgoda, ani złość ludzka, ani też śmierć, ani choroba.

Wyszedłszy z chaty obchodził następnie podwórze, zwracał się nawet na ogrody, potém poszedł na zagumienki i zdala przeżegnał pola Woronów, ażeby teraz rodziły rok w rok „chlib światyj“, a ludzie głodu tu nie zaznali.

Powróciwszy, zasiedli wszyscy w chacie już poświęconéj. Na „miejscu poczesném“, za stołem zastawionym dary bożemi, w rogu izby, zasiadł „dobrodziéj“, a daléj na ławach gazdowie i gazdynie, i nowi chaty téj gospodarze z ojcem i jego kumami. Diak siadł na końcu stołu naprzeciw księdza.

Zaczęto od modlitwy. Potém ruszył się ojciec, który wyprawiał dziś dzieci swoje do nowéj chaty. Zbliżywszy się z kubkiem, napełnionym „poczesném“, przyprawionéṁ ziołami i ucałowawszy dobrodzieja w jedną i drugą rękę, podał mu kubek. Dobrodziéj, odebrawszy z rąk jego, wychylił, by „uczcić“ nową chatę i jéj gospodarzy. Zaraz też podchodził jeden po drugim z gazdów, całując w obie ręce dusz pasterza swojego, za uczczenie ich stołu.

Następnie obchodził już kubek dokoła.

I łamano chléb świéżo upieczony; a była tam bułka chleba bielszego dla dobrodzieja, czarniejszy zaś chléb, razowy, dla „ludej“. Byłoć tam na stole i sér i masło, leżały i piérogi ogromne, pieczone, nadziane cébulą, to sérem z ziemniakami. Mełanka przecież i „maty“ jéj piekły całe dwa dni, ojciec bo też suto chciał obejść wyprawianie swych dzieci do nowéj chaty.

Chłopi raz po raz podchodzili do dobrodzieja, całując go w obie ręce, z prośbą, by się raczył posilać, i nie pogardzać ich strawą. Pleban się posilał ile mógł, aby nie martwić gospodarzy, diak zaś za to doprawiał sobie na pociechę ugaszczającym. Co zaś znów nie wlazło w żołądek jego, niemało przestronny, zabiérał ze sobą, gdyż ksiądz się śpieszył, by nie przesadzić dziś w posiłku swoim dla zadośćuczynienia raz w raz go nagabującym. Diak odprowadziwszy na wóz „dusz pasterza“ i złożywszy tamże kropidło i szaty księże, powrócił jeszcze do godujących, by nie opuścić „okazyi“.

Teraz dopiéro na dobre się raczono. Rodzice Mełanki nie dopuściliby, żeby w dniu takim nie uczczono wszystkich należycie.

Gody trwały do północy.

Nazajutrz rano, zaraz się znieśli nowi do chaty mieszkańcy, wraz ze wszystkiém swojém.

Hnatko był szczęśliw. Na własnym dziś gruncie, siedzi już we własnéj chacie. Chociaż zimno biło ze ścian do koła, na których tu

i owdzie po nad szczelinami biały srebrzył się szron, choć z powały w górze w czasie odwilży kapała woda, jemu było w chacie bardzo wygodnie. Ani zimna tu nie czuł, ani dymu, co wygryzał oczy; grzało go zadowolenie.

A choć po godach nie starczyło potém chleba, choć ziemniaków zabrakło, mimo to nie czuli oboje głodu. Zajęci około nowego gospodarstwa, w ciągłym byli ruchu, w ciągłém natężeniu. Tu bowiem tego, toć owego, było potrzeba, Hnatko raz wraz z siekiérą stawia to chléwek, innym razem przysposobia znowu dla kur schowek... Mełanka miele na żarnach, co się jeszcze znalazło, lub idzie prać „chusty“, wieczorem zaś siedzi przy kądzieli.

Dłużéj ona dziś nawet pod noc przysiaduje a szyje... ciągle coś przysposabia, mocno tém zajęta. Hnatko, kiedy po całodziennéj pracy na ławie usiędzie i patrzy na jéj robotę, wówczas się uśmiécha znacząco, dogadując kobiecie. Ona niby się gniéwa, on niby zaczepia... i gwar i szepty dają się słyszéć, jakby tam było rojniéj w téj chacie.

## XI.

Wkrótce pewnego dnia nowy do chaty przybył mieszkaniec. Krzykiem rozgłośnym oznajmił przybycie swoje.

Ruch powstał niemały. Przy matce pozostały baby, Hnatko pobiegł czemprędzéj do „dobrodzieja“, by dać znać, iż nietylko jemu przybyło w chacie, ale i dobrodziejowi powiększyła się parafia.

Otworzono cerkiew, i wśród mrozu a zawieruchy wniesiono nowego przybysza, żądającego, by go w poczet rzeszy chrześciańskiéj wliczono.

Spieszono się z tém, jak zwykle, aby bez chrztu świętego dziecko nie zmarło, w którym to razie dusza jego musiałaby się błąkać po świecie do siedmiu lat i wołać chrztu, zakręcając się wichrem, wirującym po drogach.

Gdy chrzest się odbywał dziecko rozgłośnie wrzeszczało. Jako znak to dobry uważano, gdyż będąc dotychczas poganinem jeszcze, albo może „żydem“, gwałtownie domagało się chrztu, a jak tylko po zlaniu główki wodą studzienną głośno wrzasnęło, zaraz téż mówiono, że będzie z niego chłop mocny, bo już teraz krzyczy i opór stawia niemały.

Po odbytym obrzędzie niesiono do domu. Zimno dokuczało, zawieja raz wraz biła wszystkim w oczy, śnieg pruszył z jednéj, to z drugiéj strony, i szczypał w lice. Takiż miał pierwszy dzień swój nowy

ten przybysz na ziemi: winien wiedzieć, iż nie dla rozkoszy na świat przyszedł jeno dla pracy i ponoszenia trudów.

Tego wieczora, odbyły się zaraz gody. Częstowano się wódką, lecz nie tak już obficie, jak przy poświęceniu chaty; bo wtedy było to za sprawą teścia, który trzymał się dawnych zwyczajów, by nie żałować na „pocztenie“ żadne, choćby miał potém długi następować przednówek. Zresztą, choć on sam zniesie głód i zimno, ale jego potomek tegoć jeszcze znosić nie zechce. Dlategoż i „hosti“ wybaczyć musieli, boć tu dopiéro gospodarstwo na dorobku.

Mełanka zaraz na drugi dzień wstała, by przysposobić niejednego, gdy ich teraz troje jest w chacie.

A choć się wkrótce nazad położyć była zmuszona, jednak wstawała i nazad się kładła, robota bowiem czekać nie mogła.

W takiém otoczeniu i takich dostatkach ludzie inni skarżą się i narzekają. Hnatko przeciwnie i Mełanka byli zadowoleni. Choć się raz wraz glina nalepiana odrywała zeschła, i wiatr zimny wciskał się do środka, oni wnet na nowo zalepiali. Woda wszędzie sączyła się po ścianach. Mimo, że deszczu nie było, ani żadnéj odwilży, a śnieg grubą warstwą pokrył strzechę, z któréj jeno lśniące zwisały sople, w chacie przecież wyglądało jak gdyby po deszczu. Przy zapalonym mocniéj nieco piecu, wszystko się zaraz mocno pociło, wszędzie sączyło i kapało. Czasami w nocy budzili się oboje, myśląc, że tam na dworze na prawdę deszcz pada, a to w kącie izby gdzieś jeno kapało, jakby z pułapu. Najczęściéj było tu przy piecu parno i dymno, o dwa kroki zaś daléj, mroźno, jakby na dworze... Ziemia zaś, po któréj deptali, w lecie nie ubita przywiezioną w dostatecznéj ilości wałówką, była w jedném miejscu odmokła, w inném znów zamarznięta. Pomimo tego oni boso w chacie chadzali. Mełanka nieraz téż i boso kopać się musiała śniegiem po wodę do przerębli na rzece. Hnatko, gdy znów legł koło wołów swoich, nieraz śniegiem, zawianym szczelinami, niby białym kocem nakryty, spał wygodnie.

Nie tak zaś dziać się mogło z nowym przybyszem, zawieszonym dziś w plecionce u pułapu. O tém wiedzieli rodzice, iż on do wszystkich trudów życia nieprzyzwyczajony. Potrzeba przeto było palić w chacie, choć drzewa nie było. Hnatko raz po raz chodził do lasu zbierając gałęzie zeschłe, a czasem surowe znosić musiał na plecach własnych.

Nieraz się zdarzało, iż nowy ten przybysz, pozostawszy sam w chacie, wrzeszczał i wrzeszczał, rozdzierając się gwałtownie i złoszcząc, bo go mocno krajkami skrępowano, aby rósł prosto a nie krzywo, nikt przeto do niego nie myślał zajrzéć, gdyż Mełanka była na robo-

cie, najęwszy się do żaren sąsiadce, rodzic zaś pociągnął do lasu lub był „na pańskiém“ przez dzień cały z cepem. Chłopak wrzeszczał i wrzeszczał, nareszcie gdy nikt nie przybył na jego wołanie, przestać musiał: uczył się już od początku poznawać, że nikt na jego krzyki i wołania nie będzie tak bardzo uważał.

## XII.

I tak jakoś przebyto pierwszą zimę.

Pod wiosnę było już tak mokro ze ścian ociekających i roztopów śniegowych, wciskających się do wnętrza chaty, iż ledwo można było wytrzymać. Mieszkańcy jéj żyli tu jakby wśród nieustających opadów wilgoci atmosferycznéj. Plecionkę z dzieckiem musiano ciągle z jednego miejsca w drugie przenosić. Wiatr zaś marcowy, ostry, szczypiący, wciskał się uparcie przez okno, drzwi, przez wszystkie szczeliny, wypychając wszelkie zasłony.

W chacie stało się mroźno i głodno. Kolébka wisząca tak była okutana, że jéj mieszkaniec ledwo się nie udusił; rodzice zaś przyzwyczajeni do ponoszenia złego, dygotali od zimna i głodu.

Gdy atoli słońce wiosenne zaświeciło i ozwał się świegot ptactwa, gdy drzewa zaczęły pękać, częściéj byli wtedy nasi gazdowie na dworze, niżeli w izbie, bo słońce lepiéj grzało aniżeli piec ogromny, który raz wraz zalepiano. Nawet i malca wynosiła matka na słońce, by i on tego dobra dziś zaznał. Dzieciak uśmiechał się, i krzyczał, broniąc się, kiedy go nazad do izby wnoszono.

Na wiosnę lżéj im już było, bo chociaż żywności w téj porze mniéj jeszcze stało, niżeli w zimie, choć już wszystko z komor i nie komor było do czysta wymiecione, na wiosnę jednak więcéj trafiało się zarobku. Tak samo, chociaż mimo doglądu starannego, również i byczkom żebra wyglądały, a nawet i kury po wszystkich grzebiąc kątach, niczego wygrzebać nie mogły: z nastającą przecież teraz porą wszystko do sił powracało.

Gdy zaś nastały sianokosy i żniwa, pokazało się, iż następująca zima będzie już lepszą.

Tak téż rzeczywiście się stało. Bo i chata, naprawiona i świeżo wylepiona w czas stosowny, podobniejsza dziś była do mieszkania ludzkiego, brogi zaś i komora pełniejsze. Do dwu wołków przybyła i krowa; było więc i mléko dla dorastającego już chłopaka, do tego tu i owdzie nawet z parę sztuk drobiazgu kręciło się po dworze jałowniczego, bo Hnatko nie myślał czekać, aż z własnego przychowku dochowa się drugiéj parki dla swojego pługa. Należało zatém powoli

o wszystko się starać. Na całém podwórzu tak rojno było i gwarno, od kur, gęsi i dwóch natrętnych prosiaków, że każdy musiał poznać, iż tu mieszkają dziś gospodarze. Oprócz tego i w chacie było głośniéj, gdyż z drugą zimą nowy zawitał do chaty mieszkaniec.

I tak szło z roku do roku, coraz lepiéj.

I gumno się rozszerzało i coraz wyżéj podnosiły się brogi a stogi, w chlewach zaś i stajniach więcéj dziś wrzało beku i rżenia, nawet i „sobaka“ na dziedzińcu więcéj miał dziś do pilnowania.

W chacie było coraz gwarniéj a głośniéj, bo tu i chata zdawała się rok wrok rozszerzać... Gdy więcéj przybywało do środka mieszkańców, wtedyć i ściany zdawały się rozsuwać.

## XIII.

Pewnego wieczora, kiedy Hnatko siedział po pracy na ławie przy piecu zakurzywszy sobie lulkę, a Mełanka zajęta była koło ognia, zasłyszano nagle szczekanie psa na podwórzu.

Harmider dziatwy, bawiącéj się w izbie, wnet ustał, i wszyscy słuch natężyli, uważając, czyli kto nie wszedł na podwórze, albo téż złodziéj jaki nie zakrada się do stodoły lub do stajni?... Lecz ujadanie ono psa coraz bliżéj kogoś wiodło... Nareszcie słyszéć się dało za drzwiami stąpanie czyichś kroków. Coś ich tknęło, acz sami nie wiedzieli, dlaczego?...

Drzwi się otworzyły... i wszedł jakiś człowiek, który wyglądał jakby na żołnierza. Oni się wypatrzyli, dziatwa w kąt się pochowała, z pod oka poglądając...

Przybyły stanął na środku, i zaczął się rozglądać. Mełanka na niego popatrzyła, nie mogąc pojąć, co to za jeden i czegoby tu chciał; on téż na nią pojrzał i zrobił minę, jak gdyby nie trafił. W tém popatrzył na Hnatka, i oblicze mu się rozjaśniło.

— *Hyr!* — zawołał. — Taże to... ty Hnat?... *Alzo* mnie nie poznajesz?

Hnatko ruszył się... popatrzył w lice obcemu... i coś jakby go zaniepokoiło... Ale nic nie mówił.

— No, to *ich* — rzekł przybyły—Fedor *hyr*... No *rychtig*, on się odmienił?... Kupa *Jahr* nie *eins*... Kupa temu lat!... Człowiek *im Regiment* nie jednego zaznał — odzywał się raz wraz mieszaną gwarą.

— To ty... Fedory?— wycedził zwolna Hnat... i dalsze słowa już mu się urwały... Mełanka zaś z nietajoną trwogą patrzała na obcego.

— A ja ciebie „*gleich*“ poznał... No, *wigees*... jak się „majete“?

I obaj bracia ucałowali się w jedno i w drugie lice, a właściwie

Fedory całował brata, bo ten oddawał tamtemu pozdrowienie jakoś nieśmiało.

— Ho! ho! z ciebie chłop! *saperment!*... *Grenadier!*... No w domu... przy swoich... A człowiek... ta wandrował *herum*, po całom *Welt*... *aber* już powrócił... Niech i za to będzie *Herrn Gott* honir, taj *dank*, że przyszedł jeno zdrów *zurück*...

Potém wskazawszy na Melankę, dodał:—Nu, *aber* ty już pewnie nie jest *kawalir?*... To *hyr* twoja żona?...

— Ta, niby tak—mruknął Hnat.

— Naj będzie zdorowa!... *frysz* i *gezund* — zawołał tamten; ale ona, nic nie odpowiedziawszy, zwróciła się jeno do ognia, niby mocno robotą swoją zajęta. Fedor zaś się obrócił do brata, zagadnąwszy go: A to pewnie twoi *burszy?*... chciałby skazać... dzieci... tu toj drobiazg...

— Ta, niby tak—odrzekł Hnat obojętnie.

— No, chwalić *Herr Gott*... Będą i wojaki...

Tu się matka żachnęła i nie mogła wytrzymać, by nie dodała.

— Jak Hospod da, tak będzie.

Rozmowa pomiędzy braćmi jakoś nie szła... Widoczném tu było pewne zakłopotanie. Właściwie bowiem tylko Fedor mówił... On opowiadał o swojéj drodze, jak tu długo szedł, a wchodząc już ile zmian zobaczył; po Hnacie zaś poznać było, że się wcale nie spodziewał powrotu brata... a może nawet i nigdy o tém nie myślał. W owych bowiem czasach na tak długie lata brano do wojska, iż mało który wracał, bo albo zginął gdzie na jakiéj wojnie, lub téż w nagrodę zostawał jakim policyantem, czasami woźnym, powracał nawet do domu, lecz częściéj już dziadem.

Fedor, przeciwnie, wrócił jeszcze chłopem, na którym choć znać było trudy przebytéj służby długoletniéj, jednak jeszcze mógł się brać do pracy.

Hnatko niegdyś—przed laty—płakał, kiedy Fedorka brano do wojska... Dzień jeden i drugi chodził wonczas, jak nie swój, gdy mu zabrakło brata, który jedyny pozostał sierocie z całéj rodziny... Dzisiaj? On już tyle lat nie myślał o nim wcale, ani się spodziewał, że tamten powróci — ani czuł nawet potrzeby, żeby tamten jeszcze wracał... Toż się dzisiaj tylko zatrwożył jego powrotem.

Hnat trudne przebył koleje, zanim się dobił gruntu swojego, a z nim gospodarstwa. Obłudnym zaś nie był, ażeby udawać miał radość, gdzie jéj nie było... słowa téż mu się teraz nie kleiły... Na twarzy jego widoczny malował się jeno niepokój.

Aby uniknąć zakłopotania, postawiła Melanka wieczerzę na ła-

wie, dodawszy łyżkę jedną więcéj, — brat przecież bowiem nie pójdzie pożywić się do innéj chaty...

— Ty zapewne głodzien—odezwał się Hnat.—Ta, posil się... Co Hospod dał na wieczerzę, będziem pożywali.

— Nu, żeby tyle buło *immer* aż do smerti!—rzekł Fedory.

I siedli do wieczerzy.

Przybyłemu nieco było „markotno,“ że go nie tak serdecznie przyjęto, jak się spodziewał; ale siedział i jadł, bo był głodny. Mełanka ciągle dolewała do miski, gościowi przecież nie będzie żałowała. Sama zaś nie jadła... Udawała tylko, że musi garnka pilnować, który nastawiła, gdy gość przybył.

Po wieczerzy było znów niejakie zakłopotanie... Myślano, gdzieby to dać przebyć noc przybyłemu...

— Hde *immer*—wtrącił Fedory—człowiek spał nie *ino* na *pryczy* w *kaserne*, czasem i na hołéj zemli, — a czy raz on był na *szyldwach ganc Nacht* ze *gwerom*, aż szczypało?... A biéda jeho ne zjadł.

Obaj bracia poszli do stajni, — i tam legli w słomie. Lecz nie wiele do siebie mówili. Fedor był strudzony i zaraz zasnął: Hnat, przeciwnie, téj nocy jakoś spać nie mógł.

Wstawszy rano odszedł zaraz gospodarz do zwykłych swych zajęć, — przybyły spał jeszcze. Gazdyni również ciągle była zajęta. Brat się temu nie dziwił; wyszedłszy zatém na podwórze, przyglądał się tymczasem niejednemu, czego tu nie widział od lat kilkunastu. Chwilami zatrzymawszy się na jakiém miejscu, coś sobie przypominał... Tutaj bowiem najrańszą spędził młodość.

Obaj bracia nie wiele z sobą mówili... Gazdostwo zaś oboje byli znów zajęci robotą swoją.

## XIV.

Po paru dniach odezwał się Hnat do brata: — Ty, Fedory, już nie będziesz pono wracał... do wojska twojego?..

Fedor się zdziwił, że po kilku dniach mógł go brat w podobny sposób zagadnąć.

— Ano... ja—odrzekł—przecież mam-ci już „*abszyd*“... Czy bo się *ne* dosyć nasłużył?

— To już... teraz... w siole nie zostaniesz? — było dalsze zapytanie.

— Nu, *wie denn?*... Ta, jak bo inaczéj?... Ja już *hyr*, *zurück*... do swojeho...

Tu się nieco zaturbował Hnat, i szukał dalszego zapytania.

Po chwili znów się odezwał:

— To ty... teraz... pójdziesz do jakiego u nas gazdy... za najmita?

— Za najmita... O, *warum?*... Ja przecie mam swoją ojcowiznę?...

— Ojcowiznę? — Tu zrobił wielkie oczy Hnat i nieco krwi mu z lica w téj chwili ubyło.

— Nu... tak... Ja przecie *hyr* na mojéj ojcowiźnie? — powtórzył tamten.

— A co tu było, zanim ja tu nastał?... Tu nie było nijakiéj ojcowizny...

— No, czy to nie grunt naszego ojca?... a my ne jego syny?

— Ta... może i tak... Ale... tu na tym gruncie był już kto inny... Ja się dużo nachodził z moim gazdą, i dużo jego kosztowało, zanim mi oddały ten grunt.

— No... *das ist gut*... Ano nazad grunt powrócił do nas...

— On... powrócił do mnie—rzekł z przyciskiem gospodarz.

— Ale i mnie... należy się *halb grunt*, no, pół jego?...

— I coby ty... z tą połową robił?... Masz byki, konia... Masz wóz i pług?... A gdzie będziesz mieszkać?

— Anu... tu jest na *grunt* tym... Ty przecież byki masz... anu wóz, ta pług?...

— Te byki, a koń, te wozy... ta, wszystko, co tutaj jest, to jest... moje... To moja praca... Ja to sam poskupywał...

— Taże... *ja doch* były byki *dahyr*... ta statek... Nasza matka przecież tu siedziała?...

— Ty... był w wojsku... to widzę wszystko zapomniałeś. Jak ciebie oddali, to już nic nie było... Ano nie byliśmy obaj w służbie u gazdów?...

— Ta prawda — dodał z przekąsem — ano została się chata po naszych rodzicach... Ta szukaj jéj... bo ta, gdzie teraz siedzimy, to już ja ją postawił.

Teraz dopiéro poznał przybyły, czemu to go tutaj tak zimno przyjęto.

— *Aber* ty *jetzt* masz... to i mnie dasz... Ja nie chcę „wszyćko“, nu, ni połowy od ciebie... ot, jedną, dwie sztuki... *anu* wóz jaki... Trzeba będzie zrazu biédować...

— Ja też biédował... A co mam, to dla siebie i dla moich dzieci—dodał dobitnie.

— *Anu* to wszyćko... to jest z gruntu—rzekł gniewniéj żołnierz.

— A było się popatrzéć... co tu było... Goły grunt... bo gazda, co tu był, w s z y s t k o zabrał...

— Ale to grunt ten... przecież wydawał?...

— To ręce nasze — odrzekł silniéj gospodarz, i dodał: to praca nasza... kiedy ty był, i tam tobie wszystko dali za darmo.

Było na chwilę milczenie.

Nareszcie rzekł Hnat: — ja pracę moją dla siebie mam i dla swoich...

I na tém się tym razem skończyło. Fedory mocno się zaturbował,—a i frasunek Hnata był ninie nie mały... Mełanka, która dotąd milczała, teraz się rozgadała, że tu ani *krzty* dać nie myśli, bo to wszystko ich i dzieci.

I była dziś kłótnia.

Hnat odkazywał, iż prędzéj dałby się porąbać, niżeliby miał drugiemu oddawać, co go tyle zabiegów kosztowało. On tu swoją pracę, swoje nadzieje, swoje wszystko włożył: co tu jest, zrobiło dziesięć palców jego i jego kobiéty.

Fedor odszedł na „najmita“ do obcego gazdy. Hnatowie nieco odetchnęli. Ale spokoju już dawnego nie mogli odzyskać. Pocieszali się tém jeno, że na gołym gruncie, bez chaty, bez „chudoby“, bez „statku“, nikt nie będzie gospodarował. Mimo to przeczuwali, iż Fedory nie da dziś za wygraną, a może do tego znajdzie i takich, co mu dopomogą.

## XV.

W saméj rzeczy tak się téż stało. Gdzie jest prawo do gruntu, i to dobrego, tam się znaleźć może i gospodarstwo. Fedorem zaopiekowali się inni,—a znalazł się gazda, który, pozostawiając grunt swój synowi, „dońkę“ dawał Fedoremu; z dziewką zaś parę koni i nieco „statku.“

Z tém udawano się do „mandataryi“,—a skutek był taki, iż gdy Hnat poszedł dziś do dworu, dowiedział się, że skoro drugi syn Woronów pozostał przy życiu, to i ten ma prawo do ojcowizny.

Hnat odszedł mocno zafrasowany. Wmieszali się w to inni gospodarze—i były ciągłe narady i raz po raz umowy.

Nareszcie na tém się zakończyło, że Hnat musiał odstąpić połowy gruntu, teść zaś Fedorów dawał chłopu parę koni i nieco narzędzi na początek, obiecawszy mu chatę nową postawić.

Były jeno swarnie, i nieraz między braćmi omal do bitki nie przychodziło, gdyż chociaż grunt nie był niepodzielny, jednak trzeba było rozdzielić, na których polach ma jeden, a na których drugi pracować. Ponieważ zaś były pola lepsze i gorsze, lepiéj i gorzéj upra-

wione, nie można było dojść do ładu. Fedor, choć sam wiek swój stracił w pułku, i jako taki nie znał się na roli, miał jednak za sobą takich, co go w tém zastępowali.

Po wielu naradach i swarniach „przypito“ nareszcie w karczmie, i grunt został podzielony między obu braci.

Teść Fedorów przy pomocy dworu i sąsiadów postawił dzieciom swoim chatę i dał, ile mógł, na początek tego gospodarstwa.

Hnat zatém dostał dziś na swojéj zagrodzie drugiego gazdę. A choć nowe to gazdostwo nie mogło wyrównać Hnatkowemu, lepiéj oddawna zaopatrzonemu we wszystko, jednakże co do swoich wymagań, pięścią nieraz popieranych, miało moc równą. Fedor był przecież żołnierzem, a chociaż Hnatkowi na sile, ni zdrowiu nie zabrakło, lecz żołnierz wiedział, iż dawniéj kapralowi musiał ulegać, ale nie temu, który nad nim nie ma prawa żadnego. Co zaś Fedorowi brakowało, posiadała nie w małéj dozie Fedorycha. Bo gdy żołnierzowi nie gładko szły słowa z gardła, a częściéj nawet głos swój podniósłszy zacinał się tylko i musiał już kończyć krótko przekleństwem jeno, niezwykłém u chłopów,—połowica jego przeciwnie, miała język szybki jak pytel, którym mogła zwyciężyć wszystkich. Przy niéj i Hnatycha nabrała również wymowy. Kiedy więc ród silniejszy dawał już sobie spokój, wonczas kobiéty daléj swoje prowadziły.

Były tu ciągłe kłótnie i ciągłe odgrażania się. Jedni nie mogli zapomnieć, że to wszystko byłoby ich własnością i żyliby sobie po bożemu, gdyby „biéda“ nie wypuściła żołnierza z wojska, — drugich zaś zazdrość kąsała, iż muszą się dzień w dzień na lepsze patrzéć dostatki. Fedorycha zaś ciągle przymawiała chłopu swojemu, że w wojsku stracił rozum i dał sobie odebrać, co jego. Fedor przychodził nawet do przekonania, iż kobiéta ma słuszność. On się przecież rodził na tym samym gruncie, a jeśli tu co jest, to wszystko grunt wydał.

Skutek był tego taki, że jak Hnatycha nauczyła się dziś w dysputach ze swoją bratową wymowy dosadniejszéj, tak samo i Hnat od czasu, gdy otrzymał nieco za bliskiego sąsiada, większą dostawał dziś ochotę do swarni i bitki. A ponieważ często Fedor dawał mu do poznania, że był żołnierzem, toż i on dowodził pięścią swoją, iż nie samą tylko egzercyrką wojskową ćwiczy się siła mięśni.

W chacie naszych gazdów wyglądało odtąd inaczéj.

Po raz w raz następujących zwadach a bijatyce, musiano dziś godzić braci; a że to się odbywać musiało po zwyczaju w karczmie, częściéj téż dziś brano się do „kwarty.“ Że zaś więcéj frasunków miewał teraz Hnatko, ciągle zatém przychodziło mu zapijać w wnętrzu „robaka“: gęściéj téż zaglądał on do karczmy.

Przy takich okolicznościach również i gospodarstwo iść nie mogło tak, jako dawniéj. Błogosławieństwo dawne boże dziś ich odbiegło. Bo gdy przedtém w biédzie a niedostatku, zdrowo chowały się dziatki, teraz latami, więcéj wprawdzie przybywało drobiazgu tego, ale i częstsze odprawiano „pochoronki“... tak, że zostało im nakoniec z sześciorga dwóch tylko chłopców, reszta była na cmentarzu. Brat z bratową mawiali, iż to kara boża za to, że im odjęli, co było ich po bat'ku, — oni znów równą mu się miarą odpłacali.

Z rodziców miłość owa rodzinna przechodziła na dzieci. Te bowiem podobnież nieustanną wiodły wojnę, a były równéj siły i równéj chęci: bo gdy starsze Hnatkowe powymierały, młodsze w równym dziś zostawały wieku z Fedorowemi. Chociaż one cepa jeszcze do rąk nie brały, ani przy pługu ojcowym wołów utrzymać nie były w stanie, mimo to potrafiły w lecie kamieniami, w zimie śniegiem się obrzucać. Nieraz téż, gdy jednego z ojców dziecko wylazło na gruszę, drugiego czémprędzéj pobiegło, by tamto na złamanie karku strącić. Na krzyk w takim razie turbowanego wypadała z chaty matka, i czémprędzéj jawiła się druga; z dzieci znowu przechodziła bitka na matki, do czego się czasem i ojcowie przyczyniali.

Na gruncie Woronów wrzała ninie ciągła wojna. Jeśli zaś chwilami nastawała cisza, poznać było po poglądających na siebie z podełba, iż w każdéj chwili na nowo zerwać się może burza. Dzieci zaś na siebie zérkały, jak małe wilczaki.

Sąsiedzi patrzeli na to i kiwali tylko głowami. Przepowiadano nawet, że tak długo nie zostanie...

## XVI.

Dnia pewnego był targ w mieście „na Pokrowy.“

Hnat i Fedor widzieli się na targu zdaleka, lecz się do siebie nie zbliżali.

Kiedy wracano, Hnat miał nieco w głowie, mimo to po drodze wstąpił jeszcze do karczmy. Po chwili zaszedł tam i Fedor, a zoczywszy tamtego usiadł sobie zdala na ławie. Hnat poglądał koso i zaraz wyszedł. Wrócił po chwili, ale miał wówczas kostur w ręku. Wzrokiem zdawał się grozić, lecz się cofnął do alkierza. Parę razy wychylając się stamtąd zaglądał. By uniknąć zwady, wyszedł Fedor z karczmy, udając się prosto do domu...

Tamten również wyszedł za nim, wymachując sobie kosturem. Widocznie był podpity.

Potém już się nie widzieli.

Fedor, wracając do domu, wstąpił jeszcze do drugiéj karczmy podróżnéj. Niedaleko już domu, zboczył znowu, krocząc ostrożnie po za ogrodami...

W jedném zaś miejscu zdało mu się, iż widział postępującego tędy również Hnata; ponieważ atoli był to wieczór, nie mógł dobrze rozpoznać.

W tém nagle ujrzał go po za jaworem. Chciał wyminąć, lecz ten krzyknąwszy: — Albo tobie, albo mnie śmierć teraz! — przypadł z gwałtownością. Fedor czémprędzéj odskoczywszy, chwycił przez pół napastnika. I obaj leżeli już na ziemi.

Tam się rozpoczęło szamotanie. Hnat się mocno rozjadł... jakby wilkowi zaiskrzyły ślepia... Jeden leżał już na drugim i czuł gorący tegoż oddech. Nareszcie wyrwał się Fedor, pchnąwszy w bok kułakiem napastnika, że ten aż zaskwierczał, sam zaś chciał odejść. Lecz tu Hnat, rozwścieklony, dopadł kostura, a biegnąc za nim wyciął w łeb uchodzącego, raz i drugi, że ten upadł.

Potém odszedł swoją drogą. Odchodząc oglądał się jeszcze po za siebie... i dziwił się, czemu tamten nie wstaje. Coś go tknęło, że musiał się wrócić...

Podszedłszy do leżącego, zaczął go ruszać. Ale ten coś-bo nie wstaje... Zaglądnął mu w oczy i... pobladł.

Fedor bowiem leżał z rozpękłą czaszką, z któréj krew się sączyła.

Hnat załamał dłonie. W téj chwili był już całkiem wytrzeźwiony. Próbował teraz go podnieść, ale w nim znaku już życia nie było.

Przestrach opanował chłopa... nie wiedział, co teraz robić!

Stał tak czas niejaki, szukając w myślach, co mu dziś czynić wypada. Nareszcie przyszła mu myśl, iż tamten wracając z targu mógł był gdzie zabłądzić!... taj przepaść w lesie... Mogły go rozszarpać wilki, mógł dzik kłem rozpłatać...

W strachu i rozpaczy zaczął wlec ciało do pobliskiéj wyrwy... Nogi pod nim drżały, ręce kostniały... on ciągnął ciężar z wystraszoném okiem. Każde drzewa pobliskiego poruszenie, każde załamanie cienia, mrozem go przejmowało... on ciągnął daléj... i w oczach mu się dwoiło.

Nad brzegiem wyrwy przystanął... i zaczął szukać jakiego kamienia, ażeby ciało na wierzch nie wypłynęło...

Znalazłszy zaś, gdy stanął nad zwłokami... i wpatrzył się w wodę, ciemną, głęboką... wstrząsł się raptownie.

I pojrzał na martwego. Wonczas żal mu się zrobiło, żeby brat

jego miał leżeć na dnie wody chłodnéj, w święconéj nie pochowany ziemi. Stanęła przed nim w téj chwili młodość z nim razem spędzona, kiedy to jeszcze obaj po śmierci matki zostawali sierotami. Nie zawsze tak było, jak potém chciało nieszczęście.

Chwycił się czémprędzéj i pognał do dworu.

— Róbcie ze mną—zawołał—co chcecie, bo się stało wielkie nieszczęście!...

Gdy się nań popatrzono z zapytaniem, dodał tylko:

— Ja zabił brata.

Z początku myślano, że jego odbiegł rozum. Ale gdy wszystko opowiedział, nie można już było wątpić.

— Róbcie ze mną, co chcecie! — wołał raz po raz — ale miejcie litość nad mojemi dziećmi, nad moją kobiétą!

Ciągle jeno powtarzał: — Oni temu nie winni... to ja zabił brata. I wraz dodawał: — Ja jego nie chciał zabić. Ale taka już nas obu była dola!

We wsi nastał ruch ogromny—ogromne przerażenie. Wszystko do północy było na nogach.

Oglądano miejsce wypadku... światła się snuły tu i tam. Z zapaloném łuczywem chodzono ponad brzeg wody.

Rano wstało słońce, jak wczoraj, jak onegdaj — ale do chaty Hnatowéj już nie wrócił dzień wczorajszy. Gazdy dziś w niéj nie było. Ale za to, tam daléj, na miejscu wypadku, i koło wyrwy ruch był ciągły. Tam byli ludzie i był gazda. Zjechała bowiem komisya, był téż lekarz z miasta, dla oglądania zwłok i ran zadanych.

Rozpoczęło się dalsze śledztwo i spisywanie protokółów.

Przywoływano świadków, którzy zeznawali, co się działo przedtém... i jak z sobą obaj żyli bracia.

Hnat stał jakby przybity, ze spuszczonym wzrokiem, niczemu nie przecząc... On błagał tylko ciągle, żeby zań nie karano rodziny, żeby ją w spokoju pozostawiono.

Mełanka łkała cicho... Przerażona, nie mogła pojąć, co to się stało... Dzieci swoje wołała raz po raz do siebie ściągając, jakby się obawiała, żeby jéj kto ich nie odebrał, żeby na dziatwie mścić się nie zechciano. Dochodził uszu jéj bowiem wrzask pozostałéj dziś wdowy, przeklinającéj ród cały Hnatów.

Mełanka słyszała to... i dzieci wołała do siebie. Te się do niéj tuliły, z przerażoném okiem, krzycząc i płacząc, jakby je kto ninie miał zabijać.

— Bodaj na was—wołała tamta—bodaj teraz przyszło nieszczęście, jako dzisiaj na mnie! Bodaj wy i wasze dzieci... poginęli!...

Każde słowo, co dobiegało uszu Melanki, lodem pierś jéj ścinało... Przerażona, każdéj chwili drżała, iżby przeklinająca nie wpadła i nie skoczyła wściekłą wilczycą na nią i na jéj dzieci. W przestrachu zaparła drzwi, zatarasowawszy je — i tak czekała w okropnéj trwodze, co daléj będzie. Dzieci umęczone płaczem, pozasypiały u jéj nóg na ziemi.

Gdy po przeprowadzeniu śledztwa wstępnego i spisaniu wszystkiego, miano następnie Hnata odstawić do miasta, nie zarzucano nań kajdanków, pomnąc, że sam oddał się w ręce sprawiedliwości.

Pozwolono mu pożegnać się jeszcze z żoną i dziećmi.

Kobiéta lamentowała, wydając krzyk wielki, usiłowała przebłagać „panów“... Ona chciałaby ich przekonać, że jéj człowiek niewinny, bo to taka już dola była im „zapisana.“ Mąż sam odwrócił gdzieindziéj jéj uwagę, napominając, żeby pilnowała teraz dzieci a chleba bożego... O niego zaś niech się nie troszczy... Niechaj z nim się stanie, „co już stać ma!“... Potém dodawał jeszcze, żeby dawała „na służbę bożą“ za duszę zmarłego, bo ten przez niego zeszedł ze świata „bez świętéj spowiedzi.“

Odwieziony zatém został do stolicy.

Tam na wyrok trybunału karnego długo czekać nie potrzebował. Rzecz była jasna: winny przecież przyznał się sam do wszystkiego. Zeznania świadków zapytywanych, spisane na miejscu, zgadzały się ze wszystkiém, co zeznawał obwiniony.

Niebawem téż wypadł wyrok, skazujący winnego na pięć lat ciężkiego więzienia.

On przyjął to wszystko z pokorą a skruchą, uważając za karę zasłużoną.

## XVII.

Towarzyszem jego w celi kaziennéj nie był żaden zbójnik, ani morderca, lecz człowiek, który, podobnie jak on, popełniwszy pierwszy raz zbrodnię, dostał się do więzienia. Tém się tylko ów więzień różnił od niego, iż mniéj czuł skruchy, a więcéj obawy przed karą. Obecność Hnata i jego zachowanie się podziałało tyle na tamtego, że się czuł z czasem bardziéj winnym, i coraz więcéj żalu okazywał. A nie miał przecież tu miejsca żaden wpływ kaznodziejski, jakoby nauk dawanych tamtemu przez Hnata, który sam ich nie posiadał, jeno po prostu wpływ ów naturalny, nieświadomy, jaki wywiera przykład, oparty na onym popędzie naśladowczym, jakie ma każde zwierzę już instynktowo.

W pierwszych dniach, pobyt tutaj skazanego, w celi zamkniętéj, w okowach na ręce i nodze, był nader przykrym... Przyzwyczajony bowiem do ciągłéj pracy, miał uczucie, jakby mu dziś ręce i nogi z braku ruchu trętwiały. Oprócz tego myśl go nękała, co się teraz stanie z jego rodziną...

W nocy zaś, a często i w dzień, gdy usnął zmordowany myślami, zdało mu się, że jest u siebie na wsi, że widzi nawet brata, zajętego koło jego chaty. Wtedy zdziwienie go opanowuje, iż ten jest żywy... Wszak-ci miał być przecież zabitym?... Nie wié teraz, co ma o tém sądzić... Rad jednak, że go widzi przy życiu. Zbliża się nawet do niego, chcąc zagadnąć... lecz tamten odwraca się i nic nie mówiąc, zdaje się go unikać. Wówczas, obudzony, widząc tu tylko ściany, te same, nagie, wilgotne, celi swojéj kaziennéj, sroższą czuje mękę, niż gdyby go do krwi smagano.

Innym znów razem zdawało mu się, że gdzieś obaj szli z bratem... ale nie razem... tą samą jednak drogą, raz w raz znikając sobie z oczu... to znowu zdybując się na jakichś wertepach, to moczarach, lub nawet zaułkach wiejskich. Lecz nic do siebie nie mówili.

Bywały nawet nocy, kiedy się widział we własnéj nieraz chacie, wśród swoich... potém zaś przybyła jakaś komisya... chodzono po znaném mu dobrze miejscu... Gdy się wówczas przebudzał, rozglądał się do koła na pół nieprzytomny, czując krople potu na skroni — i cały już dzień siedział na tapczanie więziennym ze wzrokiem wbitym w ziemię.

Pierwsze owe czasy kazienne były dla człowieka, przyzwyczajonego do ruchu i pracy, nader męczącemi. Dzień tu po dniu nastawał jakiś okropnie długi, nocy zaś pełne gęstych ciemności,—ze ścian biło wtedy coś grobowego... Zdało mu się, że jest pod ziemią. Z dnia na dzień spadał na ciele: czuł ogromne w sobie znużenie.

Po niejakim czasie zaczęto go z kaźni wyprowadzać.

Gdy pod dozorem strażnika z gwiazdą na piersiach, szereg skazanych, w szarych kitlach więziennych, brzęcząc łańcuchami, przechodził ulicami miasta, znajdował się między nimi i nasz więzień. Robota koło miejskich ulic była mu milsza, niżeli owo ciągłe siedzenie w zamkniętéj celi przy ciągłym zmroku. Teraz przynajmniéj mógł poruszać ręce i nogi, choćby wolał, żeby go do cięższéj zaprzęgano pracy, do takiéj bowiem, do jakiéj ich pędzono, nie potrzebował się chłop nasz wcale natężać.

Wpływ jednak powietrza i słońca działał na znękanego orzeźwiająco: obecność tylko ludzi przechodzących ulicami miasta, nie mogła mu być przyjemna. Dawniéj widywał innych koło siebie ludzi,

którzy również innym na niego wzrokiem poglądali. Dzisiaj patrzą się na nich przechodzący, chociaż z obojętnością, jednak w sposób, w jaki się patrzy na ludzi, którym nikt „słowa dobrego“ nie powiedział. Musiał się zatém czuć on dzisiaj, jakby już całkiem „zatraconym.“ Obojętna owa pogarda, cicha, milcząca, ludzi będących na wolności, piekła go czasami do kości. Mimo to musiał się powoli do tego przyzwyczaić.

Lepiéj mu już było, gdy po pewnym czasie, poznawszy w nim człowieka nie całkiem zepsutego, zaczęto go używać do posług po innych celach i na korytarzu. Czasami potrzebowano go nawet do usługi w izbie kancelaryjnéj. Wówczas mieli sędziowie sposobność bliższego poznania swego więźnia; litościwszy zaś z nich próbował go nawet pocieszać, że po odbyciu kary wyjdzie z więzienia i wróci nazad do siebie. On zaś wtedy miał minę beznadziejną, jak gdyby już nie było po co tam wracać... Niczego tam się bowiem nie spodziewał dobrego. Miał nawet przeczucie, że krew zabitego zaciąży już odtąd na jego dzieciach. Z posępnym jeno fatalizmem poglądał w przyszłość.

## XVIII.

Fale czasu, mimo wszystkiego, płynęły daléj... Skończyły się nareszcie owe pięć lat.

Skazany wracał do domu.

Im bliżéj był już wsi swojéj rodzinnéj, témbardziéj był niespokojny, i większa opanowywała go trwoga... Czy on ich dziś zastanie na gruncie... i jak ich zastanie?... Toć znowu, jak teraz przyjmą tam we wsi... jego, który powraca z kryminału?... W obec ludzi, którzy wraz z nim siedzieli w ciemnicy, nie mógł czuć się takim, jakim się uczuje w obec innych, żyjących na świetle bożém.

Nareszcie pokazała się już wieś jego, kochana, rodzinna. Westchnął i zaczął mówić pacierz. Gdy się zaś do niéj zbliżył, mimo mroku wieczornego nie chciał zdążać środkową drogą... wstyd jakiś teraz go opanował... chodził ciszkiem, zagumienkami, by nie potrzebował ludziom znanym sobie w oczy zaglądać. Szedł coraz powolniéj... chwilami przystawał... W tém stanęła przed nim jego zagroda...

Przelazł zwolna płot swój, który znacznie się dziś obniżył, w wielu miejscach poprzerywany. To go zarazem przekonywało, że musi być jeszcze jego rodzina na gruncie, gdyż nowy gospodarz inaczéjby tutaj się „postawił.“

Wszedłszy do chaty, zastał „swoich“ we środku.

Ponieważ ogień niejasne rzucał na izbę światło, siedzący w pierwszéj chwili nie poznali go.

— Niech będzie... Bogu najwyższemu sława! — zawołał, podniósłszy ręce do góry, dziękując Opatrzności, że tak dziś wszystko jeszcze zastał.

Kobiéta, poznawszy, rzuciła się na wchodzącego, całując mu lice i obie ręce. I była radość.

Ona nigdy nie sądziła, iż on jeszcze wróci; on zaś nie przypuszczał, żeby go tak przyjmowano.

Dzieci tylko zdala się patrzyły przez zwykłą nieśmiałość... One ojca, pięć lat nie widząc, prawie zapomniały. Opuścił ich był jako „pastuszków“ jeszcze, zaledwie zdolnych do pasania gęsi, dziś każdy z nich mógłby już być niezłym „pohonyczem“...

Było już tak w téj chwili, jak gdyby zapomnieli o biedzie niedawno przebytéj, bo Mełanka, zostawszy sama na gruncie, niemało tu przebiedować musiała.

Bez męża saméj chodzić trzeba było około wszystkiego w domu i „na pańskie“ wybierać się, zaczém dziś całe gospodarstwo inaczéj wyglądało, zaledwie się jeszcze trzymając.

Zapytując o to, o owo, miał ciągle na myśli drugą chatę z wdową po bracie, lecz nie chciał sam zaczynać, jakby się obawiał odpowiedzi.

Gdy wszakże kobiéta sama nie wspominała, zagadnął ją o to nieśmiało, ze wzrokiem spuszczonym ku ziemi.

— Ta... ono chata ich — mruknęła Mełanka — stoi tam... ale w niéj nie ma nikogo...

— A co się z nimi... stało...?

I nie mógł dokończyć.

— Ta... jéj... już nie ma...

On się zmienił; ona dodała:

— Ta, ot, biedowała... Czy to kobiéta sama da temu rady?...

— A co się z nią stało? — zapytał mąż z cicha, oczu nie podnosząc.

Kobiéta dołożyła:

— Ta co!... Jak się położyła, toć już nie wstała... Niech teraz z Bogiem odpoczywa...

I była chwila milczenia.

Po niejakim czasie odezwał się Hnat... z pewną obawą:

— A co... z jéj dziećmi?

— Ta co!... Jedno zmarło... drugie... ano poszło do gazdy... na służbę...

On patrzał ciągle ku ziemi... Strasznie czegoś się zamyślił.

Kobiéta bała się milczenia przerywać.

Oboje teraz czuli, że się Fedorym stała krzywda.

Po chwili odezwał się Hnat z przyciskiem:

— To jest... syn Fedorowy... — I dodał silniéj: — On nie będzie najmitem. Sierotkę onego trzeba tu wziąć...

— Ale... my tutaj — rzekła kobiéta — nie mamy chléba...

— Będzie i dla niego... Siérotę nie można tak zostawić... On ma tutaj ono samo prawo, co nasze dzieci.

I postanowiono zabrać do siebie siérotę po bracie.

Następnie zaczął się Hnat rozglądać po gospodarstwie swojém...

Ta i owa ściana już się chyliła, albo ją trzymały słabe podpory... strzechy zabudowań przez ten czas po większéj części pooblatywały... płatwy zaś w miejscach poczerniały już nieokrytych. Wszędzie był tu brak gospodarza... ale gospodarz teraz wrócił, nie będzie się zatém ociągał, by wedle możności do ładu znośnego sprowadzić nazad gospodarstwo.

Ta jedna tylko chata Fedorych stała tu cała nietknięta, lecz mieszkańców w niéj nie było. Stała teraz, jakby wyrzut sumienia. Nowa, niedawno postawiona, nie prędko zatém zegnije, nie prędko się rozpadnie: rozebrać zaś jéj nie można, jest bowiem jeszcze na świecie jéj spadkobierca, po którego właśnie poszli dziś Hnatowie.

Sprowadzono zatém siérotę.

Chłopcy Hnatowi z pod oka popatrzyli na przybyłego. Ojciec atoli rzekł im:

— To wasz brat... Będziecie jego uważali jako swego.

Po ich minach jednakże poznać było, że go wcale nie mieli ochoty za „swojego“ uważać.

W pierwszych dniach nie zbliżali się nawet, z podełba jeno nań pozierając; następnie obudziła się w nich dawna nieprzyjaźń dzieci, kiedy to jeszcze we dwóch chatach, ale na jednym gruncie, wszyscy siedzieli.

Siérota Fedorych był tu nieśmiałym... czuł się jakby na łasce, oni téż mu dawali do poznania, że jest tylko przybyszem, z woli ojca, każdéj téż chwili mieli ochotę dać mu to dobrze uczuć.

Lecz stary go bronił. Gdy mu jaką krzywdę chłopcy uczynili, ukarał ich surowiej, jako za siérotę, za którego nie ma się komu ująć...

To się wcale nie przyczyniało do zmniejszenia niechęci. Kobiecie zaś ciągle przypominał, żeby tu różnicy nie czyniła, gdyż to sierotka.

Mały ten siérotka tylko w starym widział swego opiekuna i swoją obronę, inaczéj bowiem źleby tu wyszedł.

Z wiekiem niechęć chłopców wzrastała i przechodziła w nienawiść; oni go uważali jako tego, który tu wszedł pomiędzy nich, ażeby im uszczuplić ich prawa. Odgrażali się nieraz, iż go wygonią, skoro tylko ojciec oczy zamknie, bo to ich grunt, ich zagroda, „ich“ jest wszystko... jego tylko ta jedna chata, w któréj nikt nie siedzi, a którą sobie potém może zabrać.

Hnatowie pracowali zawsze podwójnemi siły, gospodarstwo téż stało jako tako.

Chłopcy rośli i rosła wraz z nimi nienawiść.

Między dwojgiem Hnatowemi był niejako milczący sojusz przeciw trzeciemu. Nienawiść ich złączyła, oni przeczuwali, iż będą musieli razem się trzymać, by się w przyszłości wobec „przybysza“ utrzymać; oni wcale nie mieli ochoty z nim się dzielić.

Rozwijało się coraz bardziéj przymierze nieświadome dwóch przeciw jednemu.

Ojciec to widział i usiłował rozerwać. Z trwogą przeczuwał, że to już chyba z ojców na dzieci przejść musiało, uważał zatém jako karę bożą.

Myślał nad tém często, i mrowie po nim przechodziło... On drżał w obawie, żeby to znów się teraz w dzieciach nie powtórzyło...

Kto wié, jak tam w górze było postanowione? Lecz gdy nastały choroby, uległ im młodszy chłopiec Hnatów, i został się tylko starszy.

Rodzice to przyjęli z poddaniem się woli Hospoda; uważali bowiem jako karę za sierotę, mając nadzieję, iż teraz przynajmniéj zmieni się stosunek między pozostałymi.

## XIX.

Starszy jednak Hnatów, jak był śmiały i zuchwały, nie myślał wcale ugiąć się woli ojcowskiéj. On większą jeszcze dziś zapałał nienawiścią ku Fedorowemu sierocie. Zostawszy sam jeden, tém bardziéj nie myślał dzielić się z drugim. Wszystko, co widział, uważał teraz za swoje.

Ojca zatrważała ta jego buta, ta jego chciwość. Widział w tém, jak gdyby odziedziczoną po sobie żądzę. On sam zawsze pragnął posiadania — i to bez podziału z drugim. Przeczuwał zatém coraz bardziéj nowe nieszczęście, skoro oczy zamknie.

Ażeby temu zapobiedz, zamyślał za życia ich rozdzielić i dobrze wszystko obwarować.

Chodził w tym celu do dworu, by grunt jakoś podzielić. Lecz szło to trudno. Do tego stary już niedomagał, lata więzienne, sa-

motność w celi, znacznie już zniszczyły pierwéj silne jego niegdyś zdrowie.

Chłopiec zaś jego ciągle się odgrażał, iż z zachodu ojca nic nie będzie... bo on raczéj żebra drugiemu połamie, niżeliby miał z nim tutaj się dzielić.

I już teraz brał się do bitki, a był silniejszym i gwałtowniejszym od Fedorowego; do tego cechowała go wielka niepowściągliwość.

Dla tego téż, gdy razu pewnego, była w lesie robota „na pańskiém“, a ścinano wtedy drwa, przy waleniu grubszéj sosny, siekierą już podrąbanéj, nie chciał on w zuchwałości swojéj w czas odskoczyć, ponieważ inni nań wołali przestrzegając, sosna wówczas zwaliła się i przełamała mu krzyże.

Było tam lamentu nie mało i zachodu rodziców, używano „zamawiania“ starych lekarek i „praktyk“ wszelkich: mimo to chory już nie powstał.

Hnatowie znękani, odprowadzić musieli ostatniego swego syna na mogiłki.

Teraz poznał nieszczęśliwy ojciec, że mu tylko pozostał siérota Fedorów. Na tego dziś spada grunt cały i wszystko po Woronach. Błogosławił przeto téj chwili, kiedy siérotę zabrał do domu, bo gdyby tego nie było, nie pozostałoby po nim nikogo na gruncie. Praca jego wraz z nim poszłaby do grobu.

I nie długo miał na to czekać, bo wkrótce kończył już sam na śmiertelnéj pościeli, przy lamentującéj kobiecie, w chacie téj saméj, którą niegdyś własnemi postawił rękoma, na tym samym gruncie, którego się trzymał rękami i zębami, miał dziś tę pociechę, że zostawiał pracę swoją w rękach dziecka, co je zabrał po bracie.

*Juliusz Turczyński.*





# MONIZM WSPÓŁCZESNY
## I ECHA JEGO U NAS.

(Dokończenie).

## III.

Dwie jeszcze znamienne i podstawowe tezy wciąż napotykamy u monistów: jedna z nich orzeka, iż wszelkie objaśnienie naukowe musi być mechanistycznem, że zrozumiałem jest tylko to, co się da objaśnić jako mechanizm poruszających się atomów lub cząsteczek, w duchu zasady zachowania energii; druga—że byt jedyny, będący podkładem, substancyą, zarówno tego, co w świecie zjawiskowym poznajemy jako materyalne, jak i tego, co poznajemy jako duchowe, jest przyczyną transcendentną, niepoznawalną, którą jednak przyjąć trzeba dla uzupełnienia naszego naukowego poglądu na świat. Pierwszą z tych tez podzielają także materyaliści i większość przyrodników, wybiegających myślą po za empiryzm zielników i pracowników; druga wspólną jest wszystkim metafizykom w ogólności. Obie z przedmiotu i natury swojej należą do teoryi poznania. Bliższy ich rozbiór okaże to w zupełności.

Gdyby prawdą było, że zasada zachowania energii jest postulatem w ogóle wiedzy naszej, więc postulatem wszelkiego poznawania, nie zaś tylko postulatem mechaniki najbardziej prawdopodobnej, która wymaga ciągłego sprawdzania się swojej hypotezy, ażeby się ostać mogła, w takim razie nie mogłoby być sporu żadnego. Ale właśnie tak nie jest. Przedewszystkiem jestto pogląd niezgodny z rzeczywistym stanem nauk: biologia nie sprowadziła jeszcze, ściśle rzeczy biorąc, żadnego faktu zasadniczo-życiowego do mechanizmu ruchów czą-

steczkowych czy atomowych, a wszakże trudno zaprzeczyć, że podaje ona dużo objaśnień naukowych, t. j. logicznie i doświadczalnie z całym metodologicznym rygorem uzasadnionych, które dają się zrozumiéć. Tak samo rzecz ma się z psychologią, z naukami społecznemi, z lingwistyką: nie podają one żadnych objaśnień w sensie mechaniki cząsteczkowéj i zasady zachowania energii, ale nie brak w nich objaśnień naukowych, które zadawalniają umysły, jako prawdziwe lub prawdopodobne; rozumiemy je względnie tylko, jako wszystko dotyczące świata nas otaczającego i nas samych, ale rozumiemy. Chodzi o to, że są różne szczeble objaśnień naukowych i różne odpowiadające im stopnie zrozumienia; niema tylko ani objaśnienia, ani zrozumienia bezwzględnego, tak dalece, że samo nawet objaśnienie mechanistyczne nietylko że nie jest bezwzględne, lecz jest nawet wyraźnie hypotetyczne i bynajmniéj nie ostateczne w dzisiejszym stanie wiedzy naszéj.

W rzeczy saméj, wciąż powtarzające się u filozofów i przyrodników twierdzenie o fatalnéj konieczności objaśnień mechanistycznych, nie w znaczeniu równoważności przyczyn i skutków, na czém poprzestawano dawniéj, lecz w znaczeniu zasady zachowania energii, albo, co jeszcze gorsza, zasady zachowania ruchu, wyraźnie daje do zrozumienia, że mechanistyczna interpretacya wszystkich zjawisk jest ostateczną instancyą wiedzy, dającéj się zrozumiéć. Po to nawet doktryna monistyczna rozlała ducha po wszystkiéj materyi, aby następnie wszystko objaśnić, jako mechanizm poruszających się i uduchownionych atomów. Należy jednak zauważyć, że sama nawet mechanika w objaśnieniach swoich ma do czynienia nietylko z ruchami rzeczywistemi, które według monistów mają jakoby w nieprzerwanéj ciągłości następować po sobie, zmieniając tylko jedne postacie w inne ilościowo im równoważne, lecz ma ona także do czynienia, jakeśmy już widzieli, z układami zrównoważonemi, które dają się tylko pojąć jako kształty, nie zaś jako ruchy, i wreszcie z ruchami możliwemi, a więc nie rzeczywistemi, z energią potencyalną, która oznacza jakiś nieznany czynnik, coś nieznanego, zdolnego spowodować w danych warunkach ruch. Że zaś mechanika wytworzyła sobie pojęcia energii ruchu rzeczywistego czyli kinetycznéj i energii ruchu możliwego czyli potencyalnéj, więc może ona zbudować sobie hypotezę zachowania energii w ogóle i sprawdzać tę hypotezę na całym wszechświecie, rozważanym pod względem mechanicznym. O ileby się jednak okazało, że we wszechwiecie istnieją zjawiska, które nie są ani ruchem rzeczywistym, ani możliwym, ani układem materyalnym, o tyle wymaganie, ażeby je objaśniać ze stanowiska mechaniki, byłoby w założeniu niesłuszne, sama zaś nie-

możność tego objaśnienia zgoła nie byłaby jeszcze wyrokiem niemożliwości poznania i względnego zrozumienia tych zjawisk.

Gorąco pragnąłbym, aby mię w tym zwłaszcza punkcie zrozumiano należycie. Już wykazaliśmy na swojém miejscu, że mechanistyczne objaśnienie w sensie „zasady zachowania ruchu albo siły“ u tych, którzy utrzymują, że istnieją w świecie same tylko ruchy, że ruch tylko z ruchu powstać i tylko w ruch przeobrazić się może, jest wprost błędem, który się nie daje usprawiedliwić ani przez ogół znanych faktów, ani przez uzasadnione przypuszczenia. Naukowe objaśnienie mechanistyczne polega na okazaniu, że dane zjawisko lub dana kategorya zjawisk mechanicznych zachodzi zgodnie z zasadą zachowania energii. Zasada ta jednak nawet w saméj mechanice nie jest ostateczną instancyą objaśnienia, a więc i rozumienia. Już historyczne stanowisko téj hypotezy jasno dowodzi, że musiały ją koniecznie poprzedzić pewne pojęcia, odpowiadające faktom prostszym i pierwotniejszym. Gdy Descartes wprowadzał błędną ideę zachowania ilości ruchu ($mv$) we wszechświecie, musiał on mieć poprzednio pojęcie ilościowego równoważnika różnych postaci ruchu; gdy potém Leibniz, rozróżniwszy „siłę martwą“ i „siłę żywą“ ($mv^2$), wprowadził błędną ideę zachowania siły żywéj, musiał on przedtém mieć pojęcie ilościowego równoważnika różnych postaci siły żywéj, i to tém bardziéj, że Leibniz opierał się na twierdzeniu Huyghensa, iż działanie żadne nie może powstać z niczego, i że w gruncie rzeczy spekulacye jego dynamiczne zmierzały ku uzasadnieniu prawa przyczynowości Spinozy w stylu logicznéj zasady *rationis sufficientis* (podstawy dostatecznéj). Tak samo gdy w czasach najnowszych Helmholz uzasadniał prawo zachowania siły (dziś: energii), orzekające, że suma sił żywych (dziś: energii kinetycznéj) i napięć (dziś: energii potencyalnéj) jest wielkością we wszechświecie stałą, opierał się on na poprzednio już wytworzoném pojęciu mechanicznego równoważnika ciepła specyalnie i w ogóle na pojęciu ilościowéj równoważności różnych postaci energii. Tak tedy w mechanistyczném objaśnianiu przyrody prawo zachowania energii jest stanowiskiem pochodném, które wtedy tylko może uchodzić za trwałe i pewne, gdy się daje usprawiedliwić przez dalszą instancyą ilościowéj równoważności różnych postaci energii, gdy stanie się faktycznie pewném lub teoretycznie prawdopodobném, że zamienność różnych postaci energii zawsze jest ilościowo równoważna.

A jakież to są rękojmie téj pewności lub prawdopodobieństwa? Szukać takich rękojmi znaczy tyle, co odwoływać się do jakichś dalszych instancyi objaśnienia i zrozumienia. Jakoż w istocie, dalsza analiza pojęcia równoważności ilościowéj wykazuje nam, że takie dal-

sze instancye mechanistycznego objaśnienia przyrody istnieją. Weźmy dla przykładu jakiekolwiek dwa ruchy rzeczywiste następujące po sobie, przypuśćmy: spadnięcie piłki na ziemię i odskoczenie jéj ku górze. Przyjąwszy sprężystość piłki i sztywność ziemi, o którą się ona uderza, za wielkości we wszystkich przypadkach spadania i odskakiwania piłki stałe, możemy zadać sobie pytanie o ile energia ruchu odskokowego jest lub nie jest ilościowo równoważną energii ruchu spadania. By jednak odpowiedziéć na to pytanie, niezbędną jest możność wymierzenia w jakichś jednostkach energii obu ruchów; że zaś energia wymierza się pracą, którą jest zdolna wykonać, zaś za jednostkę pracy przyjęto ilość pracy potrzebną dla podniesienia jednego kilogramu na wysokość metra czyli kilogramometr, więc w téj jednostce wyrażamy wielkość energii tego i tamtego ruchu, i przez porównanie przekonywamy się o ile są one równoważne sobie. Gdyby chodziło nie o ruch rzeczywisty, lecz o energią potencyalną, tobyśmy ją tak samo wymierzyli ilością możliwéj pracy i przez porównanie przekonali się o równoważności. Tym trybem, stosując się do danych okoliczności i zmieniając jednostki miary dla różnych postaci energii, o ile takie jednostki posiadamy, moglibyśmy w każdym danym przypadku rozważać ilościową równoważność lub nierównoważność takich lub innych postaci energii, o ile te ujawniają się w rzeczywistéj pracy lub mogą się ujawnić w rzeczywistéj pracy.

W nauce jednak, dla celów teoretycznych, tylko fakt należycie uogólniony posiada istotne znaczenie. Ażeby pojedyncze pomiary i porównania w danych przypadkach uogólnić, ażeby się przekonać, że dany fakt mechaniczny jest przyczyną innego jakiegoś faktu mechanicznego, na to nie wystarcza sama okoliczność, że fakty te nastąpiły po sobie i są sobie ilościowo równoważne; na to potrzeba nowych rękojmi. Trzeba koniecznie zjawisko poprzedzające i następujące rozłożyć na najprostsze i nierozkładalne składniki i zbadać, co mianowicie w każdym składniku zjawiska następującego jest ilościowo równoważne każdemu z najprostszych składników zjawiska poprzedzającego; czyli, innemi słowy, trzeba zbadać stosunek równoważności ilościowéj pomiędzy najprostszemi, kolejno po sobie następującemi zjawiskami. Nazwijmy to sobie: następstwem najprostszém.

Daléj, trzeba się upewnić, że pomiędzy dwoma badanemi zjawiskami nie zachodzi żadne trzecie zjawisko, jako ogniwo pośrednie, gdyż w przeciwnym razie w tém pośredniém, pomijaném przez nas ogniwie, mógłby się pojawić jakiś nowy czynnik, który równoważnie zmodyfikuje zjawiska następne; skoro my o tém nie wiemy, więc możemy błędnie całe zjawisko następne uważać za skutek tylko poprze-

dzającego. Tak samo pośrednie zjawisko może się wcale przyczynowo nie wiązać ze zjawiskiem, które uważamy za następne, i tym sposobem błędnie zjawisko to będziemy uważali za równoważnik przyczynowy poprzedzającego zjawiska. Symbolicznie da się to tak wyrazić: gdy badamy równoważność mechaniczną zjawisk **A** i **C** następujących po sobie, należy się upewnić, że pomiędzy niemi nie zachodzi jakieś zjawisko **B**, któreby było równoważnikiem jakiéjś części **C**, albo jakiéjś części **A**. Tę nową rękojmię nazwijmy sobie: następstwem bezpośredniém.

Nakoniec, badając równoważność przyczynową dwóch zjawisk mechanicznych, musimy posiąść rękojmię, że dwa następujące po sobie zjawiska w granicach doświadczenia stale następują po sobie, zachowując odpowiednio niezmienną wartość jakościową i ilościową; gdyby się bowiem okazało, że zjawisko **B** raz następuje, drugi raz nie następuje po zjawisku **A**, natenczas zachodziłaby konieczność szukania bezpośrednich skutków **A** i bezpośrednich przyczyn **B** zosobna, stosunek zaś bezpośredniego następstwa przyczynowego pomiędzy **A** i **B** zostałby zerwany. Tę trzecią rękojmię nazwijmy sobie: następstwem stałém.

Tak więc, pojęcie równoważności mechanicznéj zjawisk, albo, co jest tém samém, przyczynowości mechanicznéj zjawisk następujących po sobie, opiéra się w dalszéj instancyi na rękojmiach nieuniknionych, że badane następstwa są najprostsze, bezpośrednie i stałe. W tym kierunku jestto ostatnia i nieodzowna instancya w każdém naukowém objaśnieniu przyrody ze stanowiska mechanistycznego. Ostatnia, ale nie jedyna.

Każda dana rzecz w przyrodzie, rozważana jako pojedyńczy przedmiot, jest współbytnością cech jakościowo różnych i raz dających się, inny raz nie dających się wymierzać ilościowo. Objaśniając świat mechanistycznie, musimy uwzględniać nietylko następstwa zjawisk mechanistycznych, nietylko zmiany zachodzące w czasie, lecz także i to uwzględniać musimy, co tym zmianom podlega: rzeczy czyli współbytności cech. Zbytecznėm byłoby tu objaśnienie, że rzeczy złożone dają się rozkładać na prostsze i jeszcze bardziéj proste składniki, z których każdy jest współbytnością cech jakichś, aż w końcu w chemii dochodzimy do ciał elementarnych, czyli współbytności cech w dalszym ciągu, w obecnych warunkach wiedzy, nierozkładalnych. Na zasadzie rozważania stosunków, w jakich te najprostsze współbytności cech, zwane ciałami elementarnemi, kombinują się ze sobą w różnych związkach, stanowiących całą rozmaitość przedmiotów trzech królestw przyrody, wytwarzamy sobie pojęcie jednostki mierniczéj, na-

zwanéj atomem. Fizyk i chemik o tyle różnie pojmują atom, że pierwszy uwzględnia w nim tylko współbytność cech mechanicznych i fizycznych, gdy tymczasem chemika obchodzi w nim także i współbytność cech chemicznych.

Otóż w dalszym ciągu idzie tu o ostateczne instancye mechanistycznego objaśniania przyrody, tylko w danym już razie nie w kierunku objaśniania zjawisk lub zmian, lecz tego, co zmianom ulega: ciał, materyi. Ci z pośród monistów współczesnych, którzy utrzymują, że ostateczną i jedyną instancyą mechanistycznego objaśnienia przyrody jest zasada zachowania energii, mogą być zupełnie tu pominięci, gdyż wiemy już jak się głęboko mylą; ci jednak, którzy obok prawa zachowania energii uznają także i prawo zachowania materyi podstawowe w mechanistycznėm objaśnieniu przyrody, mogliby mniemać, że to ostatnie prawo jest drugą w tém objaśnianiu ostateczną instancyą, tamtéj równorzędną. Łatwo się jednak przekonać, że tak właśnie nie jest, że i prawo zachowania materyi jest pochodne i opiéra się z konieczności na bardziéj pierwotnych rękojmiach. Jakkolwiek już starożytni wygłaszali aforyzm, że materya nie ginie i z niczego nic powstaje, to wszakże teza ta aż do najnowszych czasów, do XVIII stulecia, teoretycznie pozostała jałową, gdyż z jednéj strony nie posiadała rękojmi dostatecznych, z drugiéj zaś strony środki rozkładu ciał na elementarne składniki, metody analizy chemicznéj, chociażby jakościowéj, były nieznane. Nawet pojęcia stosunku ciężaru do objętości i ciężaru gatunkowego, tkwiące już w prawie hydrostatycznėm Archimedesa, w obec braku analizy nie wydały w ciągu dwudziestu wieków tyle plonu naukowego, co w ciągu kilku lat dziesiątków naszego stulecia. Otrzymanie przez Pristleya tlenu, ciała elementarnego tak upowszechnionego w przyrodzie, i zastosowanie metodyczne ważki przez Lavoisiera, stanowią epokę w badaniu materyi. Odtąd ideę zachowania materyi oparto na pojęciu ilościowéj równoważności takich współbytności cech, jak ciała elementarne, które we wszystkich związkach i połączeniach występują jako równe sobie. Dla określenia równoważności ilościowéj cech niezbędne były jednostki miernicze i odnaleziono je w jednostce ciężaru, ciężaru atomowego, wartościowości chemicznéj. Dla upewnienia się jednak, że jedna współbytność cech jest materyalnie równoważna innéj współbytności cech, potrzeba było rękojmi tych samych, które były niezbędne dla ugruntowania prawa zachowania energii: trzeba było osiągnąć w s p ó ł b y t n o ś c i  c e c h  n a j p r o s t s z e,  b e z p o ś r e d n i e  i  s t a ł e, co też względnie osiągniętém zostało przez odkrycie szeregu ciał elementarnych i określenie ich atomów, jako ilościowo określonych współbytności cech.

Powyższe zatém badania przekonywają nas, że w mechanistycznem objaśnieniu przyrody nauka nieuniknienie opiéra się na dwóch ostatecznych instancyach: musi ona poznać współbytności najprostsze, bezpośrednie i stałe, oraz następstwa najprostsze, bezpośrednie i stałe. Są to ostateczne w tym zakresie dane wiedzy naszéj. Dla czego dane cechy współbytują ze sobą w danéj najprostszéj, bezpośredniéj i stałéj grupie, którą nazywamy atomem ciała elementarnego, tego nie rozumiemy; jestto fakt dany, który przyjąć musimy w tym właśnie charakterze. Dla czego po takiém a takiém zjawisku najprostszém bezpośrednio i stale następuje inne zjawisko, tego także nie rozumiemy, lecz tylko poznajemy ten stosunek następstwa, jako dany. Dla czego w wodorze mają współistność ze sobą takie a nie inne cechy fizyczne i chemiczne, dla czego atomy, poruszające się w prostéj linii naprzeciwko sobie, po zderzeniu mają się poruszać w kierunkach przeciwnych — tego wcale nierozumiemy, i w grubym błędzie są ci, którzy utrzymują, iż rozumieją dla czego po jednym ruchu następuje ruch inny, jako jego skutek. Nauki badające materyą i siły opierają się ostatecznie nie na faktach zrozumiałych samych przez się, lecz na znajomości najprostszych, bezpośrednich i stałych współbytności i następstw, które wobec umysłu naszego występują jako fakty nierozkładalne i wprost dane.

Wywody te, jak się nam zdaje, rzucają jasne światło na wartość naukową uroszczeń monistów. Skoro bowiem ani zasada zachowania energii, ani zasada zachowania materyi, nie są ostatecznemi istancyami w mechanistycznem objaśnieniu wszechświata, to témbardziéj nie są one instancyami ostatecznemi w objaśnianiu téj strony, téj kategoryi zjawisk w przyrodzie, która się nie da podporządkować bądź kategoryi ciał, bądź sił materyą poruszających, mianowicie zjawisk duchowych. Przekonanie, że zjawisko duchowe może być następstwem tylko zjawiska duchowego, że myśl tylko z myśli powstać może, jest kwestyą faktu, o który spiérać się byłoby niedorzecznością, gdyby on został należycie stwierdzony. Tego jednak dotychczas nawet w przybliżeniu powiedzieć nie można. Byłoby to prawo zachowania ducha, zupełnie odpowiednie dwóm poprzednim prawom, i musiałoby się ono oprzéć na tych samych rękojmiach, co i tamte oba. Gdy jednak moniści utrzymują, że dla przyczynowego objaśnienia zjawisk duchowych zmuszeni jesteśmy przyjąć, iż zjawiska duchowe tylko jako skutek innych zjawisk duchowych powstawać mogą, a opiérają to na założeniu, jakoby rzeczą zrozumiałą było, jak zjawisko duchowe staje się przyczyną lub skutkiem innego zjawiska duchowego, to zmuszeni jesteśmy

zaprotestować przeciwko temu. Tak samo bowiem jak drogą analizy zjawisk materyalnych dochodzimy do pewnych współbytności i następstw, które uważamy za powiązane ze sobą pierwotnie lub przyczynowo, dla tego, że one są najprostsze, bezpośrednie i stałe, tak również analiza zjawisk duchowych doprowadza nas do pewnych następstw i współbytności najprostszych, bezpośrednich i stałych, które dla tego tylko uważamy za pierwotne lub przyczynowe, że one są ostatecznie nam dane i nierozkładalne. Przyczynowéj pochodności zjawisk duchowych od duchowych tak samo nie rozumiemy, jak pochodności przyczynowéj zjawisk materyalnych. Tu i tam ostateczną instancyą są stosunki najprostsze, narzucone umysłowi naszemu jako fakty, od których niemasz rekursu do żadnych racyi.

Przekonaliśmy się wyżéj, że nauka nie zamknęła łańcucha ruchów, bo nie mogła tego uczynić z dostatecznem uzasadnieniem wobec faktów, że łańcuch ten bywa przerywany ogniwami nieznanéj nam natury, różnemi postaciami energii potencyalnéj. I łańcucha zjawisk duchowych także nauka zamknąć nie może, bo ogniwa nieznanéj natury, które jedni nazywają „śladami“, inni „wnioskami nieświadomemi“, jeszcze inni „cerebracyą nieświadomą“, przerywają ten łańcuch jeszcze częściéj. Co się tam dzieje pod poziomem ruchów rzeczywistych w jednym łańcuchu zjawisk i pod poziomem stanów uświadomionych w drugim, tego nie wiemy; jak ma się dziedzina możliwych ruchów do dziedziny możliwych stanów psychicznych, jestto tajemnica dla nauki współczesnéj i szerokie pole wolnych polotów dla metafizyki. Są umysły przenikliwe, które w jasnowidzeniu swojém rozróżniają tam wiry i tańce atomów, z których się składa tkanka mózgowa, widzą tam kolejną i równoważną zamienność ruchów cieplnych, mechanicznych, elektrycznych, magnetycznych, i śledzą jak po tych fluktach atomy unoszą z sobą nieświadome pierwiastki duchowe, zmuszone od czasu do czasu, z powodu jakiegoś zbiegowiska atomów, wytwarzać świadomość. Nauka jednak nie kieruje się jasnowidzeniami; ona posiada określone probierze i metody, które gwarantują prawdy i prawdopodobieństwa. Pozatem jest niewiedza.

Badamy współbytności i następstwa pomiędzy zjawiskami meteryalnemi, pomiędzy zjawiskami duchowemi, tudzież pomiędzy materyalnemi i duchowemi, czego dowodem cała psychologia i psychopatologia współczesna. Gdyby się dały odszukać pewne współbytności lub następstwa najprostsze, bezpośrednie i stałe pomiędzy zjawiskami duchowemi i cielesnemi, to współbytności takie uznaćbyśmy musieli za pierwotne, następstwa zaś za przyczynowe, bo

pojęcie stosunku przyczynowego nic nadto nie zawiera w sobie, ale też i nie mniéj. Pojęcie przyczynowości zawiera w sobie pojęcie ilościowéj równoważności zjawisk, które następują po sobie w stosunku najprostszym, bezpośrednim i stałym, czyli pojęcie ilościowéj równoważności przyczyny i skutku, wymierzanych jakiemiś jednostkami wspólnemi lub współmiernemi.

W zakresie dostępnéj mi wiedzy naukowéj nie odnajduję żadnego przykładu, gdzieby stwierdzono przyczynową zależność zjawisk według innych rękojmi, jak te, które wyżéj wyłuszczone zostały; nawet w tych dziedzinach, gdzie nie przekroczono jeszcze granic badania jakościowego tylko, rękojmie te pod względem jakościowym istnićć muszą. Pośród współczesnych powag naukowych znajduję tylko jednego badacza głośnego imienia i niepospolitych zasług naukowych, Wilhelma Wundta, który w szeregu dzieł swoich zaprzecza temu, aby ilościowa równoważność przyczyny i skutku była koniecznym wyrazem przyczynowości. Utrzymuje on mianowicie, że równoważność ta jest specyalnym przypadkiem zasady przyczynowości w odniesieniu do przyrody materyalnéj, że natomiast nie istnieje ona w zakresie zjawisk duchowych, gdzie raczéj daje się stwierdzić zasada „ustawicznego tworzenia się siły duchowéj" [1]), gdzie na miejsce reguły świata materyalnego: przyczyna i skutek są równéj wielkości, występuje inna reguła: skutek może nieograniczenie przerastać ilościowo przyczynę. Szkoda, że Wundt nigdzie téj myśli swojéj tyle razy powtórzonéj nie uzasadnia. Co do mnie, przyznam się, że stanowczo nie widzę, jakby się ona uzasadnić dała, gdyż każdy przyrost skutku, nie dający się ilościowo odnieść do znanych przyczyn, wzbudzałby w umyśle naszym podejrzenie, że się nam wymykają jakieś czynniki, któreby ilościowo równoważnie skutek wywołać mogły, i dopótyby się umysł nie uspokoił, dopókiby tych czynników nie odkrył, albo w przeciwnym razie zrezygnowałby się na niewiedzę. Bez postulatu ilościowéj równoważności następstw najprostszych, bezpośrednich i stałych nie możliwe jest zgoła dla naszego umysłu przyczynowe badanie ani zjawisk materyalnych, ani duchowych, ani ich wzajemnego stosunku. Gdy zaś temu postulatowi staje się zadość, wtedy posiadamy już wszystkie rękojmie dla podstaw faktycznych wiedzy naszéj i pozostaje tylko ojbaśniać zjawiska złożone, które zrozumiéć pragniemy.

Tyle już mówiliśmy o współbytnościach i następstwach najprost-

---

[1]) Die unablässige Neuschöpfung geistiger Kraft (Essays, XI Die Entwickelung des Willens, str. 286—307); Hier gilt ein Gesetz unbegrenzter Neuschöpfung geistiger Energie (Logik, tom II, str. 507); a także w „Ethik" i w „System der Philosophie".

szych, bezpośrednich i stałych, jako o ostatecznych danych i instancyach wiedzy naszéj o całym świecie poznawalnym, że wypada także bliżéj omówić ich naturę podmiotową i przedmiotową, by pozyskać tym sposobem jakiś probierz pewny do odróżniania współbytności od następstw. Jest rzeczą oczywistą, że formą podmiotową, w któréj się nam przedstawiają wszystkie współbytności, jest intuicya trzywymiarowéj rozciągłości, czyli przestrzeni, i formą podmiotową, w któréj się nam przedstawiają wszystkie następstwa, jest czas. Gdy jednak od grubego spostrzegania układu rzeczy i przebiegu zjawisk złożonych przechodzimy do naukowego badania rzeczy i zjawisk najprostszych, wymiary przestrzeni i trwania w czasie maleją coraz bardziéj i ostatecznie staje się trudném bez jakiegoś probierza metodycznie stosowanego odróżniać niechybnie współbytności od następstw. Skoro mamy daną grupę cech *abc*, którą rozważamy tymczasem jako jeden przedmiot, o którym się dopiéro mamy przekonać, czy to jest współbytność, czy następstwo, natenczas zmieniamy dowolnie porządek spostrzeżeń naszych: spostrzegłszy obecność *a*, przekonywamy się, że *b* i *c* są zawsze obecne; spostrzegłszy *b* albo *c*, przekonywamy się, że *ac* albo *ab* są są zawsze obecne; tym sposobem stwierdzamy, że nasza grupa cech jest współbytnością stałą; złoto np. jest grupą cech takich, jak określony ciężar gatunkowy, atomowy, określone powinowactwa chemiczne, barwa, twardość przy pewnéj temperaturze, kowalność i t. p.; otóż od któréjkolwiek dowolnie obranéj cechy zacznę, zawsze się przekonywam o obecności wszystkich innych cech i na tém opiéram przekonanie, że złoto jest współbytnością stałą. Przeciwnie, skoro, wracając do poprzedniéj grupy *abc*, stwierdzam, że ilekroć jest *a* tylekroć jest *b* i ilekroć jest *b* tylekroć jest *c*; ale w odwrotnym porządku nigdy tego stwierdzić nie mogę, aby po *c* następowało *b* i po *b* następowało *a*, natenczas mam pewność, że spostrzegam następstwo stałe. Tak, po urodzeniu np. następuje zawsze śmierć a nigdy odwrotnie. Gdy zaś mam do czynienia z kolejno zmienném następstwem dwóch zjawisk, jak np. dnia i nocy, natenczas mam pewność, że żadne z tych zjawisk nie może być przyczyną drugiego, że oba zależéć muszą od jakichś pobocznych przyczyn, stale działających według określonego prawa.

Ponieważ każdy fakt o tyle dla wiedzy naszéj istnieje, o ile bezpośrednio lub pośrednio wywoła sobie odpowiedni symbol podmiotowy w umyśle naszym, i ponieważ w umyśle naszym symbole te mogą się uświadamiać tylko w kolejném po sobie następstwie, więc wszystko przedstawiałoby się nam jako bezładny jakiś ciąg kolejno po sobie następujących faktów, gdyby nie powyższy probierz przedmiotowy,

dzięki któremu odróżniamy współbytności od następstw i porządkujemy cały chaos faktów.

Doszedłszy w jednym kierunku drogą analityczną do ostatecznych instancyi mechanistycznego i wszelkiego innego poznawania świata, musimy się teraz z kolei zwrócić na drogę syntetyczną i przyjrzéć się jakie téż rzeczywiście środki posiada nasz umysł do naukowego syntezowania poznawanych faktów, do ich tłómaczenia czy objaśniania. Już po kilkakroć w ciągu téj pracy mieliśmy sposobność do zaznaczenia, że fakty pierwotne, po za które wiedza nasza nie sięga, objaśniane a więc i zrozumiane być nie mogą; one mogą być tylko poznane. Teraz już wiemy, że takiemi faktami pierwotnemi są wszelkie współbytności i następstwa najprostsze, bezpośrednie i stałe. Wbrew temu moniści mniemają, a właściwie twierdzą, że fakty pierwotne rozumieją, gdy chodzi o następstwo ruchów lub stanów psychicznych, ale za to z niezrozumiałości niektórych następstw stałych pomiędzy stanami cielesnemi i psychicznemi, albo odwrotnie, wnioskują, że zależność przyczynowa pomiędzy niemi istniéć nie może. Nie ulega wątpliwości, że rozchodzi się tu o powikłanie pojęć: poznanie i rozumienie. Wolno pokusić się o ich objaśnienie, témbardziéj, że każdy może sobie filozofować ile mu się podoba, ale nikt nie ma prawa wymagać, aby spekulacye jego brano na seryo, dopóki każdego symbolu pojęciowego, którym się posługuje, nie objaśni i nie usprawiedliwi należycie tak ze strony formalnéj, jak doświadczalnéj.

Poznać coś (nie w znaczeniu psychologiczném, bo poznanie, jako psychiczny stan przekonania, że się coś zna, może nie czynić zadość obowiązującym w nauce probierzom prawdy i prawdopodobieństwa, lecz w znaczeniu filozoficzném), to znaczy osiągnąć zgodność pomiędzy treścią myśli i przedmiotem, któremu ona ma odpowiadać, pomiędzy symbolem podmiotowym i faktem pozapodmiotowym. Gdy wytwarzam sąd, w którym orzeczenie, odpowiadające pewnéj cesze, wiąże się z podmiotem, odpowiadającym pewnéj rzeczy, tak jak cecha powiązana jest z rzeczą; albo znów gdy wytwarzam sąd, w którym symbolicznie wyraża się następstwo tak, jak ono przedmiotowo zachodzi pomiędzy zjawiskami, natenczas sąd swój nazywam poznaniem. Całkiem rzecz inna czy rozumiem to, co poznałem. Rozumiéć (i znów w znaczeniu filozoficzném), to znaczy być w stanie dane pojęcie lub sąd rozłożyć na jakie prostsze i bardziéj znane pojęcia lub sądy takim sposobem, aby każde przejście od bardziéj złożonych do prostszych było tylko podstawianiem równego za równe, gdy chodzi o prawdę, lub podobnego za za podobne, gdy chodzi o prawdopodobieństwo. I tak aż do pojęć i są-

dów najprostszych, na miejsce których już się nic podstawić nie da, oprócz chyba ich równoznaczników w danym języku.

Gdy twierdzę, że rozumiem dlaczego dany balon uleci ku górze, to znaczy, że znam ciężar tego balonu, ciężar gatunkowy gazu, którym go wypełniam i ciężar gatunkowy środowiska, w którém balon ma się wznosić; że nadto znam prawo zachowywania się w powietrzu ciał nierównéj z niem wagi gatunkowéj. Oto szereg pojęć i sądów, które mogę podstawić jako równe sądowi: ten balon uleci. Daléj, zamiast pojęcia „uleci“ mogę podstawić równe mu „wykona ruch w kierunku od środka ziemi“; zamiast „ku górze“—„na taką a taką odległość od ziemi“. Tak samo zamiast pojęć „ciało“, „ciężar gatunkowy“ mogę podstawić ich wyczerpujące definicye, złożone z prostszych pojęć i sądów i t. d., aż do jakichś pojęć i sądów, których już przez nic prostszego zastąpić nie zdołam, bo są nierozkładalne, tak samo jak i odpowiadające im fakty. Kto tedy za pomocą szeregu ścisłych podstawień takich dane pojęcie lub sąd, odpowiadające jakimś faktom złożonym, sprowadza do pojęć i sądów najprostszych, odpowiadających faktom najprostszym, ten syntezuje, albo tłómaczy. W tém tylko znaczeniu można powiedziéć, że syntezować daną kategoryę złożonych zjawisk i sprowadzać ją do zjawisk najprostszych, to jedno i to samo. Ale stąd właśnie staje się oczywistém, że współbytności i następstw najprostszych, bezpośrednich i stałych, syntezować czyli tłómaczyć, a więc i rozumiéć niepodobna, bo się zamiast nich nie da podstawić nic równego lub podobnego, a jednocześnie prostszego, aż póki się one rozłożyć nie dadzą.

Poszczególne nauki zasadnicze, jak to już wykazano, doszły każda w swoim zakresie do pewnych takich współbytności i następstw, których dziś w dalszym ciągu ani rozłożyć, ani do prostszych sprowadzić nie są w stanie. Pomimo tego usiłują, i często z powodzeniem, cały zasób znanych faktów złożonych zsyntezować, czyli wytłómaczyć przez sprowadzenie ich do owych najprostszych. Należy jednak wątpić, czy którykolwiek uczony, świadomy zasad teoryi poznania, łudzi się nadzieją, że i te najprostsze fakty zsyntezuje ze sobą za pomocą spekulacyi, wyprzedzając rzeczywisty ich rozkład według metod naukowych na najprostsze składniki. Wiedzą to podobno najlepiéj chemicy, którym się bardzo uśmiécha idea zsyntezowania siedmdziesięciu ciał elementarnych, przez sprowadzenie ich do układu atomów jakiegoś jednego ciała elementarnego; a jednak nie kwapią się oni z syntezą fantastyczną, którąby analizę wyprzedziła. Któżby przeczył, że istnieje w nas popęd do zsyntezowania i zrozumienia wszystkiego, lub że takie zaokrąglenie czy wykończenie naszego poglądu na świat byłoby pożądane. Ale skoro fizyka, chemia, biologia, psychologia nie

zdołały jeszcze zsyntezować wiedzy o badanych przez siebie cząstkowych dziedzinach świata, to rzeczą jest niemożliwą, aby filozofia, przeszedłszy po głowach tych nauk i wielu innych, odrazu dała nam syntezę całego świata, mającą wartość naukową. Nam się zdaje, że najbliższém i nieuniknionem wstępném zadaniem filozofii jest sumienne, gruntowne opracowywanie poszczególnych działów wiedzy pod względem filozoficznym i badanie stosunków pomiędzy temi działami. Gdy zaś monizm współczesny pragnie zsyntezować i zrozumiéć nawet współbytności i następstwa najprostsze dziś znane, gdy utrzymuje iż lepiéj rozumie najprostsze współbytności i następstwa w obrębie zjawisk materyalnych albo duchowych, niż te, które zachodzą pomiędzy materyalnemi i duchowemi, to oczywiście jest w błędzie, faktów bowiem najprostszych rozumiéć niepodobna, można je tylko poznawać. W takiém to znaczeniu Pascal, mając na względzie geometryą, pisał, że pojęcie wiedzy, którahy się nie opierała na jakichś ostatecznych faktach niezrozumiałych, jest czczém urojeniem, „gdyż, posuwając się od wyrazu do wyrazu i od założenia do założenia, musielibyśmy dojść do nieskończoności“.

W końcu ostatniém, zasadniczém nieporozumieniem filozofii monistycznéj, wspólném jéj zresztą z metafizyką różnych odcieni wogólności, jest dążność do zaokrąglenia syntetycznego na świat poglądu przez odesłanie do pierwszéj przyczyny, do bytu transcendentnego. Pilnie zawsze czytuję wszystko, co się pisze o pierwiastku duchowym atomów, cząsteczek, kryształów i podziwiam nieodpowiedniość produkcyi literackiéj na ten temat do ubóstwa a raczéj nicości danych faktycznych do tych rozpraw i osiągniętéj wiedzy; niemniéj można podziwiać gorliwość, z jaką niektórzy pisarze rozprawiają o ruchach atomowych i cząsteczkowych w ośrodkach nerwowych, o przemianach tam jednych postaci energii w inne, ilościowo im równoważne postacie, wobec zupełnéj nieznajomości budowy ośrodka nerwowego i mechanizmu jego czynności. Są to niezajęte przez naukę, nie użyźnione jéj metodyczną pracą placówki, po których, jak wiatr w pustyni bez przeszkód może bujać przez nic i nikogo nie kontrolowana fantazya. Wszystko to jednak jest niczém w porównaniu z tém, co napisano dotychczas o bycie transcendentnym, absolutnym, o którym się w dodatku twierdzi, że jest niepoznawalny. Wiemy już, że pojęcie bytu jest abstrakcyą od wszelkich rzeczywistych i możliwych stosunków pomiędzy orzeczeniami i podmiotami, któreby odpowiadały jakimś dającym się obiektywnie stwierdzić cechom i zjawiskom. Ale czém jest byt transcendentny?

Jeżeli się mamy trzymać terminologii ustalonéj przez Kanta,

transcendentném nazywa się to, co przekracza granice możliwego doświadczenia, jakiś byt, który, o ileby istniał w świecie, jest niepoznawalny, bo wcale dla środków naszego poznawania niedostępny [1]. W tém samém znaczeniu transcendentnym jest u Schopenhauera jedyny byt absolutny—wola; u Noirégo jedyny byt absolutny—Monon, który objawia się pod dwoma atrybutami: materyi i czucia; to samo znaczenie ma u Spencera jego absolut, nazwany przez niego „Bytem niepoznawalnym“ (*Unknowable*). Każdy z tych bytów transcendentnych, obok wielu innych noszących przeróżne nazwy, ma uroszczenia do roli tego haka ostatecznego, który ma utrzymać na sobie wszystkie zbiegające się doń pasma syntetyczne, mniéj lub więcéj spójnie uwite przez nauki specyalnie poświęcone różnym dziedzinom poznawalnéj rzeczywistości.

Skoro pojęcie bytu transcendentnego ma posiadać rzeczywistą treść jakąś, to oczywiście, że treść tę może stanowić to tylko, co zostało poznane i przez to samo już jest poznawalne. Że jednak byt transcendentny uznaje się za niepoznawalny, więc w pojęciu bytu transcendentnego, albo nie zawiera się żadna treść, jak w próżnym znaczenia wyrazie; albo zawiera się treść poznana a zatém odpowiadająca czemuś poznawalnemu, czyli światu, który rzeczywiście badamy. W tym jednak ostatnim razie przestaje on być transcendentnym. Nadto, zdawałoby się, iż skoro przyczyna transcendentna jest niepoznawalna, tedy w żaden sposób nie może ona być ostateczną instancyą objaśnień naszych i ziemią obiecaną wiedzy. Nie jest ona w stanie ani uzupełnić, ani wykończyć naszego na świat poglądu, gdyż poznawanie nasze może się tylko uzupełniać przez odnoszenie rzeczy nieznanych do znanych, nie zaś odwrotnie — przez odnoszenie rzeczy znanych i poznawalnych do rzeczy nieznanéj i niepoznawalnéj. Zawsze instancyą objaśniającą musi być coś bardziéj znanego niż to, co objaśnić pragniemy, co najmniéj hypoteza jakaś, oparta na faktach i stosunkach znanych, a w dalszym ciągu sprawdzalna. Tymczasem przyczyna

---

[1] P. Dawid, który widocznie nie rozróżnia pomiędzy dwoma zupełnie odrębnemi pojęciami transcendentny i transcendentalny, także odsyła nas do przyczyny transcendentnéj i pisze: „Potrzeba tłómaczenia transcendentnego, metafizycznego, niemniéj jest prawowitą i naglącą, a żaden pogląd, który nie uwzględnia przyczyny transcendentnéj uważać się nie może za skończony.“ W innném znów miejscu, gdy mówi o stosunku stanu religijnego do dostępnéj nam przyrody, utrzymuje, iż jestto „zagadnienie transcendentalne.“ Mamy tedy: przyczynę transcendentną, tłómaczenie transcendentne i zagadnienie transcendentalne. Cóż to wszystko znaczy? Jakto można tłómaczyć transcendentnie? Stanowcze rozróżnienie tych terminów wprowadził do filozofii Kant w „Kritik der reinen Vernunft.“

transcendentna monistów ma nam objaśniać niezrozumiały stosunek ducha i materyi, chociaż sama z założenia jest nietylko nieznana, lecz nawet niepoznawalna, a więc i niesprawdzalna. Nic tedy od niéj oczekiwać nie możemy; gdyby jeszcze ona była poznawalną, możnaby żywić nadzieję, że się kiedyś da zrozumiéć przez sprowadzenie jéj do rzeczy i stosunków znanych nam ze świata zjawiskowego, co odpowiadałoby zwykłemu trybowi poznawania; ale brak nam wszelkich podstaw do nadziei, aby kiedykolwiek natura poznawania naszego uległa tak stanowczéj zmianie, iżbyśmy zaczęli objaśniać rzeczy i stosunki poznawalne za pomocą przyczyn niepoznawalnych, czyli we wręcz przeciwnym kierunku. Sama idea taka obala nasze pojęcie poznawania.

Pogląd nasz zatém na świat moglibyśmy uważać za skończony, skoroby on tylko dotarł do granic tego, co jest poznawalne, jakkolwiek są wszelkie powody do mniemania, żeśmy do granic tych nie dotarli jeszcze i długo podobno nie dotrzemy. Samo już twierdzenie, że byt transcendentny jest przyczyną czegoś, stanowi namacalną sprzeczność, twierdzimy bowiem przez to, najprzód, że byt ten istnieje, powtóre, że on jest przyczyną czegoś; a więc poznajemy go. Skoro zaś poznajemy go pod jakiemiś kategoryami bytu i między innemi pod kategoryą przyczynowości, tedy nie jest on transcendentnym i niepoznawalnym. Gdy Spencer w swoich „Pierwszych zasadach“ powiada nam, że po za światem imanentnym i poznawalnym istnieje jeszcze byt transcendentny i niepoznawalny, to właściwie nie wiemy jak mamy to rozumiéć, gdyż ten sam Spencer zapewnia, iż wié o tym bycie, jakoby dlań niepoznawalnym, że on istnieje i że jest przyczyną całego badanego przez nas wszechświata, czyli wié o nim więcéj, niż my w ogóle o czémkolwiek, co uważamy za poznawalne. Twierdzenie Spencera, jakoby poznaje rzecz niepoznawalną, w sformułowaniu jest niedorzecznością; domniemana zaś wiedza jego o absolucie nie ma żadnéj wartości, bo udowodnić jéj nie można i sprawdzić także. Jeżeli nadto według Spencera byt transcendentny i niepoznawalny ma być właściwą dziedziną, którą ma uprawiać religia, to tém samém skazuje on religią albo na zupełne milczenie o tém, o czém się nic powiedziéć nie da wiarogodnego, jako o niepoznawalném, albo na bajanie, o którém się już z góry wié, że na wiarę nie zasługuje [1]).

---

[1]) Najgruntowniejszą i najbardziéj dotąd wyczerpującą krytykę syntetycznéj filozofii Spencera znajdujemy w dziele Malcolma Guthrie: „Mr. Spencer's unification of Knowledge“ (Londyn, 1882). W obszerném tém dziele za pomocą żmudnych poszukiwań autor wykazuje, że Spencer nie zsyntezował wcale tego, co

Taką jest ta instancya bytu transcendentnego, do którego wciąż nas bez skutku odsyłają metafizycy i w ich szeregu moniści po ostateczne objaśnienia. Słusznie powiada Wundt, że w nauce nie mamy nigdy powodu zapytywać o pierwsze lub ostateczne przyczyny: wszystko bowiem, co się dzieje—a tylko do tego, co się dzieje, pojęcie przyczyny daje się stosować — dzieje się w świecie i myśl nasza nigdy nie jest w stanie przy łączeniu przyczyn i skutków zająć stanowiska pozaświatowego. Jakoż w powyższych wywodach swoich nigdzie nie usiłowaliśmy nawet zajmować stanowiska tego, a nawet więcéj: nigdzie nie przekroczyliśmy granic myśli własnéj, bo i stanowisko pozapodmiotowe w ścisłém tego słowa znaczeniu jest niemożliwe; myśl nasza wyjść po za siebie samą nie może. Dotarliśmy aż do ostatnich jéj granic, gdzie ona jest symbolem narzuconych jéj, od niéj saméj niezależnych i nie dających się zmienić współbytności i następstw najprostszych, bezpośrednich i stałych, i te uznaliśmy za ostateczne granice i instancye wiedzy naszéj, za dane, których zrozumiéć niepodobna, bo się one rozłożyć i do czegoś prostszego sprowadzić nie dają. Jest wielce prawdopodobném, że być może, te współbytności i następstwa, które dziś za najprostsze uchodzą, dadzą się jeszcze rozłożyć, ale nie podlega żadnéj wątpliwości, że każdemu stanowi wiedzy naszéj zawsze będą odpowiadały jakieś dane najprostsze, na których będziemy zmuszeni opiérać cały nasz syntetyczny gmach wiedzy, całe nasze świata zrozumienie. Można sobie zresztą wyobrazić idealny stan wiedzy naukowéj, który cały wszechświat zjawisk potrafi zsyntezować, przez sprowadzenie go do jakiegoś najprostszego i jedynego następstwa, ale następstwo zawiéra już w sobie pojęcie dwóch co najmniéj rzeczy następujących po sobie i jakościowo różnych. Gdzie takie następstwo znika, tam w ogóle nie może być mowy o zjawisku, któreby było podstawą syntezy naszéj. Jeżeli tedy koniecznie ma być monizm, nasz monizm jest teoretyczno-poznawczy: punkt jego oparcia leży na krańcu myśli, ale w jéj obrębie, i polega na pewności, zaczerpniętéj z natury i dziejów wiedzy naszéj, że cokolwiek poznawać mamy, zawsze ostateczną rękojmią poznania musi być stwierdzenie jakichś danych, niezależnych od nas współbytności i następstw najprostszych, bezpośrednich i stałych; że cokolwiek zrozumiéć pragniemy, zawsze to coś sprowadzić musimy metodą podstawiania równego za równe i podobnego za podobne do owych pierwszych danych poznania. Złudzenie, jakoby

---

zsyntezować zamierzył: zjawisk materyalnych, życiowych i duchowych. My trzymaliśmy się zupełnie innéj drogi w pracy swojéj, ale dla interesujących się szerzéj tą kwestyą, dzieło Guthrie jest do polecenia.

umysł nasz mógł wyjść z siebie samego i poznać lub zrozumiéć jakiś byt względem niego transcendentny—nie ma tu miejsca.

Obawa, że się przez to zamyka drogę dla wszelkich spekulacyi metafizycznych, jest płonną. Plenne drzewo, zwane metafizyką, nigdy nie przestanie wydawać latorośli nowych, dopóki tylko istniéć będą dobrze lub źle zrozumiane, ale nierozstrzygnięte zagadki, i dopóki czynną będzie fantazya, zdolna zaludniać próżnię własnemi tworami idealnemi. Tu chodzi tylko o niedopuszczenie do systemu wiedzy naukowéj takich tez, które udowodnić i sprawdzić się nie dają według probierzy dla nauki obowiązujących: logicznych i doświadczalnych. Zadanie nauki jest poznawcze; zadanie metafizyki idealistyczne. Niech metafizycy przyznają, że nie mają żadnych uroszczeń do czynienia zadość tym rękojmiom, które rozstrzygają o prawdzie i prawdopodobieństwie, a stanowczo niepodobna będzie cokolwiek zarzucić téj gałęzi twórczości ducha ludzkiego, która, jak poezya, wydała tyle wspaniałych płodów, podnoszących ducha na wyżyny ideałów etycznych, estetycznych i racyonalistycznych. Ideał jest także rzeczywistością, tylko nie daną, nie narzuconą umysłowi, jak ta, którą nauka bada, lecz rzeczywistością, którą duch ludzki, zgodnie z prawami natury swojéj, sam dla siebie stwarza.

*Adam Mahrburg.*





# ZIEMIA,

## JĖJ PRAWA I USTRÓJ W PAŃSTWIE WIEKÓW DAWNYCH

Żyć lub nie żyć w społeczeństwie—nie zależy od wyboru woli ludzkiéj; nie znamy ludzi. żyjących przed zawiązkiem społeczeństwa. Życie pustelników na puszczach nie jest tu zarzutem, lecz potwierdzeniem: skoro jeno w kilku się zbiorą, wytwarzają własne obyczaje społecznego pożycia, własne społeczeństwo; są więc reformatorami społecznymi, protestantami przeciwko pewnym prawom społecznym, lecz saméj zasadzie nie przeczą.

I przeciwnie, po wiekach niewoli i zupełnego rozbicia, gdy naród znajdzie się na wolności, skupia się znowu w grupy społeczne, stwarza własne społeczeństwo, i nigdy mu na téj umiejętności nie zbrakło. Budowla społeczna odbywa się w chwilach największéj ciemnoty, bez względu na jakibądź stopień kultury i zupełnie od niéj niezależnie, równie też jak odtwarzanie się społeczne następuje w tychże warunkach.

Jeśli przez wyraz kultura rozumieć należy zbiór dorobków pomysłowości ludzkiéj, to życie w społeczeństwie nie jest kulturą; jest prostym wyrazem koniecznych, i w tém znaczeniu, przyrodzonych potrzeb człowieka, jak umiejętność przyjmowania pokarmów i napojów. Ktoby zechciał tę antytezę między społeczeństwem a kulturą usunąć, musiałby udowodnić, że przyjmowanie pokarmów i napojów jest także nabytkiem kultury i wciągnąć w zakres cywilizacyi wszystkie zadania biologii, wkroczywszy w najfantastyczniejsze przestworza wyobraźni.

Przeciwnie rzecz się ma z tym kształtem wspólnego ludzi pożycia, który nazywamy państwem. Jest tu istotnie wszystko od woli ludzkiéj zależném, a nawet sama zasada — żyć czy nie żyć w pań-

stwie: przecież i teraz istnieje mnóstwo społeczeństw bez państw, tak w stanie dzikim, jak cywilizowanym. Nie państwo, lecz społeczeństwo jest starszą formą: w historyi nie mało zaznaczono lat i okoliczności niewątpliwych, przy których i kiedy powstawały państwa, znajdując społeczeństwa już w całym ich rozwoju. Odwrotnych faktów wytwarzania społeczeństw przez państwa nie znamy.

Jednak teraz społeczeństwa w świecie cywilizacyi do takiego stopnia osłabły, straciły władzę, a nawet przymioty organizmu, że zwą je czczym, luźnym wyrazem (*une vaste synthèse*),—tak są luźne zasady, prawa, stosunki członków w społeczeństwie... Czy też tak zawsze było?

Zaprzeczą takiemu przypuszczeniu stany wieków średnich i ziemie z ich ustrojami w wiekach dawnych. Tę ostatnią myśl zamierzamy tu udowodnić.

Badając ciąg życia społeczeństwa we własném państwie, spostrzegamy powszechnie pewną między niémi różnicę, jak ją nazwaliśmy—antytezę. Dawna historya każdego narodu zaznacza silne życie społeczeństwa, a słabe państwa; w wiekach średnich wytwarzają się grupy społeczne, które wchłaniają w siebie pewne przywileje państwa, dążąc z czasem do pochłonięcia go całkiem w sobie. Słusznie przeto stany przezwano państwami w państwie; słuszność jednak temu orzeczeniu w części tylko przyznać można, gdy się mówi o przededniu skonu i o zwyrodnieniu stanu. Przeczono jednak temu, twierdząc, iż stany nie zawsze zamykały się w sobie i tylko dla siebie żyły, zapominając o społeczeństwach, z których wyszły; nie oceniono, że stany mieszczą w sobie sporo przymiotów społecznych obok przywilejów państwowych, że przeto bywały organami potrzeb społecznych. Wszakże samo społeczeństwo zostaje w wiekach średnich zepchnięte na plan drugi przez stany.

Chwila, gdy stany upadają przed potęgą państwa, otwiéra nową historyę. Państwo nie spotyka już przeszkody w swym rozwoju, ani ze strony społeczeństwa, ani ze strony stanów nawet, i wyraża najwyższy swój stopień w centralizacyi, opartéj na silném wojsku i karnéj administracyi. Wycieńczenie zasobów narodu sprowadzało bezsilność rządów, która dawała pohop społeczeństwom do zdobywania pewnych przywilejów państwowych, albo też rządy dobrowolnie je ustępowały, celem wzmocnienia sił produkcyjnych narodu i zasobów własnych. Powstawały stąd rządy parlamentarne, zaopatrzone we władzę rozkazywania tak społeczeństwom, jak państwom, a pozostające w nader luźnym stosunku ze społeczeństwami, bez żadnéj organizacyi istniejącemi.

Jest pewien czynnik, z którego wszystkie te zmiany powstają,— jest to rozwój ekonomiczny i prawny przez ciąg historyi.

Rozwój kultury w państwie zniszczył ziemskie ustroje, następnie zniósł przywileje stanów, skoro te formy społeczne już się przeżyły; lecz natomiast społeczeństwo nie wyrobiło sobie formy bytu, odpowiedniéj czasom i okolicznościom nowym. Dlaczego? Bo nie uwzględniło swéj historyi, a przez wieki średnie przywykło już było żyć bez inicyatywy i troski własnéj, nieświadome swéj przyrody.

Antyteza między rozwojem społeczeństwa a państwa, jest następstwem pierwszéj antytezy między życiem społeczeństwa a rozwojem kultury. Nie jest to antyteza zupełna, bo przecie kultury nie można uznać za coś przeciwnego przyrodzie; zachodzi między niémi taki stosunek, jak między nieświadomością a świadomością, stosunek, który zapełnia każdą chwilę naszego istnienia, tak w skupieniach, jak jednostkach.

Nieświadome istnienie organizmów ulega opisom naukowym i ścisłym badaniom; czemużby zbadanie i opis praw społecznych miały być niemożebne? Przychodzimy więc do wniosku (problematu), że społeczeństwo nie jest luźnym wyrazem, ale takimże, jak państwo, konkretnym organizmem, tylko opisów mu braknie.

Wychodząc z takiéj zasady, byłoby dziwném nawet, żeby materyału do poznania życia społecznego zbrakło. Wprawdzie kronikarze wywołani zostali przez życie państwa; więc téż głównie jemu opisami swemi służyli; rządy stworzyły prawo stanowione, ono więc znowu tylko o państwie mówi. Skutkiem jednak ścisłéj łączności organizmu państwowego ze społecznym, same dokumenty rządowe dadzą zasoby do poznania społeczeństwa. Głównem więc tu zadaniem jest zbadać, oprócz prawa stanowionego, prawo zwyczajowe; ono właśnie jest wytworem samego społeczeństwa, najlepiéj téż przymioty społeczne w sobie odźwierciedla.

Prawo stanowione — jest to rozkaz, uległość i sankcya; prawo zwyczajowe wypłynęło z dobrowolnego pojednania sprzecznych interesów. Zysk lub strata z jednéj strony, w zetknięciu się ze stratą lub zyskiem z drugiéj jedynemi były jego źródłami; pojednanie interesów wytwarzało zwyczaj, który przez ciąg trwania stawał się prawem (zwyczajowém). Zbadanie wszystkich okoliczności i wyszukanie słusznéj miary stanowiły nieraz trudne zadanie; ale raz wynaleziona, zawierała w sobie rękojmię trwałości.

Uznając społeczeństwo za fakt pierwotny, nie wdajemy się w odszukiwanie jego początków, ani tych faktów, które miały je poprzedzić i zrodzić, od pierwszego popędu do życia w skupieniu, czyli nie badamy

istoty rzeczy, ludzkiemu pojęciu niedostępnéj, jak każda rzecz sama w sobie; lecz ograniczamy się na opisie praw społecznych w sposób indukcyjny; zbiór takowych da nam pojęcie o społeczeństwie, a w pewnym stopniu o państwie, o ile pojęcie o tym organizmie służy do uzupełnienia pojęcia o społeczeństwie.

Obecnie narodami europejskiemi rządzi rzeczowe prawo własności ziemskiéj. Oddaje ono ziemię, żywioł przyrody, w takież bezwzględne władanie jéj właścicielowi, jak każdą inną rzecz, i ku temu dąży niezmierny szereg zastrzeżeń, przepisów, kar i przywilejów. Lecz prawo własności ziemskiéj jest podstawą społeczeństw i państw; zmiany rozwojowe, jakie w tych organizmach zachodziły, muszą być tylko objawami owych zmian, jakim sama podstawa ulegała w ciągu historyi i takowe spowodowała; jakaż więc jest historya pojęcia własności ziemskiéj, rzeczowéj?

Innemi słowy—co to jest państwo? co społeczeństwo?

Na pierwsze pytanie nietylko różne nauki dają różne odpowiedzi (jurysprudencya i ekonomia społeczna), ale, ile autorytetów liczy nauka, tyle zdań różnych, bo wszystko zależy od poglądu na pojęcie o własności nieruchoméj, ziemskiéj. Jednak temu pewnikowi nikt nie zaprzeczy, że państwo—to instytucya prawna, z prawa urosła; brak więc pojęcia o państwie świadczy o braku pojęcia o rozwoju prawa...

Jeśli zaś zapytamy, co jest społeczeństwo? tu już zdania tak się zróżniczkują, że dochodzą do twierdzenia o nieistnieniu zgoła społeczeństwa, jako organizmu prawnego, o czém już wspomnieliśmy... Skoro jednak społeczeństwo poprzedziło państwo i to ostatnie na podstawie pierwszego urosło, skądże przymioty prawne państwa, jeśli nie z téj podstawy wynikły?... Stąd pierwsze określenie społeczeństwa, że jest to instytucya prawna, przez co wcale jeszcze nie twierdzimy, żeby prawo społeczne było tém samém, co i to, którém się rządzi państwo.

Istota pytania głównie polega na tém, czy społeczeństwo i państwo w swym rozwoju opiérały się kiedybądź na takiém pojęciu własności, któreby zapatrywało się na ziemię, jako na żywioł przyrody, i porządkowało władanie produkcyjnością sił ziemi, nie zaś rzeczą samą. Przejrzenie faktów, które niżéj przedstawiamy, ma udowodnić, że prawo rzeczowe nie jest pierwotnym, ale trzecim kształtem pojęcia o własności ziemskiéj; poprzedziło go prawo uprzywilejowane ziemskie (któreby w dawnéj Polsce nazwać można ziemiańskiém), a przed niém znowu było prawo pospolite (pospólne). Tu wyłącznie ograniczymy się do opisu prawa pospolitego.

Dwa odłamy prawa własności: prawo do ziemi i prawo do rzeczy, w ciągu życia społeczeństwa i państwa mieniają swe role, tworząc całą

treść historyi. W historyi narodów dawnéj (w państwie) i pierwotnéj (przedpaństwowéj) ilość oszczędności jest tak mała, że zasoby wszelkie, czyli rzeczy, zupełnie są podporządkowane wydajności ziemi, wód, lasów, roślinności dzikiéj, — słowem, samemu nieruchomemu kapitałowi. Rządzić nim, a więc głównym jego rodzajem — ziemią, jest to rządzić społeczeństwem całém.

Właśnie ustrój pierwotny społeczeństwa bierze na uwagę tę tylko własność ziemską i na jéj wyrozumieniu buduje stosunki społeczne, a następnie państwowe, pozostawiając zupełnie bez uwagi znaczenie kapitału ruchomego. W stanie pierwotnego ubóstwa dawnego społeczeństwa, ustrój taki doskonale odpowiada zadaniu i wystarcza przez wieków kilka. W miarę jednak nagromadzania się zasobów, coraz więcéj stosunków wymyka się kontroli tego ustroju, aż wreszcie dają one osnowę i byt stanom. Nastają wieki średnie, gdy uprzywilejowane prawo do ziemi otrzymują ci właśnie, którzy posiedli większy zasób rzeczy, i są zdolniejszymi do posług społecznych w służbie publicznéj o własnym nakładzie. Gdy się wzmoże liczba uprzywilejowanych właścicieli, zdobywają sobie przywiléj stanowy, lecz przez to żadna nie zachodzi zmiana w rozwoju rzeczy u podstaw, w przeobrażeniu się dalszém i układzie ekonomiczno-prawnych stosunków. Przyśpieszonym krokiem postępuje następnie nagromadzanie bogactw w miastach i tu się wytwarza nowe pojęcie o własności do ziemi, jako do rzeczy. W ciasnym obrębie miasta właściwe znaczenie ziemi, jako karmicielki ludzi, zwierząt, zupełnie zanika; jéj produkcyjność skazuje się na wieczną jałowość; rzeczy dorobione, jak domy, składy, zagrody, ściągają na się całą uwagę i do liczby tych „nieruchomości“ w inwentarzu wciąga się się też ziemia, lecz jéj znaczenie już zmienione. Ona także się stała jedynie „nieruchomością“ bezpłodną, jałową samą przez się, jak każda rzecz; nabierze znaczenia w ręku człowieka, jako miejsce dla pracy ludzkiéj, lub przedmiot wynajmu i zamiany. Nadać takiéj ziemi znaczenie akcyi i puścić ją w obrót pieniężny było rzeczą naturalną; lecz przeniesienie tego pojęcia po za miasto, gdzie ziemia istotnie jest siłą produkcyjną, nader mało i to niezawsze zależną od pracy ludzkiéj, przy najwyższéj nawet uprawie intensywnéj, przyniosło nieobliczone krzywdy ludzkości; a jednak w tém świetle rzeczowéj własności rozpatrują współczesne kodeksy wszystkie stosunki społeczne i państwowe. Potrzeba ujednostajnienia stosunków w państwie nie jest żadném usprawiedliwieniem. W wiekach średnich istniały obok siebie dwa prawa własności ziemskiéj: ziemiańskie (separatywne) i pospolite, powszechne—to ostatnie przez czas dłuższy lub krótszy we wszystkich

państwach—naradzało się zaś trzecie, rzeczowe, a nikt nie wskazał w tém krzywdy społecznéj lub państwowéj.

W historyi dawnéj tego nieładu społeczeństw nowożytnych nie widzimy zgoła; ustrój społeczny jeszcze bezpośrednio trzyma w swych ręku samo społeczeństwo i wywiązuje się z zadania kierowania pracą społeczną w państwie bez zarzutu, póki rozwój kultury nie wytrąca mu z rąk berła. Społeczeństwo wykazuje tę umiejętność swą w ustroju ziem pojedyńczych; z prawem ich nam zapoznać się wypada.

---

Liczne narody szczepu słowiańskiego dają nam znakomity materyał do poznania społeczeństwa. Pomimo całéj różnicy kolei swego życia, mają tę wspólność, iż po wszystkich ziemiach słowiańskich społeczeństwa miały stanowczą przewagę nad organizmami państwowemi. Z wyjątkiem jedynego twardego organizmu państwa moskiewskiego, które w świecie słowiańskim miało przeciw sobie właściwie tylko organizmy społeczne i dlatego to w ciągu trzech wieków rozwinęło się w ogromną Rosyę,—powszechnie państwa nie zdołały zapanować nad swemi społeczeństwami.

Typowém pod tym względem państwem w Słowiańszczyźnie była Polska. Urosła do wielkiéj potęgi, lecz silna społecznie, w stosunku państwowym zawsze pozostała słabą; nigdy nie dała rządowi rozwinąć się w sobie; pojedyńcze powiaty i ziemie skupiały w sobie całą siłę, kierując uwagę jedynie ku ograniczeniu rządu. Nie mogło nastąpić kodyfikacyi; nie było nawet właściwéj władzy prawodawczéj, bo takowéj sejmy nie wykonywały. Sejmy niewolniczo naśladowały w państwie ustroje ziem rodzinnych; wziąwszy w swe ręce rządy państwem, z prawa zwyczajowego wyjść nie chciały, ograniczając się do uchwalania list poborowych i pojedyńczych przywilejów. Polska całkowicie żyła w prawie zwyczajowém.

Dwa rodzaje praw znała rzeczpospolita polska: pospolite i ziemiańskie; żadne z nich nie upatrywało w ziemi rzeczy, nie było rzeczowém; prawo rzeczowe trzech typów dopiéro po rozbiorach Polski weszło na jéj ziemi. Jest to przykład, iż nawet wielkie państwo trwać i rozwijać się może bez prawa rzeczowego; słabość Polski nie z braku tego prawa, ale z innych płynęła przyczyn.

Trwałość porządku społecznego i bezpieczeństwa państwowego zasadzano w państwach wieków średnich na możliwém ograniczeniu prawa rozrządzania ziemią, na któréj się wznosiła wielopiętrowa budowla życia ludzkiego w skupieniach; taka zasada i Polską rządziła; późniéj wyrozumowano wolność obywatelską na najswobodniejszém ziemią rozrządzaniu, jak rzeczą. Tak prawo ziemskie, pospolite, jak

prawo ziemskie, ziemiańskie, szlacheckie, — oba zarówno są zwyczajowe, odwieczne, których początku nie zdołała dojść nauka. Jakkolwiekbyśmy daleko się zagłębili w prastare czasy polskie, nie zdołamy wykazać chwili, kiedy jeden tylko trwał rzeczy porządek w państwie: albo pospolity, albo ziemiański; a przecież kiedyś jeden mianownik być musiał. Do wykrycia go innych potrzeba użyć sposobów, jakie daje porównawcze badanie ustrojów.

Statut Wiślicki spisał w części zwyczaje prawa pospolitego, zwracając wyłączną uwagę na prawo ziemskie; to samo uczynił o lat 200 później statut Litewski względem prawa ziemiańskiego: jest to kodeks praw ziemsko-ziemiański.

Zasada ogólna sądów naszych, że wszystkie prawa chrześciańskie mogą być pomocnemi sądom, byle były zgodne ze zwyczajami, rozciągnęła powagę statutu Wiślickiego na całą Ruś i Litwę, a Litewskiego na Koronę. Na tém właśnie jedność niedokończonéj budowy państwa się wspierała przez całe wieki; tak też była urządzoną każda komórka organizmu państwowego, każde dziedzictwo prywatne, duchowne, czy skarbowe, i dlatego charakterystycznie zwano je „państwami“, bo były kopią państwa. Każde „imię“ (państwo, dziedzictwo, *dominium*) miało w sobie tylko jednę część ziemi, prawu uprzywilejowanemu, ziemiańskiemu, bezpośrednio i wyłącznie podległą (obszary dworskie), a trzy takie części prawu pospolitemu podległe były (grunta gromadzkie). Sądy, dzieląc „imiona“ między wierzycieli lub spadkobierców, osadzały dziedzica na czwartéj części ziem, wód i lasów, innych części wcale nie był on właścicielem, tylko panem, dziedzicznym urzędnikiem administracyjnym i sądowym w pierwszéj instancyi. Osobne sądy mieszanego prawa, zarówno służące dla pana i poddanego, dla uprzywilejowanych i nieuprzywilejowanych, zwane sądami podkomorskiemi, strzegły tych praw ziemskich zwyczajowych. Wroga miały one w Polsce nie w zamachach politycznych lub reformach prawodawczych, których nawet nie było, lecz w rozwoju ekonomiczno-prawnym, wywołującym przekształcenie stosunków społecznych i państwowych.

Przeważne znaczenie statutu Wiślickiego polega na tém, że on dał pierwszą i jedyną w Słowiańszczyźnie próbę zgodzenia dwóch praw i szeregów instytucyi ziemskich dwóch ziem-państw (ziemi Krakowskiéj i ziemi Sandomierskiéj), nie uciekając się do przemocy. Gdy państwo żyje w prawie zwyczajowém, oddziałać na jego ustrój i prawo można nie siłą rozkazu i mocą prawodawcy, ale jedynie drogą przykładu; za to mądrze dobrany przykład działa z energią niepokonaną. Na podstawie związku krakowsko-sandomierskiego wszystkie ziemie

w Polsce, a następnie na Rusi, Litwie, w ziemiach Pruskich i Inflantach, zrzeszyły się ze sobą.

Jeśli słuszną jest nasza charakterystyka ustroju Polski, to nie ulega wątpliwości, iż jéj obszary i historya przedewszystkiém się nadają do poznania organizmu ziemi. Przy takim ustroju pojedyńcze ziemie nietylko mogły, ale musiały zachować w czystości odwieczne swe zwyczaje.

Ale nie dość na tém; w Polsce znajdujemy krainy, przez naturę samą ku przechowaniu najgłębszéj starożytności przeznaczone. Góry Szwajcaryi i Szkocyi wśród staréj cywilizacyi Europy zachodniéj, zdołały aż do naszych czasów zachować nie błahe szczątki władania ziemskiego, bo zwyczaje z ziemią związane mają trwałość największą. Lecz téż błota i trzęsawiska, lasy i puszcze taką samą grają rolę w przechowywaniu pamiątek ludzkości. Ubóstwo mieszkańców odstręcza cudzoziemców; nieurodzajna ziemia czyni wszelki dorobek ciężkim, życie jednostajném, a usuwa możność odmian, które zawsze pociągają za sobą nakład; krainy takie sama przyroda skazuje na konserwatyzm.

Do liczby podobnych zapadłych ustroni pod każdym względem zaliczyć wypada ziemię Pińską, na wierzchowinie Prypeci w głębi Polesia zaległą; obejmuje ją granicami swemi powiat piński. W Pińszczyźnie i teraz pełno wód, błot i niedostępnych trzęsawisk, wśród których miejscami wystają wydmy piaszczyste, łączące się ze sobą groblami, po wiorst kilka się ciągnącemi, i teraz jeszcze rolnik z łodzią się nie rozstaje, bo ona częstokroć stanowi jedyną spójnię jego sadyby z rozrzuconemi niwami. Dawniéj zaś, przed laty trzystu, w czasie, z którego opis téj ziemi skreślić zamierzamy, cały powiat stanowił archipelag wysepek i wielomilowych błot. Zaledwie parę większych przestrzeni, zdatnych na osady, można było wynaleźć; jedną z nich był „ostrów“ pod miastem Pińskiem leżący; jest to macierzysta ziemia całego powiatu, gdzie ludność naprzód osiadła i skąd po okolicach się rozsiedliła.

Przestrzeń ta na 40 wiorst długa a 30 szeroka, mało zdatna do uprawy rolnéj, ale w wieku XVI-ym nawet nie rola, lecz dzika ziemia, wody i lasy jeszcze żywiły ludność, a pierwotne osady wszędzie zaczynały uprawę roli od gorszych, a nie od lepszych ziem, bo lżejszych do pracy; chléb i ogrodowizny stanowiły dodatkowy pokarm, w obec obfitości dzikich płodów, ryb i zwierzyny. Dla pierwszych osadników większe znaczenie miał warunek bezpieczeństwa, a pod tym względem ostrów Piński najzupełniéj celowi odpowiadał.

Badana przez nas ziemia Pińska rozciąga się blisko na trzy stopnie długości, a na 1 ½ szerokości geograficznéj. Na południe od m.

Pińska i rz. Prypeci, kraj najobficiéj zaopatrzony w rzeki i strumienie. Wijący się wśród błot Styr, gdy dochodzi z południa do Prypeci, gubi swoje koryto, rozdziela prąd na strugi pojedyńcze, które, to się łącząc, to rozchodząc, tworzą trójkąty i czworoboki. Pod Pińskiem liczba ich się wzmaga, gdyż Prypeć ku południowi wydziela z siebie znowu liczne odnogi, spływające się w różnych miejscach ze strumieniami Styru. To samo się dzieje ze Stubłą, większym dopływem Styru, który tworzy podobną siatkę wód.

Dobiegłszy południowego krańca ostrowia, Styr z Prypecią zbiérają swe wody i rozdzielają je na dwa koryta: lewe, odpowiadające Prypeci, ale pod nazwą rzeki Strumienia, okrąża od zachodu ostrów, łączy się w samym Pińsku z rzeką Piną i tu dopiéro Prypeć odzyskuje swe imię; drugiém zaś korytem Styr obchodzi ostrów Piński od południa i wschodu, gdzie, przybrawszy dopływ Stubłę, wpada do Prypeci. Ostrów istotnie staje się wyspą, oblaną zewsząd rzekami, o brzegach mało, lub wcale niedostępnych.

Jasném jest, jak wielkie bezpieczeństwo dawał ostrów pierwotnym osadom rolnym, mając w sobie dość przestrzeni do uprawy. Obronność ostrowia wzmacniają od pólnocy jednym ciągiem zalegające błota, przez które milowe groble tworzą jedyną łączność z okolicami; podobnież od wschodu i południa. Pozostawało tylko sztuką i czujnością wzmocnić zachodnią granicę, bronioną naturalnym rowem fortecznym, rzeką Strumieniem, a zamieszkujące ostrów osady znalazłyby tu wyjątkowo dogodne dla siebie ziemie.

Wszystkie dokumenty stwierdzają myśl i obficie udowadniają, że na tym właśnie ostrowiu rozpoczęło się osadnictwo w Pińszczyźnie. Wszystkie osady z czasów Witołdowych najdawniejszych, do których dokumenty sięgają, wspomniane, znajdujemy tu właśnie i pod ich starożytnemi nazwami.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności mamy dokładny i najszczegółowszy opis ziemi Pińskiéj, dokonany w połowie wieku XVI, w chwili właśnie, gdy pierwszy raz zamierzono dokonać zmiany odwiecznego rzeczy porządku, celem wprowadzenia w gospodarstwie płodozmianu trzypolówki. Do tego czasu zasiewano te same pola rok rocznie, aż do wycieńczenia ziemi, lub odmieniano naprzemian zasiewy ozime i jare, ale również rok rocznie, aż do wyjałowienia roli. Wówczas zarzucano ją i przechodzono do wykarczowania z pod lasu nowéj niwy. Stąd posiadłości osad pojedyńczych rozrzucone były w kilkudziesięciu drobnych kawałkach, pomieszanych z takiemiż posiadłościami osad sąsiednich. Gospodarstwo trzypolowe wymagało wyrobienia równych jednolitych prostokątów; potrzeba więc było dokonać mnóstwa zamian

ziem między rozmaitymi właścicielami, a w tym celu wymierzyć i opisać każdy kawał roli lub sianożęci; wymierzywszy prostokąty, opisać je znowu i rozdać rolnikom. Powstał stąd cały szereg dokumentów wysokiéj wartości [1]).

Mamy w tych pomnikach opis powiatu pińskiego od sioła do sioła, od zagrody do zagrody; wszystkie prawa, jakie do każdego uroczyska, niwy, roli, osady, sioła, imienia ktobykolwiek miał, do jakiegokolwiek należałby stanu. Zebrano tu wszystkie wyroki sądowe, zapisy kupna, sprzedaży, zamiany, działów, spadków, testamentów, wyświetlające źródło i zwyczaje prawa pospolitego, a również nadania, przywileje prawa ziemiańskiego; nadto osobny opis lasów i odwiecznych zwyczajów ich eksploatacyi. Zbiory te dokumentów mają zaletę współczesności i wszechstronności; przez lat 300 brano z nich wypisy do spraw sądowych, w których służyły za podstawę wyrokom.

## Z i e m i e.

Poznajmy najprzód kraj, a następnie ludzi i ich stosunki.

W pierwotném znaczeniu ziemiami nazywano te tylko drobne kawałki gleby, które wykarczowane z pod lasu, oczyszczone z zarośli stawały się przydatnemi dla kosiarza lub rolnika niwami. Ziemia — to sianożęć lub rola. Były téż ziemie leśne; to pasieczyska, gdzie bartnicy wyrabiali w sosnach bartnych (s u d e r e w n y c h) dla pszczół ule (barcie), pracą swą użyzniając ostępy dzikie. Z dawném pojęciem ziemi pojęcie pracy jest nierozłączne.

Siół, ani wsi w znaczeniu dzisiejszém nie było w Pińszczyźnie w połowie wieku XVI-go. Kraj cały pokrywały chutory większe i mniejsze; łączność ich stanowiła owo najwyższe pomieszanie ziem i rozkawałkowanie posiadłości, w jakiém pierwotne władanie pozostawało. Zwano te chutory dworzyszczami. Miarą zwyczajną dworzyszcza była włóka ziemi uprawnéj, rolnéj i sianożętnéj; dzikiéj ziemi w to nie zaliczano, gdyż była ona przedmiotem wspólnego użytkowania dworzyszcz. Jeśli zaś chutor się rozrósł do obszarów dziesięciu dworzyszcz, to stawał się siołem; pomniejsze dworzyszcza wliczano do innych siół. Sioło więc dawne była to jednostka jurydyczna, w celach

---

[1]) „Rewizya puszcz i perechodow zwierinych“ i t. d., Wilno, 1867 — taki dziwaczny tytuł skrywa w sobie: Regestra przywilejów i listów na imiona z nadań, tak hospodarskich, jak zamkowych, oraz opis puszcz i t. d.; „Piscowa księga Pińskiego i Kleckiego księstw“, Wilno, 1884, t. j. „Regestr pomierzenia ziem na włóki 1552—1555 r.“ Takiż regestr Ławryna Wojny z 1567 i t. d. Są to wydania Wil. Arch. Komisyi.

skarbowych i obrony krajowéj wytworzona. Każde dworzyszcze wysyłało do pospolitego ruszenia jednego pieszego, którego własnym nakładem zbroiło i utrzymywało przez czas potrzeby wojennéj. Dziesięciu pospolitakom przewodził dziesiętnik, w którym właśnie jurydyczna jedność sioła się wyrażała.

Dworzyszcze w granicach swych było jednostką, trudną do ścisłego określenia; ciągle się ona rozszerzała przez wyrób nowin okolicznych, rozpadała na części przez działy, sprzedaże częściowe. Skutkiem sporu o granice i wyroku sądowego zaznaczano niekiedy miedze władania kopcami i znakami na drzewach, lecz sami właściciele wkrótce je naruszali z powodu rozrabiania nowin. Jedynie prawa władania, jakie nabyli właściciele, zaznaczały granice dworzyszczom.

Wytwarzając się w ciągu wieków kultury, dworzyszcze składało się z licznych pomniejszych ziem rolnych i sianożętnych, ostrowiów i uroczysk; dlatego też części jego zwano również ziemiami, a każda była znana pod osobném mianem. Dworzyszcza, mające w sobie włókę jednę, we 30, 40 i 50 uroczyskach rozrzuconemi bywały. Nie z téj jednak pochodziło to przyczyny, by natura gruntu tego wymagała, — bo właśnie w tych samych ziemiach pomiary wytwarzały całkowite łany w prostokątach dla siół całych, lecz ze zwyczajow prawa pospolitego.

Pierwsi osiedleńcy, rozumié się, wybiérali najlepsze czy najdogodniejsze ziemie, lecz własnością ich te tylko się stawały, które zdołali własnym nakładem a pracą uprawić, nie zaś całe obszary zagarnięte. Tak zwanego prawa pierwszego zawładnięcia żadnych śladów nie znajdujemy, chociaż w wyrokach sądowych wciąż mowa o nowych osadach i wyrabianiu nowin; jedyném źródłem własności w prawie pospolitém była praca. Następni przybysze wyrabiali swoje niwki pomiędzy pierwszemi; po nich zabiérały to, co pozostało, szeregi nowych rolników. Wytwarzało się stąd owo pomieszanie roli, które zatamowało wszelki postęp.

Jeśli dworzyszcze utraciło swych właścicieli i opustoszało, zwano je także ziemią: „cztéry ziemie, to jest dworzyszcza puste.“

Dość rzucić okiem na opis jednego z wójtostw, by się przekonać o tém, że ta forma kultury na dworzyszczach już się była przeżyła ku wiekowi XVI-mu. W dość ludnym stosunkowo kraju włościanie nie byli w stanie wyzyskiwać z pożytkiem swych dworzyszcz-chutorów, które się rozrastały na małe folwarczki. Największe z nich, po włók 7—15 saméj roli i sianożęci liczące, wprost porzuconemi zostały, a ojczyce (dziedzice) w kłótniach, swarach nie mogli nawet porozumiéć się o podział i ciągnęli pojedyńczemi rodzinami na wschód, na nowe osady.

Obszary polne dworzyszcz w tym czasie były bardzo rozmaite, od półwłoki do 6 i do 15 włók dochodzące; lecz, jeśli te krańcowe a wyjątkowe właściwie wypadki odrzucimy, znajdziemy, że przeważna ilość dworzyszcz władała, jakeśmy wspomnieli, o kilka morgów więcéj, niż jedną włóką. Właśnie reforma gospodarcza uwzględniła to ustosunkowanie sił rolnych na dworzyszczach; za jednostkę łanków włościańskich przyjęła włókę gospodarczą o 33 morgach.

Najstarsze jednak osiadłości były to nie pola i role, lecz lasy, a w nich przyciągały ku sobie osiedleńców rzeki, jeziora, błota, słowem wody, obfitujące w ryby. Z późniejszym postępem lasy zaczęto trzebić, wytwarzać polany, zdolne do uprawy zboża, nakoniec wynosić osady po za lasy.

Przedewszystkiém trzeba sobie przyswoić pogląd na lasy ówczesne, jako na samodzielne jednostki gospodarcze i własnościowe. Obszary imion (dóbr) ziemiańskich i posiadłości wsi hospodarskich lub gruntów miejskich graniczyły właśnie z lasami, ale te nie wchodziły jeszcze, jak za naszych czasów, w skład dóbr.

Obszary leśne zwano „wchodami i wjezdami.“ Już te nazwy wskazują, iż prawo własności w nich było ograniczone; należało ono do pewnych tylko dworzyszcz, mianowicie do jednéj tylko części najstarszych z nich; dwie zaś części dworzyszcz były pozbawione prawa do „wchodów i wjezdów.“

Te właśnie najstarsze w kraju dworzyszcza zwracają przedewszystkiém naszę uwagę. Składały się one z dwóch części: z dworzyszcz w ścisłém znaczeniu i ze wchodów, czyli z ziemi rolnéj i z ziemi leśnéj. Inne miano wchodów jest wprost ziemia, lub szczegółowiéj, ziemia leśna, ziemia bartna, ziemia połazna, albo łazy. Wchody, czyli łazy dawały prawo wejścia lub wjazdu do puszczy i korzystania z jéj użytków, a także łażenia na drzewa, celem wyrobu barci i prowadzenia gospodarki pszczelnéj, skąd wynikło samo miano ziemi połaznéj i łazów [1]).

---

[1]) Wyraz białoruski — łazeń, polski — leziwo oznaczały dość złożony przyrząd pszczolarzy dawnych, który dał miano ziemiom bartnym. „Łaźnia“ zaś była to chata pod puszczą, gdzie współwłaściciele wchodów oczyszczali miód, topili woski, dzielili je między sobą, a częstokroć miody sycili, świece wyrabiali i t. p. Łaźnie więc pod puszczami wcale nie oznaczały miejsc kąpieli gorących, ani świadczyły o skłonności do nich naszych przodków, ale były fabryczkami miodów i wyrobów wosku, jakkolwiek zwyczajowi gorących kąpieli mogły dać początek, gdyż przerabianie wosku odbywało się w gorąco opalanych chatach, przy obfitém użyciu wody.

Wchody dworzyszcz, siół, mieszały się ze sobą, przecinały wzajemnie; każde dworzyszcze stare władało wchodem osobnych wymiarów. Granice jego wkraczały w granice sąsiednich wchodów, obejmując je w sobie koncentrycznie lub równolegle, a zawsze o prawach nierównéj doniosłości, tak pod względem jakościowéj, jak ilościowéj używalności; im starsza osada, tém większe jéj prawa we wchodach przysługiwały.

Wchody dzieliły się na zachody, zwane w Wielkiéj i Małéj Polsce śladami. Były to pasma sosen, rosnących od kraju do kraju wchodu, w szeregach uroczysk, zasobnych w drzewa suderewne (bartne). Każdy ślad, a na śladach każde uroczysko, miały swoją nazwę. Tak podzielony na ślady wchód mógł być przedmiotém działu, zamiany, według liczby drzew suderewnych. Rzadko przy działach wchodem zastosowywano „żerebjewanje“ (losowanie), jak to częstokroć przy podziale dworzyszcz rolnych bywało. „Żerebéj“, po polsku źrebię, był jednostką podatkową, równie jak ślad, zachód. Nazwę swą otrzymał od kości źrebięcia, których do miotania używano.

Już ten opis wskazuje, do jakiego stopnia stosunki własności we wchodach były ze sobą pomieszane. Nie powstrzymywało to jednak właścicieli źrebiów, lub części dworzyszcz i wchodów, od dalszych działów; rozdrobnienie władania dochodziło do tego, że sprzedawano, wydzielano w posagu jednę lub dwie sosny bartne.

Wchody wysoko ceniono i rzadko się ich pozbywano; działy wchodów nie pociągały za sobą ich rozpadania się, bo we wchodach nie wolno było osiadać, tylko na dworzyszczach, chybaby wszyscy właściciele wchodu wydali na to przyzwolenie. Wchody zawsze należały do dworzyszcz pojedyńczych, albo raczéj do ich grup: po kilka i kilkanaście dworzyszcz, rozrzuconych po rozmaitych siołach na dalekiéj przestrzeni kraju, władało wspólnym wchodem.

Obszarami swemi wchody zdumiewają. Przytoczymy parę przykładów z wielkiéj ich liczby, których opisu dokonał Wołowicz.

Dwa dworzyszcza, jedno w s. Krywczycach, a drugie w przysiołku Seninie, ziemianina Krywickiego, korzystają z wchodu do barci, sianożęci i do jezior wspólnie, „wespołek“, z poddanymi hospodarskimi na dwie mile wzdłuż po za Jasiołdą, dochodząc do granic wchodu s. Lisiatycz, gdzie do tegoż ziemianina należało dworzyszcze Horetowskie, którego wchód sięgał daléj na mil cztery w tymże kierunku, aż do wchodów sioła Motoła. Nakoniec, w tém ostatniém siole tenże ziemianin władał dworzyszczem Semenkowszczyzną, z którego włościanie mają wchód, aż do północnych granic powiatu pińskiego, co mogło wynosić jeszcze mil pięć.

Są wskazówki, iż te trzy wchody stanowiły jeden, niegdyś wspólny, na mil 11, od Jasiołdy aż do granic powiatu w kierunku północno-wschodnim; przez działy rozpadł się na trzy wchody. Na zaniechanych przez pszczelarzy śladach, w tak zwanych „spustoszałych wchodach“, można było morgę, lub kilkanaście prętów niwy wyrobić; a ponieważ ślad, pod względem podatków skarbowych, był przyrównywany do dworzyszcza, włóki i łana, i opłacał te same ciężary, wskazuje to, że ślady stanowiły nader długie pasma ziemi. Grupa więc śladów, objęta jednym wchodem, zajmowała puszcze całe.

Tak znajdujemy, iż puszcza Widybor, na mil 7 do 9 wzdłuż i wszerz, stanowiła jeden wchód. Puszcza sioła Hoti nie mniejszych téż była wymiarów.

## Plemię.

Poznaliśmy przedmiot prawa pospolitego: są to wchody i dworzyszcza, czyli ziemia w ściśłém znaczeniu dawném. Poznajmy teraz podmiot prawa, t. j. właściciela tych ziem.

Była nim osoba jurydyczna, jednostka zbiorowa, zwana plemieniem, w jego również ściśłém, pierwotném a prawném znaczeniu.

Przez plemię rozumiano skupienie ludzi na swéj ziemi (wchodzie, dworzyszczu) żyjących, związanych z sobą nie jednością krwi i pochodzenia, które znaczenia prawnego nie miały, lecz wspólném swéj ziemi władaniem i rządzonych ścisłemi przepisami prawa ziemskiego, pospolitego. Związki krwi zupełnie podrzędną i przypadkową grały rolę. Zwyczajnie starszymi członkami w plemieniu była jedna z rodzin z pokrewnemi sobie rodzinami, lecz to nie było zasadą: obcy pochodzeniem mógł stanąć w rzędzie starszych plemieńców, a ojciec i syn, po dojściu ostatniego do lat pełnych, mogli należéć do różnych plemion. Starszeństwo praw nabytych we własności wspólnéj, stanowiło o starszeństwie członków w plemieniu. Łączność plemienia płynęła z zasad ekonomiczno-prawnych.

W lasach Białorusi i Litwy plemię pierwotne żyło w wieku XVI w swoim dawnym bycie na dawnych dworzyszczach i wchodach. Zastali je mierczy i starostowie, robiący pomiary, i opisali w swych regestrach. W większéj części powiatu, jak powiedzieliśmy, pomiary nie dokonały najmniejszych zmian, bo ich nie zastosowano: nastały czasy królów obieralnych, a ci o stałém zagospodarowaniu królewszczyzn całkiem zapomnieli; w tych zaś kilku wójtostwach, gdzie pomiary przeprowadzono, włóki w prostokątach wymierzone rozbierały te same plemiona, ale częstokroć najzupełniéj dowolnie

zmieniając skład swych członków i wytwarzając nowe plemiona. Oto parę opisów.

„Sziolo Philipowicz y theze Bohaczewicz, kthorzisz sziedza kozdey z oszobna sz nych plyemyenym swym przy granyczey powiatu Lyachowyczkyego... przyely zyemye wymyerzoney przy tych dwu szyolach wlok 4, morg 24, pr. 19“. Plemię to tak było wielkie, iż stanowiło dwa sioła, zamieszkiwało téż dwa dworzyszcza. Ziemie jego zapisane zostały na imiona „starszych“ w plemieniu: „Chwyedzko Deryszowycz y szynmy szwymy, Hrynyem, Panaszem, przyely zyednego“ (t. j. wspólnie) ziemie sioła Pilipowicz, a „szyedza wespol“ z innymi członkami plemienia.

Plemieniem sioła Bohocewicze rządzi sześciu starszych, należących do dwóch naczelnych rodzin; na ich imiona zostały ziemie zapisane: „Ulasz, Chwyedor, Hacz, Nacz Kosczynkowyczy, Kondrath, Hrynyecz Andryewyczey tham, gdzie siedza, z yednego plyemyenyem swym przyely pola“...

Plemię Chorostowszczyzna podobnież kilka sioł-dworzyszcz zamieszkiwało: „Piotr, Stasiuk Jankiewicze sioła Joczyce, a plemienia Chorostowszczyzny przyjęli z jednego“... „Wasyl Hryniewicz, Łukijan Piotrowicz sioła Joczycze siedzą naprzeciw plemienia Lewonowicze“, a ziemie ich z osobna; téż „Klim, Chwiedzko siedzą swém plemieniem“, a ziemie ich z osobna i t. d.

Te wszystkie plemiona pozostały na dawnych siedzibach, tylko ich ziemie polne wymierzono; bo co do wchodów, reformy tam żadnéj nie przedsiębrano i wszystko pozostało w dawnym stanie.

W siołach zreformowanych powstały role w trzech łanach, a w każdym z nich dworzyszcza po 11 mają morgów. W średniém polu na swéj włóce włościanie mają sobie już wyznaczone zagrody, inne sioła już się przeniosły: osady w jednéj ulicy, przez drogę gumna, za niemi, pola i sianożęcie, z tyłu sadyb ogrody do błót lub lasów przytykające. To już sioła nowożytne, z chutorów pierwotnych sztucznie wytworzone.

Włościanie, tworząc dowolnie spółki, dowolnie włóki wybierali i przyjmowali częścią „na robotę ciahłą“, częścią na czynsze. Nikt prawie z włościan nie podjął się prowadzenia rolnego gospodarstwa z zasiewami na całéj włóce w płodozmianie trzypolowym; zwyczajnie dwa tylko pola z włóki na jedno imię zapisano, a częstokroć i każde z trzech na inne imię starszego w plemieniu. Widocznie pozostali przy myśli prowadzenia gospodarki sposobem dawnym. Bydła roboczego, wołów i koni, na każdéj włóce po 6 do 15 głów; ale włościanie za nic jeszcze sobie ważą zbiory ziarna; chów bydła, leśna i rybna gospodar-

ka wszystkich ku sobie pociąga. Nawet mieszczanie i żydzi biorą po kilka włók, a włościanie poprzestają na dniach pola (morgach). Cenili tylko zaścianki—drobne kawałki, po za ścianami prostokątów rolnych pozostałe. Zaścianki w morgach, a nawet prętach chętnie rozbierali, a także uroczyska, byle tylko do lasów przypierały: gospodarkę ułatwiały leśną; ulegli jeszcze zupełnie odwiecznym gospodarowania nałogom, do gospodarstwa zbożowego mało skłonni, jakkolwiek ono w wieku XVI świetne dawało w Polsce zyski z handlu zagranicznego.

Przy urządzeniu sioła Kupietycz, pierwsza spółka włościańska, z pięciu rodzin złożona, z ośmiu starszymi, „przyjęła na ciahłéj służbie z jednego“ (wspólnie) włók 3 i wszystkich starszych zapisano, jako ojczyców, dziedziców nowego dworzyszcza.

Piąta z rzędu spółka przyjęła „z jednego“ tylko włókę jednę, lecz nie w równéj mierze: cztery rodziny z czterma starszymi trzecią część włóki, a piąta z dwoma starszymi dwie pozostałe części. Widocznie, pierwsi prowadzili gospodarkę leśną, a pole wzięli dla przysiéwku z roku na rok; piątéj zaś rodzinie wchody nie wystarczały: oddała się więc roli, lecz tylko w dwupolowym płodozmianie.

W siole Horodyszczu było jedno tylko dworzyszcze; wymierzono dlań ziemi rolnéj i sianożętnéj włók 8, m. 24, pr. 10½, pod sadybą zaś m. 10. Mieszkało na niéj 11 rodzin z 12 starszymi; zwyczajnie na dworzyszczu bywało po 6 do 10 chat w zagrodzie wspólnéj o wrotach jednych. Z ich ziemi można było wytworzyć 4 tylko całkowite włóki polowe; ostatek wymierzono po uroczyskach na zachodach i ostrowiach.

Rozbierając cztery włóki polowe, ojczyce horodyszczańscy wytworzyli cztery spółki: dwie rodziny z 2 starszymi wzięły włókę jednę, cztery rodziny z 5 starszymi włókę drugą, trzy rodziny z 3 starszymi włókę trzecią i 4 rodziny z 6 starszymi czwartą włókę. Chociaż liczba rodzin i starszych się powiększyła na włócznych gospodarstwach (13 rodzin i 16 starszych), nazwy familijne ojczyców pozostały te same; wnosimy stąd, że już przy podziale ziemi rolnéj ojczyce dworzyszcza uznali dwóch młodszych z ich rodzinami, równie téż dwóch innych nieżonatych, za równoprawnych sobie starszych i podali ich imiona do wpisania w rejestr mierczy. Ponieważ ziem tego dworzyszcza nie można było w jedno zebrać, sadyby ich nie dzielono; zastrzeżono tylko równe w niéj prawo starszych: „mają się na rówien podzielić“.

Rozbierając pozostałe cztery włóki, ci sami ojczyce inaczéj się grupują.

Pierwsza spółka z 2 starszymi pozostała niezmienioną i do swo-

jéj włóki w łanie przyjęła jeszcze drugą włókę po zachodach i ostrowach w 6 uroczyskach.

Trzecia spółka połączyła się z drugą, lecz z téj ostatniéj ubyło dwóch ojczyców a przybrany został nowy, o którym nie było dotychczas mowy, i razem wzięli wł. 1, m. 26, pr. 27 w 9 uroczyskach.

Z czwartéj spółki tylko czterech ojczyców ze swemi rodzinami, a nie pięciu, wzięli 6 uroczysk, wynoszących więcéj półtory włóki.

Nie będziemy daléj ciągnęli opisu gospodarstw włócznych. Te dwa typy siół Kupietycz i Horodyszcz, z kształtu przytém tylko między sobą się różniące—powtarzają się wszędzie. Wyjątki, jakie spotykamy, w niczém nie zmieniają istoty spółek ani praw ojczyców.

Ludność dworzyszcz, władnących wchodami, bardzo była znaczna, sama bowiem sobie wystarczyć musiała, własnym dorobkiem i wyrobami zaspokoić wszystkie swoje potrzeby. Podział pracy, możność wymiany plonów pierwotnie były nie znane, a wówczas to wytworzyły się zwyczaje i nałogi tej gospodarki, które i nadal trwały, przy zmienionych już w kraju stosunkach. Gdy jedne rodziny na dworzyszczu prowadziły gospodarkę łowiecką, drugie chowem bydła zajęte, inne rybactwem, pszczelnictwem, nakoniec rolą. Łowiectwo najracyonalniéj na wchodach urządzone było; łowcy chowali, nie zaś trzebili, jak dzisiejsi myśliwi, zwierzynę; do łowów nigdy strzały lub kuli nie używano, z wyjątkiem obław; tylko szkodliwe zwierzęta—niedźwiedzia, wilka, lisa—wolno było niszczyć o każdéj porze. W podobny sposób pielęgnowano ptactwo dzikie, ryby, węgorze; pszczelnictwo na wielką prowadzono skalę. Każdy rodzaj gospodarki zaprzątał wiele rąk, a jéj urozmaicenie dawało możność wymiany wewnętrznéj. Ludność każdego dworzyszcza dosięgała głów 30 do 50.

Lecz łączność plemienia wynikała z władania wchodem, nie zaś dworzyszczami, wchód łączył w jedno całą grupę dworzyszcz, bo do niego miały one swoje prawa, jakkolwiek rozsiane po kraju i rozdzielone późniejszemi obcemi sobie osadami. Do puszczy Widyboru, naprzykład, miało wstęp w wieku XVI jedenaście dworzyszcz starych, których łączność można wyśledzić z czasów Witołdowych. Ogół ich ludności mógł wynosić do tysiąca głów i do takich wymiarów w tym w. XVI doszły plemiona pojedyńcze. Jeślibyśmy zgrupowali prawa dworzyszcz pojedyńczych do wchodów i wykryli obszary pierwotnych wchodów, znaleźlibyśmy, iż cały powiat piński osiadło 8—9 plemion. Zapewne i te plemiona z rozpadnięcia się większych powstały, gdyż wchody podlegały działom, lecz już dawniejszych śladów faktycznych nie mamy.

### Prawa własności ziemskie pospolite.

Plemiona w ziemiach ruskich i na Litwie przetrwały faktycznie aż do r. 1816, jakkolwiek sporadycznie trwać miały do r. 1840—do ostatecznego praw polskich zniesienia. Lecz dawne ustawy zachowały moc swoją do roku wspomnianego tylko względem stanu szlacheckiego; stany nieuprzywilejowane, bezpośrednio po podziale trzecim, zostały prawom rosyjskim poddane. Nie wygłoszono tego publicznie, lecz wprowadzono nowe sądy ziemskie zamiast dawnych sądów grodzkich, — przyczém trwające i nadal sądy ziemiańskie przezwano powiatowemi — stopniowo rozciągnęły swą juryzdykcyę i prawa nad wszystkiemi stanami, z wyjątkiem szlacheckiego. Środkiem ku temu były trzy, szybko po sobie następujące popisy ludności (rewizye z 1799, 1811 i 1816).

Jeszcze za czasów tych rewizyi przyjmowały sądy do oblaty, ale już zrzadka i wyjątkowo, dokumenta własności włościańskiéj, w których plemię występowało jako podmiot własności ziemskiéj, w tém samém znaczeniu, jak za rzeczypospolitéj polskiéj, kiedy dokumenta podobne w sądach z równém prawem i równą siłą, jak ziemiańskie, przyjmowane bywały.

We wszystkich takich aktach kupna i zamiany główną zwracano uwagę na zabezpieczenie od wmieszania się osób trzecich, które zawsze mogły z prawa pospolitego swych pretensyi do wspólnéj własności dochodzić. Prawo ich polegało na tém, że za zwrotem ceny sprzedażnéj taki wspólny właściciel z prawa „pierwszeństwa“ mógł posiąść ziemię plemienia swojego, przez kogobądź z członków zbytą lub utraconą, i do pierwotnego władania przez plemię przywrócić, a na plemionach cały ustrój społeczeństw i państw zawisł. Zbywający przeto musiał naprzód uzyskać prawo do sprzedaży ziemi w obce ręce od wszystkich współwłaścicieli, co téż każdy akt stwierdza we wstępie, jako motyw do czynności prawnéj.

Ogólna forma tych aktów była następna. Mając grunt swój własny (dziedziczny, kupiony lub od dziedzica nadany), naradziwszy się z krewnymi i przyjaciółmi, ja, wraz z żoną i dziećmi, sprzedaję ten grunt, kwituję z otrzymanéj zapłaty nabywcę i oddalam od sprzedanego gruntu wszystkich, ktoby z prawa pospolitego, powszechnego mógł mieć pretensyę o powrót do posiadania gruntu tego (za zwrotem sprzedażnéj sumy pieniężnéj), jako to: siebie samego, żonę, dzieci moje, krewnych bliskich i dalekich, sąsiadów, przyjaciół i obcych ludzi;

lub: aby nie ważyli się nikt: ani ja i żona moja, i potomkowie moi i z krewnych przyjaciół moich bliskich i dalekich;... lub: nikt z moich środników ni z bliskich, ani dalnych, ani z innych ludzi... [1]).

Mamy więc tu wielki zastęp bezspornych współwłaścicieli do ziemi, która nigdy nie była w ich rzeczywistém władaniu, bo zawsze pozostawała dziedziczną w pewnéj rodzinie. Niekiedy akta sądowe łączą tych współwłaścicieli w grupy: ja, żona i dzieci, ród i plemię, a sprzedający podejmuje się, wraz z żoną i dziećmi, bronić wobec sądów nabywcę od nagabywań rodu i plemienia. Ród się dzielił na ród bliski i ród daleki, krewnych bliskich i dalszych; do plemienia zaś wliczano sąsiadów i przyjaciół, czyli przyjętych do plemienia ludzi postronnych i władnących ziemią zdawna (sąsiedzi), lub dopiéro osiadłych (przyjacioły), na koniec, ludzi obcych, t. j. już przyjętych do plemienia, lecz jeszcze nieosiadłych gospodarzy.

Cztery więc koła stanowią plemię: rodzina, ród bliski, ród dalszy i plemię. Ostatnie miano, jako najbardziéj rozciągliwe, posłużyło do objęcia całego zastępu współwłaścicieli ziemi (dworzyszcza ze wchodem lub bez wchodu). U Czechów w wieku XVI plemię znaném było pod imieniem „spolek“ albo „sstupek“.

Wszystkie ziemie, nie wyjęte z pod prawa pospolitego, powszechnego i nie nadane ziemianom przywilejami na służbę wojenną (a ostatnie, nawet w obrębie dóbr ziemiańskich stanowiły część czwartą — dwór i łany dworskie), przechodziły z rąk do rąk, od szlachcica do włościanina i mieszczanina, lub odwrotnie, na prawie pospolitém, zwaném téż powszechném, i tak trwało aż do zniesienia (r. 1816) prawa statutowego.

Mamy więc w plemieniu i jego władaniu obraz, nie z domysłu uczonego wyjęty, ale z rzeczywistości historycznéj i jurydycznéj opisany, a tak świéży jeszcze w pamięci ludu, tak przez tysiącoletnią dawność weń wpojony, że zamierzając wyrozumiéć jego dziwne—dla nas, współczesnéj inteligencyi — pojmowanie stosunków własnościowych, i prawnych, musimy poznać genezę prawa, które lud sam obmyślił, wyhodował i „wykochał“, jak się wyraża w swoich aktach sprzedaży.

Celem pochwycenia zarysów tego obrazu władania, zwróćmy się znowu do ziemi Pińskiéj, ku wiekom XIV—XVI, do owych lat, kiedy kultura nie przenikła jeszcze była do stosunków ziemskich, a włada-

---

[1]) Arch. Jugo-Zap. R. t. II, cz VI. Akta te opisują ziemie województw kijowskiego i bracławskiego, czyli Ukrainę z téj strony Dniepru od r. 1700 do r. 1799.

niem rządziły zwyczaje odwieczne i w istocie swéj i w kształcie nawet.

Mówić tu mamy i nadal tylko o włościanach nie dla tego, by te prawa były ich wyłącznym udziałem; owszem, były one istotnie powszechnemi, wszystkim stanom służącemi, zwyczajnemi, pospolitemi, bo prowadzącemi do władania ziemią i do pracy około niéj pospołu wszystkich obok siebie. Włościanie tylko najlepiéj je przechowali, bo im żaden więcéj z dwu innych typów praw ziemskich (ziemiański i pełnéj własności w miastach naradzający się) nie przysługiwał i starych pojęć ich prawnych nie gmatwał. Ziemianom czyli szlachcie prawo rycerskie wojennéj służby konnéj nadawano; treść jego polegała na zwalnianiu od służby wojennéj pieszéj, od naturalnych ciężarów i opłat podatkowych prawa pospolitego i słała drogę do honorowego chleba wysługi wojskowéj. W miastach naturalny rozwój prawa pełnéj własności przyspieszony został przez zaszczepienie o kilka wieków starszego w rozwoju prawa miejskiego niemieckiego (magdeburskiego, chełmińskiego, średzkiego i innych typów). Ziemianie i mieszczanie nigdy nie byli wyłączani z prawa pospolitego władania ziemią; w ich dziedzictwach tylko cząstka ziem była prawu im właściwemu, seperatywnemu, uprzywilejowanemu podległą, trzy czwarte zaś części gromadom ich poddanych służyły, czego strzegły tak sądy podkomorskie, jak ziemiańskie i grodzkie. Wzmiankowaliśmy już o tém po dwakroć i będziemy musieli jeszcze powracać do téj zasadniczéj podwaliny ustroju społecznego i państwowego, nie mogąc, jakby tego doniosłość przedmiotu wymagała, wydzielić osobnego dlań rozdziału.

Właścicieli, posiadających ziemię na prawie dziedzicznem, nazywano w prawie pospolitém dziedzicami, ojczycami, „*didyczami*, *otczycami*“. Trzy rodzaje widzimy ojczyców: jedni „dzierżą“, drudzy „trzymają“, trzeci „siedzą na swych ziemiach“. „Zasiedziały ojczyc“ stanowił czwarty i ostatni stopień praw, który się nabywał przez czterdziestoletnią dawność władania. Ustopniowanie to prawa miało znaczenie jedynie wewnątrz plemienia; na zewnątrz wszyscy ojczyce występowali, jako zupełni właściciele wspólnego dworzyszcza (i wchodu, jeśli go też mieli). W razie sprzedaży ziemi, wszyscy ojczyce „prawnie czynili“ t. j. przed prawem akt swéj woli stwierdzali; we wszystkich innych stosunkach zewnętrznych występował jeden ojczyc za całe plemię.

Sprzedaż na wieczne czasy ziemi — to wypadek w Pińszczyźnie wieku XVI bardzo jeszcze rzadki, gdyż można ją było uczynić tylko w chwili lub wkrótce po tém, gdy plemię dokonało działu swojego wchodu między pojedyńcze dworzyszcza, lub podzieliwszy i dworzysz-

cze, rozpłynęło się w rodzinach pojedyńczych. W lat kilka, kilkanaście po dokonanym dziale rodziny, połączą się plemiona mniejsze i większe; ku temu zniewalało je samo pojęcie własności ziemskiéj pospolitéj.

Nie wydzielona z plemiennego władania ziemia była „pienną“ (pod obroną „pieni sądowéj“ zostającą w razie dowolnego nią rozrządzenia). Bo na ziemi plemiennéj wielu osób prawa jednocześnie ciążyły; przyjść do zgody z całém plemieniem o kupno jego ziemi było niepodobna. Z drugiéj strony, trudno było upatrzéć chwilę sposobną do działu, kiedyby ziemia plemienna nie była „pienną“ wobec sądu i można było uzyskać dla działu lub sprzedaży „*list dozwolennyj*“ od starosty. Za jakąbądź winę (chociażby gardłową, kryminalną) kogobądź z członków plemienia sąd wkładał „areszt“ na całą ziemię i stawała się „pienną“. Tak téż radziła sobie i administracya w tych czasach naturalnéj gospodarki państwa: podatki skarbowe, ciężary naturalne, służba wojskowa — wszystko ciążyło na ziemi, i nie osoby, ale ziemia za wszelkie przewinienie odpowiadała.

Mamy „list kupczy“ z r. 1553. Osocznik (leśny) puszczy kryńskiéj sprzedaje wespół z innym plemieńcem, którego nazywa bratem, swą ziemię leśną; dostał ją był z działu „od plemienia swojego“, ale i kupcem jest téż plemionko małe z dwóch rodzin złożone:

„Ja, Stefan Omeljanowicz a Papej Andrejewicz Leskowiczi i z żonami naszemi, i z dziećmi naszemi przedaliśmy ziemię swoją bartnią, nikomu nie pienną, którą mamy w otdziele (z działu) od plemienia swojego... obel wiecznie (na wieki wieków)... Ochremowi Oleszkowiczu a Martinu Stencewiczu Knyszewiczom“ (Woł. p. 174).

Pospolitym sposobem dojścia do własności i powiększenia swych posiadłości było to dziedziczenie ziemi plemiennéj przez każdego z członków plemienia po każdym plemieńcu. Tu właśnie ustopniowanie praw ojczyców występowało: kto się nie zrzekł formalnie przed sądem swych praw dziedzicznych, mógł ziemię sprzedaną w obce ręce wykupić, zwracając wypłaconą zań sumę pieniężną, aż do zapadnięcia ziemskiéj dawności lat 30, według statutu wiślickiego, u innych Słowian lat 40. To „pierwszeństwo w prawie swém“, czyli „lepszość“, „bliższość prawa“ chroniła plemiona od rozpraszania się.

Starosta piński, kn. Fedor Iwanowicz Jarosławicz, rozsądził w r. 1536 sprawę o dworzyszcze Tornowskie między bojarzynem [1])

---

[1]) Bojarzyn albo bojar, był to pierwszy stopień wysługi szlacheckiéj, otrzymywany od miejscowych starostów i dzierżawców za jakąbądź posługę zamkową, jako zapłatę za pracę. Kołodziéj np., naprawiający koła stare i wozy, otrzymywał

Dmitrem Fedkowiczem a poddanym starosty, Seńkiem albo Steckiem Jackowiczem Wruczaninowiczem. Ostatni pozwał Dmitra o nieprawne władanie swe. Dmitr wywiódł prawo od teścia swojego, od którego mu w posagu za żoną to dworzyszcze T. przypadło, a prawo teścia udowodnił „listem kuplennym“ urzędownie dokonanéj sprzedaży dworzyszcza T. przez „djad'ków“ strony powodowéj. Seńko odparł: „Ja tego nie wiem jak djad'ki moi Wasku (teściowi bojarzyna Dmitra) przedali, ani ojciec mój tego nie wié: ja ku temu dworzyszczu bliski — ojcowizna i dziedzizna moja jest“, co téż jego świadkowie stwierdzili. Wówczas kniaź Fedor, „wyrozumiawszy to, że ten Seńko Jackowicz Wruczanin (*sic*) bliższy ku temu dworzyszczu a ojciec jego i on sam tego nie wiedzieli jak djadki jego (Stecko Wruczin z bratem swoim Andrejem) to dworzyszcze przedali, i my po blizkości tego Seńka Jackowicza oprawili i przypuściliśmy bliskością ku temu dworzyszczu T., ku jego ojcowiźnie. I ma on Dmitru ośm kop groszy szérokich (całą cenę kupna) oddać, a dworzyszcze swoje wziąć; a Dmitr ma u niego te ośm kop groszy wziąć“.

Ojczyc Seńko nie przeczył diad'kom prawa sprzedaży swojéj części własności we wspólném dworzyszczu, a przeto ta część dworzyszcza, którą oni od siebie sprzedali, pozostała przy Dmitrze, chodziło tylko o część na Seńka przypadającą. On żądał przywrócenia własnego prawa rozrządzenia w sprzedaży ojcowizny. Diad'ki działali prawnie w imieniu swoich dzieci, a „plemienników Seńka“, i ci naruszyć sprzedaży nie mogli.

W akcie tym prawo własnościowe linii oznaczono ilością kóp groszy litewskich. Korzystając z tego, możemy określić wzajemny stosunek linii plemienia we wspólnéj własności.

Cena sprzedażna dworzyszcza było 15—16 kóp. Diadki nie pozbawili swojego siostrzeńca jego praw własności; tylko oni ocenili swoje i jego prawa po kóp. 8. Z takiego ustosunkowania cen widzimy, że prawa na dworzyszczu linii prostéj i wszystkich pobocznych, razem wziętych są równe sobie.

---

w zapłacie część dworzyszcza lub ziemi kawał i stawał się bojarzynem zamkowym. Dalsza wysługa, aż do zupełnego szlachectwa, zależała już wprost od jego woli: po upływie lat 40 za „swoje zasługi na posłudze zamkowéj“, stawał się dziedzicem wieczystym ziemi i dostawał przywiléj wieczystości na dziedziczne szlachectwo (prywilej twerdosti). Hospodar nie mógł według prawa odmówić mu w tém swéj łaski, która wbrew brzmieniu wyrazu, była ściśle w granicach zwyczajów objawioną. Tym sposobem w gronie członków tegoż plemienia mieszały się stany: poddani i bojarowie zarówno je stanowili.

Dalszy ciąg tego aktu wskazuje nam, jak się dzieliły prawa własnościowe do dworzyszcza między ojcem a synem, między linią boczną starszą, czyli wstępną, a linią młodszą czyli zstępną.

Seńko na tymże sądzie prosił o pozwolenie sprzedaży dopiéro co odzyskanego dworzyszcza swoim siostrzeńcom, w imieniu których ich ojcowie pozbyli się „plemieńszczyzny“ (ziemi plemiennéj). Po otrzymaniu pozwolenia, zapisane znowu zostało dworzyszcze T. na siostrzeńców Seńka, tylko nie w równéj mierze, ale w stosunku do złożonych pieniędzy: „Jelenku połowina, a Mordwinu i Onacu, im dwiema, połowina“, przyczém ciż oddali za Seńka bojarzynowi jego kóp 8.

Prawa więc Seńka i jego diad'kow, działających za siebie i w imieniu siostrzeńców, oceniono na kóp 8; zatém z osobna, prawo diad'ków — linii wstępnéj, i prawa siostrzeńców — linii zstępnéj, jako sobie nawzajem równe, oceniono po kóp 4.

Na tych zasadach dokonywano działu dworzyszcz. Połowa w nich przypadała na pierwszą rodzinę osadną i na rodziny, od niéj pochodzące w prostéj linii; część czwarta na linią boczną wstępną, ktokolwiekby ją stanowił: jedna osoba lub cały szereg rodzin, i takąż część czwartą wydzielano linii bocznéj zstępnéj. Każda z linii czyli kolan zawierać mogła po kilka rodzin i takowe dzieliły się między sobą w równéj mierze, a następnie w łonie każdéj rodziny dział szedł na podstawie głównego podziału.

Stąd we wszystkich inwentarzach robocizny poddanych, do najpóźniejszych czasów prawa pospolitego, znajdujemy podziały dworzyszcz i włók na $1/2$, $1/4$, $1/8$, $1/16$, $1/32$, lecz części piątych, siódmych, dziewiątych, dziesiątych lub na inną miarę dowolną nie widzimy. Niekiedy występują „tretyny“ ($1/3$) i „szestyny“ ($1/6$); mogło to zachodzić wówczas, jeśli była nie jedna, lecz dwie rodziny osadne.

Rzadko się już w wieku XVI w ziemi pińskiéj zdarzało, by zakładano nowe dworzyszcze na nowinach, „na syrom koreni“; w aktach naszych znaleźliśmy tylko trzy takie wypadki.

Porządek rozdawnictwa ziem w powiecie dokładnie pomniki nasze opisują. Starosta wówczas tylko je rozdawał, gdy na zamek zjeżdżał rewizor lub dworzanin hospodarski; każdą ziemię czy dworzyszcze, dane ojczycowi na „służbę sylną“ (na czynsze) albo „tiahłą“ (na pańszczyznę, pociągową, ciągłą), dworzanin wpisywał do „regegestru“ (inwentarza) z opisem wszystkich na niéj ciężarów i lat słobody i takowy rejestr ziem służebnych składał u podskarbiego, a kopię przechowywano na zamku, w powiecie. Gdy omyłka zaszła w rozdawnictwie, a stąd sprawa sądowa, starosta tłómaczy się w swoim wyroku: „I ja pytał starców (sędziów we włości) i dziesiętników, jest

li żeby gdzie między wołościami (po wójtostwach, włościach) ziemia, która by pustująca była. Oni powiedzieli, iż jest ziemica pustująca w siole w Tupcziczach, na imię Hubowszczyzna; od trzydziestu lat zapuszczona i leży w pustie; służby, ani podaczek z niéj ku zamku hospodarskiemu żadnych nie ma... a ojczyce zwelisię“ (wymarli lub się rozproszyli na nowéj kolonizacyi. Wołow., 243 p.) Wówczas taką pustkę „zawodził“ we władanie nowe dworzanin i „uwiażczyj starosty“ (komornik).

Tak osiadał ojczyc. Raz puszczona mu „na urocie“ (czynszu), lub „na robotu“ (pańszczyznę) ziemia mogła być mu odjęta tylko z wyroku sądowego; stopniowo, w miarę wkładania w nią nakładu i pracy, własność jego w wartości i prawach do niéj wzrastała, aż po latach 40 stawał się ojczyc wieczystym właścicielem (zasiedziałym ojczycem).

Z powodu strat w niedobranych podatkach, jakie pustki, zalegające przez lat kilkadziesiąt, wyrządzały skarbowi, rozdawano je i przed upływem lat 40, zwłaszcza, gdy przewidywano, iż ojczyce do niéj nie powrócą; jednak przewidywania takie częstokroć zawodziły.

Starosta piński dał na czynszu pustkę bojarzynowi; lecz znaleźli się ojczyce téj ziemi, Pac z bratem Jakubowiczi i ty“, mówi do starosty bojarzyn Andrej Korenewicz z pięciu synami: „im otdalił odemnie tę ziemię, oddałeś im, jako to ojczycom na służbę ich silną, którą przodki z téj ziemi służywali“ (Woł. p. 243).

Podobnież i hospodar, gdy nie był pewny, czy ziemia za pustą podana przez starostę istotnie już nie ma swoich ojczyców, dodawał w nadaniach wieczystych przywilejów szlachcie: „A jeśli ojczyczi tych ziem przyjdą, a zechcą li jemu służyć i oni niechaj jeszcze służą“ (Woł. p. 194—195). Jeśliby zaś nie zechcieli pozostać pod panem prywatnym, to takich przeprowadzano do królewszczyzn, dając téjże wartości i miary ziemię i zwykłą na osiedlenie się słobodę od lat 3—5.

Bo zamiana ziemi wcale nie naruszała istoty prawa pospolitego, jak się to teraz rozumie w prawie pełnéj własności; wartość téj własności polegała na wydajności ziemi, nie zaś na jéj położeniu w danéj odległości od pewnego centru. Nawet kościoły, cerkwie, monastery i klasztory dziedzic mógł przenieść i konsystorz nie był w prawie mu tego odmówić, jeśli równéj wartości zapewnił grunta i nakład na przenosiny.

Tracił ojczyc ziemię swoją z prawa jedynie za zbrodnię, pociągającą za sobą karę śmierci, a więc faktyczną niemożność dalszego władania ziemią. Karę śmierci sąd starosty lub gromady (starców i kopy) bardzo często na winnych wyrzekał za proste nawet złodziejstwo,

a zwłaszcza, jeśli po raz drugi kradzieży winowajca się dopuścił; lecz równie często ułaskawienia same sądy mocą własną udzielały. Wszakże taki ułaskawiony już nie mógł władać ziemią i pozostawać równym innym swego plemienia człowiekiem, musiał on ziemię swą sprzedać.

Człowieka Jasuda Radunca, starosta osadził na „surowym korzeniu“: „odrąbał („rubież“ przeprowadził) puszczi Jasudu Raduncu. Dla tego Jasud tę ziemie dzierżał, a potém konie pokradł i w tém się obwiesił“ (i z tego—z obawy sądu i kary—się powiesił).

Ziemie takich ojczyców podlegały konfiskacie i przechodziły do rąk hospodara, który mógł się niemi rozrządzić natychmiast, nie czekając wyjścia dawności. Ziemianie bardzo się ubiegali o pozyskanie nadań na takie właśnie „pustki“ skonfiskowane, zanim ziemie spustoszały i zdziczały. Tracił jednak ojczyc i jego spadkobiercy gołe prawo własności, nie zaś wartość ziemi i pracy: spadkobiercy musieli ojcowiznę sprzedać. A więc i na hospodara przechodziło czasowo takież same gołe prawo rozrządzenia, nie zaś własność ziemi.

Żona Jasuda musiała sprzedać „swą ojczyznę“. Kupił ją klucznik hospodarski zamku horodeńskiego, Wasko Aleksandrowicz, za 10 kóp gr. lit., co dla tego nowoosadzonego dworzyszcza stanowiło całą jego wartość zamienną w prawie pospolitém, i pośpieszył uzyskać u hospodara „list twerdosti“, do którego wpisano treść wyroku sądowego, jako prawo hospodarskie do rozrządzenia tak pośpiesznego ojcowizną Jasuda.

Król Kazimierz w tym liście daléj mówi: „A została po nim (Jasudzie) żona i dzieci, a ojcowizna dej (jak mówią) tego Jasuda w Raduni i wżo (już) dej jemu (klucznikowi Waskowi) i dohowor był z Jasudową: miał jej dziesięć kóp groszy dać. Pro toż (z tego więc prawa) ninie tę ziemię, którą ten Jasud dzierżał, daliśmy Wasku, klucznikowi horodenskiemu ze wszystkiem tem, jak ów Jasud dzierżał, a on dziesięć kóp groszy ma dać tej Jasudowej. A które pola, czy sianożęci okaże się, że Jasudowa poprzedawała, ma ona wykupić temi pieniędzmi, a wykupiwszy wszystko, niech dej (niech że) idzie ona ze swemi dziećmi na ojcowiznę tego Jasuda w Raduniu“ (Woł. 173).

Widoczne więc, że nawet w drodze konfiskaty, ojczyce tracili tylko prawa do świeżo dorobionych i nabytych dóbr; ojcowizna zaś plemienna nie podlegała odpowiedzialności przez konfiskatę, i oddalając się na nowe osady, ojczyc nie tracił w niéj do lat 40 prawa swego.

Ten akt dokładnie téż zakreśla wzajemny stosunek praw hospodara i ojczyca do ziemi ostatniego.

Jasud zaledwie osiadł na ojcowiźnie (jak przez zrównanie prawa własności dziedzicznych do dorobionych ostatnie téż nazywano) i tak

jeszcze mało w nią włożył pracy i nakładu, że zaledwie sianożęciami i polami włada, a wchodów i barci wcale nie ma, jednakże prawo własności przysługuje mu w całym jego zakresie. Główna zbrodnia w prawie pospolitém— kradzież, karana śmiercią, pozbawia praw obywatelstwa i usuwa od władania ziemią, lecz nie wydziéra istoty własności— wartości mienia. Prawa Jasuda najmłodsze z rzędu praw ojczycowi przysługujących: on tylko „dzierży“ swą ziemię; dla tego prawa jego tanio się oceniają na kóp 10; lecz jest on zupełnym, samodzielnym właścicielem, tak swojéj nowéj, dorobionéj ojcowizny, jako téż dziedzicznéj, plemiennéj. Prawo to z niego samego płynie, z jego pracy.

Zapisy na fundusz cerkiewny części ziem plemiennych były powszechne we zwyczaju plemion. Włościanie sami zakładali cerkwie po siołach, uposażając plebana włóką, a diakona półwłóką. Miewały cerkwie po 100 desiatyn (Drużyłowicze, sioło); bywały téż i o mniejszém od włóki uposażeniu. Każde dworzyszcze cząstkę swéj ziemi wydzielało, składając się na ten fundusz: „Ziemia popowska przy siole Stare Konie, która jest nadania wszystkich dworzyszcz od poddanych J. K. M. na cerkiew“ (Chwalcz. 208). I w takich wypadkach rewizorowie nie wzmiankują o pozwoleniu uprzedniém od hospodara, chociaż o wielu nadaniach zapisano uzyskane już potwierdzenie. Poczynali tu sobie włościanie tak samo, jak szlachta z dobrami dorobionemi, jakkolwiek inne dobra, nadawane szlachcie na służbę, podlegały ścisłéj kontroli króla a potém sejmu.

Działy wchodów na innych, niż dworzyszcza, podstawach się odbywały. Dzielono je na równe, a nie równomierne części, lecz nie między osoby lub rodziny pojedyńcze, jeno między całe dworzyszcza.

Wszystkie dworzyszcza, którym prawo wchodu przysługiwało, przedsiębrały w równéj mierze i gromadnie, „z jednego“, roboty w nim i ciężary: utrzymanie „straży na stanowiszczach“ koło jeziór i rzek przez rok cały, a zwłaszcza zimą, by nie wyławiano ryb bezprawnie, połów ryb niewodem, utrzymywanie „hati rybnych“ i jazów, rowków na węgorze i innych licznych robót, jakich wymaga gospodarstwo rybne, na którém się w zupełności znali, nastawianie różnego rodzaju sieci i połów zwierząt i ptaków dzikich, doły, „pokołodki“ i inne przyrządy w łowach, do których łuku, a témbardziéj strzelby uważali za zbrodnię używać, chyba czasu obławy na grubego zwierza, straż i wyrób barci, opatrywanie rojów, podział i przerób w łaźniach wosku i miodów — koszenie siana i robienie zapasów onego na zimę dla licznych stad bydła, zbieranie owoców leśnych, zwłaszcza dla przezimowania i hodowli świń, których chów i sprzedaż dawały dochody, na równi z woskiem i miodem doniosłe, i stanowiły ważny przedmiot han-

dlu międzynarodowego — straż i rozwój sadów — te i inne wieloliczne prace w puszczach przedsiębrano gromadnie i w czasach oznaczonych, by pomoc nawzajem znaleźć i kontrolę mieć nad współuczestnikami zupełną.

Do takich robót i ciężarów każde dworzyszcze, mając liczną osadę, było w stanie dać zawsze jednakowéj wartości robotnika lub strażnika i zachować przeto równe dla siebie prawo udziału. Pod parciem tak wielkiego przedsiębiorstwa, jak kultura wchodu plemiennego, pojedyńcze rodziny i osoby zniewolone były skupiać się i zléwać ze sobą na dworzyszczach, tworząc drobne plemionka, a te się jednoczą w całość społeczną, jako cząstki wielkiego, w szeregu lat i wieków na własnym wchodzie wyrosłego plemienia.

Rzecz jasna, że w takim wchodzie, rozważanym nawet ze ściśle tylko gospodarczego stanowiska, musiało się znaleźć miejsce naraz dla kniazia i ziemianina, jak dla mieszczanina i człowieka. Lecz w wieku XVI stany uprzywilejowane wyraźnie już dążyły do zapanowania nad nieuprzywilejowanym; stąd ojczyce usiłowali wyprzéć je ze wchodów, lub dopuszczać tylko ich poddanych, co zwykle, na mocy nadań, panom tylko przysługiwało.

Takie pomieszanie stanów wykazuje nam dział wchodu Borku, zapisany pod rokiem 1513 (Woł. 232). Wykazał on pięciu współwłaścicieli, a między nimi kniaź nawpółudzielny z rodu Ruryka (który „polecił się hospodarowi“ medyatyzowany), a zarazem starosta piński, Fedor Iwanowicz Jarosławicz, mieszczanin Kopeć, wójt piński i trzy plemiona bojarów drobnych: Domanowicze, Krasowscy i Iwanowicze.

Inicyatorem działu był kniaź Fedor: chodziło mu o powiększenie łanów swego „dworca“ (folwarku) Statyczowskiego), o włók kilka, które mógł wykarczować z pod lasu, gdy mu ten przez plemieńców przyznany zostanie na własność prywatną.

Podzieliwszy Borek na kilkanaście dzielnic (*dielenic*), odstąpił plemieńcom prawo do wszystkich drzew bartnych nawet w swojéj dzielnicy, bo odtąd zamierzył wyłącznie zbożową prowadzić gospodarkę; co na owe czasy prawdziwym było postępem. Mówi więc w akcie dzielczym w charakterze sędziego polubownego: „Wzięliśmy (rozumie się, za zgodą wspólną) u bojar naszych... ich dzielnicę w Borku i znaleźliśmy (ją przydatną) na paszniu ku naszemu dworowi Statyczowskiemu, a za (tę) dzielnicę daliśmy im naszéj ziemi w zamian“... „wolno im wszystkim na tych naszych dzielnicach korzystać z drzewa bartnego, a dla mnie, kniazia, na tych dzielnicach w Borku drzewa bartnego nie ma; tylko nam na tych dzielnicach ziemia orna“... „a w sianożęciach i w hatkach ich dzielnicy nie zamienili: mnie kniaziowi,

w sianożęciach i w hatciech dzielnica, a Domanowiczy dzielnica, a wójtowi Koptiu dzielnica-ż, a Krasowskim dzielnica także, w tej hrani Borku“.

Mamy więc jasny dowód, że i kniaź-starosta, występujący tu na równych z hospodarem prawach, włada tém tylko, do czego się sam własnym nakładem i ludźmi dorobił: pojedyńczém drzewem bartném, rowkiem na węgorze, uroczyskiem sianożętném; w całym zaś ostatku wchodu używalność darów przyrody wspólna i przez nikogo nie ograniczona — tyle bydła wypasa każdy w granicach plemiennego wchodu, ile go ma, tyle z paliwa i budulcu korzysta, ile sam dla siebie (lecz nie na sprzedaż) potrzebuje i t. d.

Nie będziemy mnożyli przykładów; znaleźć je można we wskazanych zbiorach Wołowicza, Chwalczewskiego, Wojny w ilości dowolnéj; i w podanych opisach już jasno występuje obraz władania pospolitego. Władają plemiona spólnie ziemią, lecz spółki ich wiąże nie interes krwi, pochodzenia, sankcyi władzy najwyższéj, lub granic terytoryum, lecz zysków ze spólnéj pracy i spólnego prawa — podstawa ekonomiczno-prawna. Każdy kawał ziemi uprawiany jest przez pojedyńcze rodziny, osoby, lub przez rodziny w grupy dowolne połączone, czego częstokroć gospodarstwo wiejskie wymaga; wszyscy jednak pracownicy stanowią całość — plemię, na swojéj ziemi wyrosłe. Opierając się i wyrastając z prawa prywatnego, spółki te się zlewają w tak orgaczną, ścisłą całość w plemieniu, że dorównywają najzupełniejszéj jedności. Tu osoba nie zgwałcona, a pomimo to, ogół nie traci ani jednéj z tętnic jedności.

Tak występuje społeczeństwo w jego istocie, dopóki żyje prawo pospolite. Od naszego prawa pełnéj własności w trzech głównie przymiotach swych znamiennie się ostatnie odróżnia: w pojęciu źródła prawa własności, w pojęciu dawności władania, i te obie zasady wyrozumowuje zupełnie inaczéj, niż teraz je bierzemy; trzeci zaś przymiot prawa pospolitego teraźniejsze prawo pełnéj własności całkiem już zatraciło, — nazywamy go rozdzielnością prawa władania.

Jest to ta mianowicie właściwość, iż w obrębie jednych i tych samych granic może być kilku zupełnych w prawie swém i zupełnie sobie nawzajem równych współwłaścicieli, z których każdy niezależnie od innych włada, rozrządza i używa sobie właściwego dochodu. Na jednym dniu pola jeden lub kilku nawet, każdy z osobna, władają pewną drzew bartnych ilością, inny sianożęcią lub niwą, inny prawem pierwszego polowania lub połowu ptaków, ryb, węgorzy i t. p. Jak podzielona powierzchnia, tak téż i wnętrze ziemi, pod względem dobywania żelaza, gliny fabrycznéj (marglu), lecz nie zwyczajnéj, która

wszystkim służyła, gliny garncarskiéj i t. p. Każdy dar przyrody, użyźniony kulturą człowieka, stawał się jego prywatną, wieczystą własnością. Ziemia, jako rzecz znika z oczu, a raczéj, myśl ta nikomu nie powstała w głowie; nikt nie zasadzał swéj wolności obywatelskiéj i szczęścia na rządzeniu ziemią i władaniu, jak rzeczami.

Każdy z osobna, rozdzielnie dorabiając się kulturą na wspólnéj dla wszystkich ziemi i wodzie, wspólnie do wszechstronnéj ją doprowadza uprawy. Co nie jest dotkniętém kulturą, jest niczyją własnością prywatną, a dla dowolnéj wszystkich używalności pozostawioną pod dozorem plemienia. Ziemia, woda—to nie rzeczy, ale dary przyrody, płodne tylko we wspólnéj z człowiekiem pracy. Praca więc jest jedyném źródłem własności, — praca rzeczywista, płodna, użyźniająca ziemię. Dlatego téż nie znało prawo pospolite władania zaocznego: kto, opuściwszy pracę koło ziemi, chciałby ją jednak miéć za sobą, by władanie na całe rozszerzyć włości, nie dopinał zamiaru. Kto nie uprawia, nie haruje na swéj ziemi, powolnie, lecz bezpowrotnie rok rocznie utraca cząstkę praw do niéj, a po upływie lat czterdziestu do najdonioślejszych na nią nakładów (młynów, stawów, grobel) rościć już żadnego prawa nie może. Témbardziéj przez dawność władania nikt żadnego prawa własności nie nabywa: źle, nieprawnie poczęte musi pozostać wieczyście bezprawném, bez względu na wszelakie przywileje, sankcye, autorytety. Jakkolwiekby długo władał ziemią zajętą, jeśli osiadł nieprawnie, na cudzéj ziemi, z wiedzą czy bez wiedzy władzy, mógł być zawsze usunięty. Dawność w prawie rozumiano jedynie jako przedawnienie prawa swego (*praescriptio juris*); dawność téż była probierzem prawa pracy, wzmacniała prawność czy prawowitość jéj władania, lecz sama nie mogła posłużyć za źródło do żadnego prawa. Ponieważ ziemie uprawne ponosiły wszystkie ciężary publiczne, opuszczone dworzyszcze (pustkę), lub wchód (ziemię), starosta w imieniu króla-hospodara mógł czasowo na czynsze (uroki) puścić, które tak były niskie, że tylko normie podatków publicznych dorównywały. Mógł nawet na służbę dać wojenną, lecz tylko za „listem do łaski,“ t. j. pod warunkiem, że jego wieczyście pozostanie wtedy, jeśli upłynie lat czterdzieści w spokojném ziemi nadanéj dzierżeniu; bo i król musiał ustąpić, gdyby ojczyc „wyiskałsja“ i o swą ziemię upomniał. Takie rozrządzenie pustką nie ubliżało prawu własności nieobecnego właściciela; tracił on prawo dopiéro wówczas, gdy ziemia rzeczywiście zdziczała i ślady wszelkie kultury znikły. Czas, w którym taka dawność kulturalna zapadała, dla rozmaitych rodzajów własności (roli, chaty, sadu, stawu, grobli, młyna i t. p.) był różny, ale najwyższy dosięgał lat 40.

Nie będziemy tu szczegółowo rozwijać tych treściwie naszkicowanych rysów władania pospolitego. Roztaczają one obraz organicznie pomyślanego systemu prawa ziemskiego, polegającego jedynie na zwyczajach, w małéj tylko cząstce spisanych (statut Wiślicki). Organizmy państw i społeczeństw, żyjących w prawie zwyczajowém, tak już są dla nas niezrozumiałe, że zakraść się może powątpiewanie co do trwałości i powagi tego władania. Wątpliwości podobne opuszczą nas, jeśli poznamy organizacyę sądu ziemi każdéj, najzupełniéj od najwyższéj władzy niezależnego, samoistnego, pod którego obroną owe prawa i zwyczaje wyrastały i trwały.

Nasze akta dają nam najzupełniejszą możność poznania działalności i zwyczajów takiego sądu ziemi Pińskiéj. Wybieramy ośm aktów, ściągających się do jednego tylko dziedzictwa ziemiańskiego. Powstało ono w wieku XVI-ym przez wydział z prawa pospolitego, na mocy przywileju królewskiego, pewnych ziem na służbę rycerską, wojenną. Zatargi o granicę wywołały kilka spraw sądowych, gdzie wzajemny stosunek władania szlacheckiego i pospolitego i praw ich występuje, dając możność wyrozumienia treści każdego. Szlachta stanowiła grono ludzi w powiecie, pozostających pod szczególną opieką tronu, która i w sądzie występowała. Pomimo to sąd pozostał najzupełniéj niezależnym.

Do sądu ziemskiego należały w tym czasie nietylko spory o własność ziemską na prawie pospolitém wszystkich stanów, ale téż wszystkie z niéj wypływające prawa, lub odległy tylko stosunek mające: o poddanych i ludziach wolnych, o ich powinnościach i władaniu i t. d. Pod względem zaś obszarów dworskich i źródła prawa władania niemi, płynących z nadania na służbę wojenną, ziemianie pozostawali „w przysądzie“ hospodara i opieki jego w sądzie używali. Wyrażała się ona w tém, że niekiedy jego dworzanin brał udział w sądowéj komisyi, czyli w składzie sędziów, przewodniczących sądowi ziemskiemu. Zwyczajnie zaś ziemianin z własnego wyboru „osadzał“ w sądzie jednego z ziemian powiatu; od imienia nie-ziemian starosta lub jego namiestnik, przewodniczący z prawa sądowi, powoływał również jednego z ziemian miejscowych. W ten sposób kolegium sędziów, przewodniczących sądowi, składało się z trzech osób, a nawet z 4 i 5, jeśli stron w sprawie było więcéj, niż dwie.

Lecz na tém tylko się ograniczała kontrola hospodarska w sądzie; istotę jego w sprawach o własność ziemską stanowił wyrok, oparty na orzeczeniu sędziów przysięgłych, który, rozumié się, był ostateczny i ponownemu przesądzaniu w drodze odwołania się do tronu i rady hospodarskiéj nie ulegał. Gdy sprzeczne zwyczaje miej-

scowe wywoływały wątpliwości, namiestnik zawieszał wyrok i „zdawał na rozsądek starosty“, lub starosta—„na rozsądek hospodara“; po téj przerwie, sąd się wznawiał ściśle od tego punktu w sprawie, na którym się przedtém zatrzymano, i przy udziale tychże sędziów i przysięgłych. O wypadkach kasacyi żadnych nie mamy śladów; lecz niekiedy hospodarowie „potwierdzali“ wyroki ziemskie, zupełnie przypadkowo, przy wznowieniu nadań ziemiańskich, co właściwie miało na celu to, aby i te ziemie sporne, które sąd ziemski z pod prawa pospolitego wyjął i przyznał na dziedzictwo ziemianinowi, uznać za istotnie uprzywilejowane, za wyłączone z pospólności. Takie potwierdzenia następowały w lat 40, 60, a nawet 200 i 300 po wyroku, w razie wyjmowania go z ksiąg dla nowéj sprawy sądowéj.

W końcu wieku XV-go ziemianka pińska, Swetochna, żona Petryszewicza, następnie Szczepy, otrzymała siedm dworzyszcz w trzech siołach, jako wysługę za swą służbę w charakterze panny dworskiéj („panna z sienej naszych“) u starosty pińskiego, księcia Fedora Iwanowicza Jarosławicza. Lecz wkrótce zaniosła skargę o to, iż jéj nie wszystko przez komornika wydzielone zostało według nadania, gdyż niektóremi ziemiami zawładnęli poddani hospodarscy, gdy dworzyszcza pustowały.

Naznaczono więc sąd i starosta z sędziami, stronami i ich świadkami zjechał na ziemię sporną, gdyż sąd zawsze się na miejscu odbywał. Sędziowie występują zupełnie w charakterze biernym sędziów polubownych; zjechawszy na ziemię, mówi starosta, przystąpiłem według żądania Swetochny do podziału ziemi na równe dworzyszcza, lecz w czynności swéj sądowéj zostałem zaraz wstrzymany przez protest strony pozwanéj: „My, miłościwy hospodarze, nie na Swetochnę te ziemie uprawiali, ale na siebie“, mówili włościanie: „a tak daj, wasza miłość, dąbrowy (t. j. nowiny) naprzeciwko tych pól naszych starych: niechaj ona także sobie rozrabia.“

Starosta posłyszawszy, iż tu są wyrobione już przez włościan pola, a przytém dawno („staryje pola“) nie uznał się władnym zawieść je we władanie na równi z nowinami i pustkami; uznał prawo, na które się włościanie powołali, za lepsze od prawa Swetochny, z nadania płynącego, i rozstrzygnął sprawę zgodnie z żądaniami włościan. W zamian roli zdawna przez się uprawianéj, włościanie wskazali na nowinę i starosta, obejrzawszy ją i uznawszy za przydatną do uprawy, zawiódł takową we władanie Swetochny. Jeśliby starosta uznał, iż rozrabianie nowin spustoszałego dworzyszcza włościanie nieprawnie rozpoczęli, mógł na nich włożyć grzywny za to; lecz zdobytych pracą niw nie odejmowano.

Po upływie lat trzech Swetochna znowu się zwróciła do tegoż starosty ze skargą, prosząc, by jéj jeszcze wydzielił dwa ostrowia (uroczyska leśne), ponieważ ona znajduje, że wydzielone jéj ziemie jeszcze nie tworzą równych z włościańskiemi dworzyszcz: „za dział równyj nie stojat́.“ Prośba została uwzględnioną, lecz znowu w części tylko, gdyż znowu się pokazało, iż i w téj pustce już „prorobliwali pola“ nietylko ludzie Swetochny, w których interesie ona występowała, lecz téż innych ziemian, a także poddani hospodarscy. Starosta wzbronił dalszy wyrób téj pustki, a pozostające nowiny zawiódł Swetochnie; rozrobione zaś nowiny pozostały przy tych, którzy je wyrobili.

Widzimy stąd najprzód, iż prawo pospolite — to instytucya zupełnie samoistna; sama ona siebie broni i sobie wystarcza: przeciw pretensyom Swetochny, opartym na przywileju władzy najwyższéj (przywiléj jéj został przez Zygmunta Augusta potwierdzony), włościanie powołują się na fakt własnéj pracy i to zupełnie sądowi wystarczało.

Istota nadania na służbę polegała na rozdziale prawa wyrobu nowin między dworzyszczami, które odchodziły na rzecz ziemianina, a temi, jakie za hospodarem pozostały. Za wymiar służył fakt nakładu pracy i pieniędzy: to, co było już wyrobione przez ziemiańskich lub hospodarskich ziemian, zostawało przy nich; jeśli wyrób się rozpoczął bezprawnie, bez opłaty kunicy wchodnéj (12 gr. lit., czyli wartości 2½ korcy żyta), to nadużycie takie karano grzywnami sowitemi, t. j. podwójną ceną kunicy; lecz ziemia pracą nabyta konfiskacie nie podlegała: praca nad uprawą ziemi sama przez się była źródłem własności.

Lecz ani ziemianin, ani jego włościanie, odgraniczeni obrębem (rubieżą) od innych właścicieli—panów, ziemian, duchownych i hospodara—nie tracili prawa pospolitego wyrabiania nowin w ziemiach tak państwowych, jako téż ziemiańskich, za opłatą takiéjże kunicy; bo przywiléj ziemiański polegał nie na ograniczeniu, lecz na pomnożeniu zysków z prawa. Stąd pochodziło tak często znane podwójne, potrójne poddaństwo włościan u dziedziców sąsiednich i hospodara, a na granicach państw podwójne poddaństwo ziemian i włościan państwowych u sąsiednich rządów.

Przy nadzwyczajném rozdrobnieniu pierwotném ziem, w jakiém każda własność pozostawała, spory o własność ziemską bardzo często się wszczynały. Były one dwóch rodzajów: o prawo własności ziem leśnych lub o własności ziem rolnych; różnica polegała na sposobie przebiegu sądowego sprawy.

Starożytna własność ziemska rozpoczęła się w lasach; władanie też lasami jest lepiéj uporządkowane, niż ziemią rolną. Przedmiot władania stanowiły sosny bartne i sianożęcie. Spory o ziemie leśne rozstrzygał sądowy przegląd dowodów rzeczowych, ponieważ sosny bartne miały na sobie „znamiona“ swych właścicieli, które starzec włości urzędownie zarębywał dla każdego z osobna dworzyszcza, a nawet właściciela.

Lecz i w sporze tak niezłożonym sąd składało osób 12. Na sądzie, który rozstrzygnął spór człowieka Swetochny z poddanymi hospodarskimi o ostrów Głuchow, przewodniczącym w sądzie był dworzanin starosty pińskiego, ze strony Swetochny jéj namiestnik (ekonom, rządca), którego ona z obowiązku dziedziczki, broniąc sprawy swego poddanego, „osadziła z ręki swojéj“, dwóch urzędników z włości: dziesiętnik i starzec, pięciu włościan z czterech siół okolicznych, graniczących ze wszech stron ze sporną ziemią i nakoniec z dwóch przedstawicieli stron, pozywający i pozwany, przez swoje plemiona wybrani. Sąd w całym składzie obszedł wszystkie 120 drzew spornych i przyznał znamionom Onyśka, poddanego Swetochny, oznaki większéj dawności, niż jego przeciwnika, który na tychże drzewach i swoje zarąbał znaki; zasądził więc sprawę na jego korzyść, a przeciwną stronę skazał na grzywnę; starcowi zaś, w sądzie obecnemu, nakazał „wytiohat' znamena nowyje.“

Daleko uroczyściéj odbywał się sąd o ziemię rolną, gdzie takich zewnętrznych oznak, jak znamiona, być nie mogło. Spór o własność ziemską rozstrzygała przysięga świadków.

Swetochna przez czas długi prowadziła sprawę z Szemetowiczami, poddanymi dwóch siół hospodarskich, Hutowa i Woroczewicz, o ostrów Woin. I tu Swetochna występowała, jako obrońca z urzędu w sądzie swych sielan. Namiestnik starosty sprawę sądził, jak zwykle, na ziemi spornéj. Każda ze stron oprowadziła sędziów i świadków po granicach, o uznanie których jéj chodziło, i „wyzywałysja podtwertyty“ dowody składane przysięgą swych świadków, wystawiwszy takawych po 18 (z każdéj strony). Sąd, wziąwszy na uwagę „statut hospodarskich praw pisanych“ [1]), który nakazywał, jak twierdzi wyrok, sielanom hospodarskim dawać pierwszeństwo ku zaprzysiężeniu swych dowodów przed poddanymi dziedziców (rozumié się, przy równości dowodów), nakazał Swetochnie, aby wybrała sześciu świadków

---

[1]) Tu się rozumié statut Litewski z r. 1529 (rzecz się działa w r. 1545). Lecz w nim nie ma podobnie orzekającego artykułu; wyrok więc z r. 1545 powołuje się właściwie na prawo zwyczajowe nie zapisane, które zgodném jest z duchem statutu rzeczonego.

z liczby 18 wystawionych przez stronę przeciwną i dopuścił ich, jednego po drugim, ku publicznemu wypowiedzeniu zdania swojego o sprawie, któreby każdy miał natychmiast publiczną stwierdzić przysięgą.

Zwyczajnie bywało, iż zaledwie w téj ostatniéj chwili sądu prawda na jaw występowała. Istotę sądu stanowi najzupełniejsza jego jawność, ziemskość. To był iście sąd ziemi, sąd miejscowy, pod kontrolą ludzi miejscowych, ziemskich. Strony i świadkowie uczestniczyli we wszystkich czynnościach sądu, na równi z sędziami, których zadaniem było przygotowanie świadków (mających przysięgać) do wszechstronnego rzeczy wyrozumienia i do orzeczenia w sprawie z głębokiego przekonania: wszyscy razem objeżdżali miedze czy granice, słuchali dowodów stron obu za i przeciw, uwag o nich licznych rzeczoznawców i sędziów samych. Świadkowie następnie roztrząsali dowody zebrane nietylko w gronie własném—a było ich po 36, 54 i 72, t. j. po 18 z każdéj uczestniczącéj w sporze strony,—lecz też ze swoimi plemieńcami, ludźmi okolicznymi i znajomymi, ponieważ to był stotnie sąd publiczny i ściągał okolicę całą, a było we zwyczaju plemion „na sud pomocz'ju chodit',“ i, nakoniec, publiczne o sprawie zdanie z całą świadomością i dokładnością się wyrabiało. Przez usta przysięgłych tylko się wypowiadało zdanie publiczne.

Gdy tak kierujący sądem sędziowie przygotowali świadków, mających wyrok orzec pod przysięgą, uciekano się jeszcze do najważniejszego dowolności ograniczenia, które polegało na usunięciu przez stronę 12 osób z pomiędzy 18-tu świadków strony przeciwnéj. Sędziowie orzekali, wedle swojego uznania, która ze stron więcéj ma słuszności: „kto bliższyj k dowodu“, t. j. przysiędze, i ta przysięgała. Strona druga, czyli do przysięgi niedopuszczona, wybiérała dowolnie sześciu z 18 świadków swojéj przeciwniczki, usuwała zatém dwie trzecie części najpoważniejszych świadków. Pozostali sześciu wypowiadali wówczas publicznie jeden po drugim zdanie swoje i jeśli wszyscy ku jednemu przyszli mniemaniu, wówczas tych sześciu świadków wraz z przedstawicielem swéj strony publiczną składali przysięgę. Jeśli zaś chociażby jeden z sześciu świadków niezgodne wyraził zdanie, lub sprawy nie chciał podtrzymać, szła ona na upad. „To, na co świadki przysięgali“, istotnie stawało się ich ostatniém zdaniem, a zarazem opinią publiczną. Nigdy i w żadnym wypadku nie żądano od świadków i sędziów przysięgi, naprzód przed sprawy przebiegiem „mówić wedle sumienia prawdę o tém wszystkiém, o co go sąd zapyta“; świadek nigdy własnego o sprawie sądu się nie zrzekał i mógł zawsze zamilczyć, od sprawy odstąpić, jeśli nie mógł wedle przekona-

nia świadczyć. Sąd był ostateczny i, jak wzmiankowaliśmy, zniesieniu (kasacyi) nie ulegał, bo i jakaż tu możebna kasacya?...

Do przysięgi w danym wypadku nie doszło, bo strony przyszły do zgody i zażądały, aby starosta sprawę zakończył polubownie. Tak się zwyczajnie spory sądowe kończyły. Lecz starosta wkrótce umarł i sprawy nie dokończył; trzeba było znowu uzyskać od hospodara „list komisyjnyj“ do nowego starosty, by sąd wznowił i dokończył. Ponowny zjazd sądu na spornéj ziemi. Sprawę namiestnik starosty formalnym (a nie polubownym) sądem chciał dokończyć i powołał owych sześciu świadków, na pierwszym sądzie już przez stronę wybranych, by stanęli i przysięgę złożyli. Pokazało się jednak, iż dwóch z owych sześciu wybranych już umarło, „skutkiem czego mieliby ci poddani hospodarscy prawo swoje stracić“, mówi namiestnik. Zapobiegając temu, namiestnik powołał Swetochnę, by dwóch nowych wybrała świadków. Swetochna przystała; lecz znowu do przysięgi strona przeciwna nie dopuściła i zakończono sprawę polubownie.

W końcu wieku XVI-go sądownictwo o własność ziemską wydzielone zostało z sądu starosty i ten ostatni w uszczuplonéj swéj jurysdykcyi wytworzył sąd grodzki. Sprawy zaś o własność ziemską oddano dwom sądom: spory o prawa, wypływające z władania pospolitego, sądził sąd pokomorski; spory zaś o prawa z władania ziemiańskiego, uprzywilejowanego—sąd ziemski. Tak trwało do r. 1816-go, a w Kongresówce do r. 1807-go, gdy kodeks Napoleona zapanował.

Wątpliwości więc nie ulega, iż w całéj sile niezależny samoistny sąd ziemski, historycznie w ziemiach wyrosły, był w stanie dać całkowitą obronę własności ziemskiéj, pospolitéj a powszechnéj, a więc takowa miała za sobą istotne bezwzględne prawo władania, rozrządzania i użytkowania.

*Stanisław Dybowski.*





# FRANCYA PRZEDHISTORYCZNA.

(Dokończenie).

III.

Czasy czwartorzędowe przechodzą powoli w tegoczesne stosunki geologiczne. Klimat z suchego a chłodnego i z krańcowemi przejściami rocznemi zamienia się na wilgotniejszy i łagodniejszy. W początkach naszéj epoki był nawet łagodniejszy niż w chwili dzisiejszéj. Mamut i późniéj renifer znikają z powierzchni Francyi przedhistorycznéj; zwierzęta właściwe okresowi czwartorzędowemu już zupełnie giną, to znowu uciekają w krainy alpejskie lub udają się do dalekich a odpowiedniejszych okolic. Wahania w ukształtowaniu klimatycznem będą już nieznaczne i polegające to na mniejszém to znowu na większym zwilgotnieniu powietrza. Sądząc z powolnéj ewolucyi geologiczno-klimatycznéj, niepodobna przewidywać téż ku schyłkowi czasów czwartorzędowych żadnéj nagłéj zmiany w innych stosunkach. A tymczasem dzieje przedhistoryczne roztaczają przed nami zupełnie odmienny a niespodziewany widok. Kiedy rozwój w kulturze technicznéj kolejnych okresów paleolitycznych podąża zwolna i jakby w związku rodowodowym, to stosunki, do których skreślenia przechodzimy, wykwitają bez żadnego przygotowania i przedstawiają istotną niespodziankę dla badacza bezpośrednio wcześniejszych chwil dziejowych. Człowiek paleolityczny żył jedynie z myśliwstwa, obecnie zaś ukazują się liczne zwierzęta domowe, wraz z uprawą roli. Zamiast ludów myśliwskich, oglądamy osiadło-rolnicze. Technika stoi bez porównania na daleko wyższym szczeblu. Rozmaitość narzędzi i sprzętów wzrasta. Pojawia się garncarstwo, stałe siedziby na wolném powietrzu. Głaz z ciosanego staje się szlifowany, odpowiednio téż całą

epokę, zanim ukazał się metal, nazwano neolityczną. Człowiek wznosi swym zmarłym olbrzymie pomniki. Słowem, widzimy przed sobą najzupełniéj niespodziewany rozwój, jakkolwiek pod względem artystycznym kultura stoi niżéj od reniferowców paleolitycznych. Nawet jeśli chcielibyśmy rozpatrzéć się w pokładach jaskiniowych, zauważylibyśmy pomiędzy warstwami paleolitycznemi a temi, w których znajdują się szczątki epoki neolitycznéj, jeszcze inne, obojętne, bez śladów działalności ludzkiéj. Niektórzy usiłowali wytłómaczyć tę niespodzianie ukazującą się kulturę najazdem ludów bardziéj cywilizowanych. „Dla wytłómaczenia tych zmian zbyteczna szukać jakichś innych wpływów po za obrębem samego człowieka. Nasi spokojni myśliwcy z czasów renifera, o zwyczajach łagodnych i mało doniosłéj broni, nie byli w stanie oprzéć się najazdowi barbarzyńców i początkująca ich cywilizacya zdruzgotną została od pierwszego uderzenia (Broca)“. Cartailhac jednak sądzi, że przejście było prawdopodobnie mniéj proste i zarazem nie tak mocno romantyczne. Przy rozwiązaniu tego pytania (a raczéj próbie rozwiązania) wychyla się on po za granice terytoryum francuskiego. Jego zdaniem wypadałoby przedewszystkiem wyznaczyć, jak daleko sięgała kultura reniferowców: jest ona np. nieznana w Hiszpanii i Włoszech i nawet nie dotarła ani do Mentony. Być może przeto kultura neolityczna powstała gdzieś powoli a doszedłszy pewnego szczebla rozwojowego, szerzyła się drogą pokojową, dzięki dziejowemu rozpowszechnieniu, połączonemu z naśladownictwem. Na dowód, że postęp ów odbywał się w bliskich okolicach w sposób ewolucyjny, można przytoczyć fakty z szwajcarskich osad nawodnych. Badając kolejne warstwy odpadków na dnie, oglądamy nieustającą lecz powolną sprawę doskonalenia się. W najniższych pokładach siekierki są małe i zaledwie jako tako wygładzone, pochodzą jeszcze z skał okolicznych; wyroby garncarskie są nieokrzesanéj roboty, bez ozdób, znacznéj grubości. W następnych siekierka jest większą, z otworem w pośrodku dla osadzenia rękojeści; materyał jest troskliwie wybrany i pochodzi z miejsc niekiedy dotychczas niewiadomych, garnki są kształtów wytwornych i ozdobione stosowną ornamentacyą. W jeszcze późniejszych delikatność techniczna wzrasta, ukazuje się metal, prawdopodobnie przywieziony. Fakty te wykazywałyby, że kultura neolityczna szwajcarska była w pewnych granicach płodem powolnego postępu. Czy się podobnie dziać nie mogło i we Francyi, chociażby na mniejszą skalę? Ile w dokonanym postępie przypadło na ludność przedhistoryczną Francyi, trudno wyrzec; pewném jest jednak, że nowa epoka nie wszędzie występuje w tym kraju z tak ostro, a wyraźnie zaznaczoném przeciwieństwém, jak wypływałoby z powyższego przed-

stawienia. Naturalnie pomiędzy ostatniemi znanemi objawami epoki paleolitycznéj a pierwszemi neolitycznéj, upłynąć musiałoby wiele wieków, bądź samodzielnego bądź zapożyczonego postępu, zamaskowanego przed nami pomroką wieków. Zresztą zauważymy, że w pracy Cartailhaca nie znaleźliśmy kilku faktów, wystawianych przez przeciwników. Ową przepaść (zwaną hiatusem w języku paleoetnologów) zauważono i w Anglii. „Cokolwiekbądź możnaby powiedzieć, w Wielkiéj Brytanii ukazuje się istotna otchłań pomiędzy epoką dyluwialną (t. j. czwartorzędową) a neolityczną, przynajmniéj ile chodzi o pośrednie kształty w narzędziach. Wynikałoby stąd, że rasa ludzka, która wyrobiła najpóźniejsze narzędzia paleolityczne zniknęła według wszelkiego prawdopodobieństwa oddawna. Dopiéro wtedy przyszłaby rasa nowa, co nie zadawalniała się jedynie wyciosywaniem narzędzi z głazu, lecz szlifowała je jeszcze“ (J. Evans). Zjawisko byłoby zatém ogólniejszego charakteru. Z drugiéj strony czasy neolityczne znajdują się w ścisłym związku z ukazaniem się w Anglii i Francyi nowéj rasy antropologicznéj—krótkogłowców, o których można mniemać, że wzdłuż kotliny Dunaju posuwali się od Azyi, prowadząc hodowlę roślin i zwierząt domowych, właściwych płaskowzgórzom erańsko-armeńskim. Nadto do czynienia mamy z zniknięciem reniferów a raczéj przesiedleniem się ku strefom chłodniejszym. Czyż nie byłoby naturalném, gdyby sam myśliwiec udał się za źródłami swego pożywienia? Zanik uzdolnień artystycznych można wyjaśnić téż jedynie wpływami rasowemi. Słowem, istnieją pewne fakty, popierające założenie Broca. Rzecz przedstawiałaby się bardziéj złożenie, lecz w każdym razie najazd byłby jednym z czynników ukazania się nowych stosunków.

Epoka neolityczna, w porównaniu z paleolityczną, jest stosunkowo krótkotrwała. Podczas jéj przebiegu w Europie uwidocznia się już silne zróżniczkowanie kultury. Wśród téj saméj charakterystycznéj flory i fauny spotykamy ludy na takim niskim poziomie, jak twórców śmietnisk kuchennych, a jednocześnie posuniętą technikę życiową palafitów szwajcarskich lub grot-grobowcowych Francyi. Często te różne objawy istnieją w pobliżu siebie jak w Portugalii. Same świadectwa mnożą się niepomiernie. Starczy tutaj powołać się na bogate zbiory z jezior szwajcarskich, pozwalające drobiazgowo odtworzyć codzienne życie ludów nawodnych, żyjących w budynkach na palach wśród mielizn jeziornych. We Francyi posiadają one dość rozrzucony a przedewszystkiém jednostronny charakter, który nie pozwala na tak głębokie poznanie czasów neolitycznych. Ślady codziennego życia się nader nieliczne i niezupełne. W Sabaudyi i wogóle w okolicach przedalpejskich znaleziono osady nawodne, zbliżone kulturą do

czysto szwajcarskich; zdaje się że i w Bordeaux natrafiono na podobne szczątki. Tu i owdzie można znaleźć okopy, lecz względem nich niepodobna wyrzec do czego służyły i kiedy powstały. W kilku miejscach, jak np. na płaskowzgórzu Campigny lub Chaussey, napotkano ślady domostw, okrągłéj budowy, z ogniskiem po środku, lecz Cartailhac prócz gołéj wzmianki nie podaje szczegółów. Odkryto kamieniołomy, gdzie człowiek neolityczny dobywał materyał dla narzędzi, oraz warsztaty, w których go obrabiał. W samych warsztatach można zauważyć czasami systematyczny podział pracy. Tutaj wyrabiano np. jedynie lub przeważnie takie, gdzieindziéj inne narzędzie. O dalekich stosunkach wymiennych świadczy rozpowszechnienie pewnych muszli i ozdób. W stronach zachodnich Francyi znajdujemy wykwintną ceramikę, podobną do spotykanéj w Portugalii, Anglii i Sycylii na wybrzeżach; to znowu dowodziłoby przywozu z miejsc dalszych. Tu i owdzie znachodzimy paciorki turkusowe i siekierki z jadeitu — nieznanego pochodzenia. Słowem, istnieje już żywa wymiana towarowa i na znacznych przestrzeniach. Lecz przedewszystkiém najpełniejszą stronicę ówczesnego życia stanowią grobowce, przynajmniéj we Francyi (wogóle w większości krajów, gdzie zbywa na osadach nawodnych). Książka téż Carlailhaca głównie jest poświęcona temu przedmiotowi. Dochodzi nawet do tego, że dzięki nieproporcyonalnie wielkiemu rozwojowi grobowców w porównaniu z innemi szczątkami, może się komuś zdawać, jakoby epoka neolityczna odznaczała tę szczególnie wybujałym kultem pośmiertnym — wniosek bynajmniéj nie należący do uprawnionych. Mogiły znajdujemy w najrozmaitszych postaciach. Zmarłych chowano już w naturalnych jaskiniach, to znowu w sztucznie żłobionych grotach; gdzieindziéj z olbrzymich głazów układano skrzynie lub jeśli kto chce, domy pośmiertne, które czasami zupełnie ukrywano pod pagórkiem, lub wznoszono na powierzchni, z lekka przyrzucając darniną. Zasadniczą jednak i najpierwotniejszą postacią są, zdaje się, pieczary naturalne. Jedna okoliczność rzuca się przedewszystkiém w oczy we wszystkich grobowcach: obfitość szkieletów w pojedyńczém schronieniu. Weźmy chociażby jaskinie naturalne, z których najwybitniejsze znajdują się w porzeczu Losery. W jaskini L'homme mort znaleziono do 50, w jaskini Baumes-Chaudes około 300 szkieletów. Szkielety leżą tutaj zwykle w nieporządku, kości wzajemnie są pomieszane z sobą, czasami tylko czaszki oddzielone i ustawione w porządku lubo reszta kości spoczywa w bezładzie. Już bardziéj złożone stosunki spostrzegamy w grotach sztucznych. Są one rozproszone w niektórych okolicach Francyi, mianowicie, gdzie istnieją pokłady, pozwalające na żłobienie obszerniejszych jaskiń. Dolinie rzeki

Marny należy się pierwszeństwo, znaleziono bowiem tutaj samych szkieletów około 2000. Groty są rozmaitéj budowy: jedne bez kruchty, inne z rodzajem przedsionka. Rzecz godna uwagi, że pierwsze są przeważnie grobowcami zbiorowemi. W oddzielnéj grocie można czasami naliczyć do 40 trupów; są one niekiedy ułożone jeden przy drugim z czaszką zwróconą ku tylnéj lub przedniéj ścianie. Wyjątkowo tylko napotykamy mniejszą ilość szkieletów, lecz natomiast inne przedmioty wtedy są znajdowane liczniéj. Dochodzą one do najwyższéj liczebności w grotach z przedsionkiem, gdzie mimo obszerniejszego wymiaru znajdujemy zaledwie kilka szkieletów. Lecz za to te grobowce wykazują ślady częstego odwiedzania, progi np. są wytarte, gdy poprzednie odznaczają się jakby dziewiczą świeżością. Cartailhac przypomina w tym względzie zwyczaje Howów z Madagaskaru. Każda rodzina posiada własny grobowiec; w rok po śmierci któregoś z członków, pozostali przy życiu zbierają się, odprawiają uroczyście pewne obrzędy i przewracają nieboszczyka na drugi bok. Czy groty z przedsionkami nie miały czasami podobnego znaczenia? Zasługuje na uwagę jeszcze fakt jeden. W kilku miejscach znaleziono czaszki, w każdéj zaś różne drobiazgi. W jednéj np. znajdowały się drobne kostki z ręki i nogi, oraz kręgi pacierzowe dziecka, kilka muszli, strzała. Nasuwa się pytanie, czy nie jest to wskazówka zwyczaju w rodzaju andamanskiego. Minkopi z Andamanu chowają zmarłych, lecz kiedy miarkują, iż ciało już zgniło, wykopują trupa i każdy z krewnych nieboszczyka, zabiéra kość jakąś, którą nosi jako ozdobę, a raczéj jako amulet. Wdowa dostaje czaszkę męża, nie rozstaje się z nią i używa jako koszyczka do przechowania drobnych przedmiotów. Wreszcie za grobowce służyły pomniki „megalityczne“ (t. j. złożone z wielkich głazów) i stosownie do postaci zwane dolmenami, tumulusami (kurhany) i t. d. W zasadniczéj formie przedstawiają one skrzynię z kamieni, już to na powierzchni ziemi (dolmeny) już pod przykryciem pagórkowatém (tumulus); zresztą rozróżnienie to jest sztuczném i pochodzi z chwili obecnéj, gdyż i dolmeny były niegdyś okryte ziemią, która wszakże odpadła w ciągu wieków. Głazy, zwłaszcza w dolmenach, są bardzo znacznéj wielkości i zwykle nieobrobione. Znane są np. kamienie, ważące po 40,000 kilogramów, a które należało sprowadzić z odległości 30 kilometrów. Kładziono pod głaz walce, zaprzęgano woły za pomocą rzemieni. Przytém wybierano takie masy kamienne, które pasowały do siebie i posiadały jedną ścianę (wewnętrzną w dolmenie) możliwie płaską; płaskość naturalną zwiększano często odpowiedniém sztuczném działaniem. Kamienie ustawiano, pomnik sam z lekka przykrywano ziemią. Zresztą oddzielne megality przedsta-

wiają nietylko prostą skrzynię: przechodzi ona czasami w zwykły korytarz, to znowu korytarz kończący się izbą już prostokątną, już okrągłą, lub nawet kilku komórkami. Niekiedy główna izba odrazu jest przedzielona na mniejsze, w innych razach komórki zostały do niéj przyłączone z zewnątrz w czasie późniejszym. Kiedyś wątpiono o znaczeniu dolmenów, nowsze jednak poszukiwania wykazały stanowczo ich charakter grobowcowy. Zresztą pomniki megalityczne Francyi znajdują się w związku z podobnemi budowlami w pozostałéj Europie. Zasługuje na uwagę ich geograficzne rozmieszczenie. W Europie ukazują się one w Rosyi nad morzem Czarnem, daléj ku północy i zachodowi zanikają, aby wypłynąć dopiéro nader licznie na równinach hanowerskich. Liczba ich w Holsztynie i Szlezwigu, w wschodniéj Danii, w Szwecyi wzdłuż wybrzeża i nad jeziorami jest bardzo znaczna, niewielka natomiast pomiędzy Odrą a Elbą. W przestrzeniach, wolnych od dolmenów, ukazują się kurhany (tumulusy), t. j. grobowce mniejszych rozmiarów, ukryte pod powierzchnią ziemi i zdradzające swą bytność nieznacznym pagórkiem. Anglia jest także bogata w rozpatrywane zabytki przedhistoryczne. We Francyi dolmeny są rozmieszczone szczególnym sposobem. W departamencie dolnéj Loary znaleziono 50, w Morhitan 305, w Finistèrre 170, w departamencie Côte du Nord 112, kiedy tymczasem w środkowych najwięcéj jest w Ille-et-Vilaine, a mianowicie zaledwie 15. Bretanii dawnéj należy się pierwsze miejsce pod względem bogactwa i rozmaitości. Słowem, dolmemy są skupione w części zachodniéj, świecą zaś zupełną nieobecnością w północnéj i na lewym brzegu Rodanu. Pomniki megalityczne przeskakują z Francyi na półwysep Pyrenejski; tam sadowiąc się głównie i nawet jedynie w Portugalii a unikają wybrzeży wschodnich; wreszcie w dalszym ciągu są rozszerzone w północnéj Afryce. Niepodobna nie zauważyć, że trzymają się one wielkich zbiorowisk wodnych, co zwłaszcza jaskrawo uwidocznia się w Bretanii, Skandynawii i t. d. Odpowiednio temu usiłowano nadać téj przedhistorycznéj kulturze charakter rozbójniczo-morski, samo zaś rozmieszczenie próbowano wytłómaczyć przez hypotezę, że istniała szczególna grupa etniczna, która upodobała sobie w stawianiu pomników kamiennych. Nazwano ją „dolmenowcami“, kazano odbywać lądem i morzem dalekie wędrówki i t. d., i początek dolmenów otoczono wieńcem legend naukowych.

Zdaje się wszakże, że czynniki powstania tych pomników były liczniejsze i bardziéj złożone, aniżeli to przypuszczali twórcy romansu historycznego o dolmenowcach. Mianowicie, przedewszystkiem wypadałoby rozstrzygnąć, czy powyżéj wskazane rozmieszczenie nie wynika

czasami z innych powodów. Jakoż okazuje się, że Francyi zbywa na pomnikach megalitycznych we wszystkich tych miejscowościach, gdzie powierzchnia gruntu jest piaszczysta, skały zaś kruche i lekko wietrzejące. Być może zatém pomników nie wznoszono tutaj dla braku należytego materyału; być może nawet stawiano je, ale z upływem wieków uległy zwietrzeniu i rozkruszeniu. Oba wypadki są jednako możliwe i jednako brzmią niekorzystnie dla teoryi, stwarzającéj dolmenowców. Natomiast dolmeny występują licznie, gdziekolwiek skały są twarde, zdolne przetrwać długie czasy. Rozmieszczenie dolmenów zależałoby tedy od względów geologicznych. Gdzieindziéj znowu postęp rolnictwa mógł je zniszczyć, gdyż obfitość pomników styka się z mniejszym rozwojem kultury rolnéj. W dalszym ciągu chciano przeciwstawić „dolmenowców“ „kurhanowcom“ i wyróżnić dwie odpowiednie kultury etniczne. Tymczasem można podnieść pytanie, czy nie należałoby ich raczéj uważać za wytwór warunków terytoryalno-geologicznych. W każdym razie, sprawa jest bardziéj złożoną, niż mniemali badacze dawniejsi.

Słowem, epoka neolityczna we Francyi występuje przed nami w szacie grobowcowéj. Świadectwa te ubiegłych czasów dają, rozumié się, bardzo niewystarczające pojęcie o owych dalekich czasach i oświetlają je nader jednostronnie—ze stanowiska kultu pogrzebowego. Zresztą nasuwa się jeszcze pytanie o współczesności i wzajemnym stosunku rozmaitych form grobowcowych. Czy owe jaskinie naturalne, groty sztuczne, rozmaite rodzaje dolmenów, czy istniały one w jednym czasie, lub téż są związane jakąś odmienną zależnością? Cartailhac pomija milczeniem to zagadnienie, a raczéj wspomina, że jest niemożliwe do rozwiązania. Natomiast zapuszcza się w drobiazgowe badanie ówczesnych zwyczajów pogrzebowych. Widzieliśmy rozmaite formy grobowców, mimo jednakże całéj odmienności w wyglądzie zewnętrznym istnieje pomiędzy niemi pewna łączność. Jakoż, liczba szkieletów jest wszędzie nieodpowiednio wielka w porównaniu z ilością znajdowanych przedmiotów. Okoliczności zwykle są takie, iż wolno mniemać, jako przedmiot znalazł się w grobowcu przypadkowym sposobem. Można sądzić, że został zgubiony, lub pozostawiony mimowolnie. Wyjątki są bardzo nieliczne. Same kości są najczęściéj pomieszane bezładnie i zebrane w wielkiéj ilości. Znane są groty, gdzie w jednéj leżało do 300 trupów, lub dolmeny z 62 szkieletami. Jedynie czaszki bywają niekiedy ułożone; w tym razie możemy powołać się na klasyczny przykład z zachodniéj Szwajcaryi, gdzie znaleziono 4 czaszki ustawione w rogach, w pośrodku zaś leżały pozostałe kości z licznemi zresztą brakami. Gdzieniegdzie niepodobna doliczyć

się kości, które jednakże przepaść nie mogły tak łatwo, np. kręgi. To wszystko doprowadza do mniemania, że same grobowce w większości wypadków byłyby rodzajem kostnicy. Nauka jest zmuszona przypuścić, że do grobowców neolitycznych zwykle znoszono ogołocone już z ciała szkielety, a nawet pojedyncze kości. Trup ulegałby rozkładowi w innem jakiem miejscu. Tylko przy tém założeniu można pojąć, jakim sposobem niektóre kostnice znajdują się w tak nieprzystępnych warunkach, iż niepodobna np. przynieść tutaj trupa. Szkielet leży znowu czasami w tak niewielkiéj skrzynce dolmenowéj, iż trudno zrozumiéć, jak mógł się zmieścić. Zwyczaje, istniejące u wielu tegoczesnych ludów, zupełnie usprawiedliwiają wypowiedziane przypuszczenie. I zaiste, przyjrzyjmy się chociaż kilku w téj mierze faktom etnograficznym. U Tagbanujów z archipelagu filipińskiego trup, położony na matach, zostaje zawieszony na gałęziach drzew sąsiednich i przyrzucony zlekka przykryciem z liści. W pobliżu kładzie się broń i sprzęty zmarłego. Po upływie pewnego czasu, kiedy ciało i opora przegniją, trup spada na ziemię. Kości zostają pozbierane, włożone w naczynie i pomieszczone w odpowiedniéj jaskini. Dumont d'Urville podaje drobiazgowy opis pokrewnych obrzędów pogrzebowych u Nowozelandczyków. Po trzech dniach trup zostaje przyodziany w najlepsze szaty, natarty tłuszczem i ozdobiony jak za życia. Członki bywają zgięte, całość opakowaną i pogrzebaną w ustroniu, strzeżoném przez ostrokół. Zresztą zwłoki spoczywają w mogile jedynie przez czas niejaki,—póki ciało nie zgnije zupełnie i nie pozwoli z łatwością odjąć się od kości. Zwykle potrzeba na to od kwartału do roku czasu. Wyznaczone osoby udają się wtedy na grób, wykopują nieboszczyka i oczyszczają kości, które przenosi się następnie do grobowca rodzinnego, pomieszczonego zwykle w grocie. „Zgodnie z mojém przekonaniem, pogrzebanie w ziemi było jedynie stanem przejściowym, ażeby trup pozbył się części plugawych a psujących się. Chwila ostatecznego spoczynku następowała dla nieboszczyka wtedy, kiedy kości składano do grobowca przodków. Ci ludzie nie zważają na największe niebezpieczeństwo, ażeby oddać tę ostatnią przysługę drogiéj osobie. Rodzice zgłaszają się do Portu Jackson o kości swych dzieci, które tam zmarły.“ Podobne zwyczaje spotykamy i w innych zakątkach globu ziemskiego. Patagończycy np. troskliwie zdejmują ciało z kości, które zawieszają w koszyku, aby zbielały na słońcu i deszczu. Bardziéj poważane matrony plemienia spełniają tę niezbyt przyjemną czynność. Póki ona trwa, mężczyźni odziani w długie szaty skórzane, z wyczernioną twarzą i z długiemi dzidami w ręku, chodzą dokoła namiotu, śpiéwając ponure pieśni i uderzając o ziemię, ażeby odegnać

złych duchów. Po upływie jakiegoś roku, kości bywają zebrane do worka skórzanego i zarzucone na kark ulubionego wierzchowca zmarłego. Koń idzie z całém plemieniem, często bardzo długo, póki ono w swych wędrówkach nie trafi do cmentarzyska, gdzie spoczywają pradziadowie. Kości zostają ułożone wtedy w sposób naturalny, związane sznurkiem i położone obok ojców, i t. d. Słowem, mamy w różnych miejscach szereg zwyczajów, które, gdyby istniały w neolitycznéj Francyi, zupełnie wyjaśniałyby wiele spotykanych faktów. Że zaś mogły istnieć, przypuszczenie to nabiéra tém większéj jeszcze siły, jeśli zważymy, że w wieku XII—XIII-go takie oczyszczanie kości z ciała było w użyciu we Francyi, lubo jedynie względem wzłok królów i możnowładców. Istniała nawet szczególna korporacya „hanouardów“ (solarzy), posiadająca wyłączny przywiléj solenia i gotowania królów francuskich po zgonie. Ciało grzebano oddzielnie od szkieletu. Wreszcie pokrewne stosunki istnieją po dzień dzisiejszy w Bretanii. W tym względzie dajemy słowo naocznemu świadkowi (Prosperowi Mérimée). „Można zauważyć (przy kościele) niewielki, a nader ciężki budynek. Kolumnada jońska i forma pretensyonalna świadczą o pochodzeniu z epoki Ludwika XIV-go. Jest to relikwiarz kościelny. Winienem wyjaśnić, czém jest i jakie przeznaczenie relikwiarz posiada w Bretanii. Szczególny bowiem zwyczaj panuje w téj prowincyi. Rodzina każe wykopywać nieboszczyka po kilku latach, mianowicie kiedy można mniemać, że ziemia już pochłonęła rozkładające się ciało. Kości zostają zebrane i pomieszczone w niewielkim budynku, zbudowanym przy kościele w tym celu umyślnie. Jest to właśnie relikwiarz. Niekiedy zdejmują czaszkę, kładą ją do skrzynki i umieszczają w widoczném miejscu kościoła z napisem: tu spoczywa p. N. Niepodobna wystawić sobie czegoś obrzydliwszego nad stos bielących kości, rozruconych w nieładzie pomiędzy pokrzywami, tak bujnie pleniącemi się w relikwiarzach. Gorliwość nadmierna nie czeka czasami aż szkielet będzie zupełnie czysty; kawałki gnijącego mięsa zwabiają psów, których nikt nie odpędza. Zresztą kostnice nie wywołują u wieśniaków wstrętu, ni téż poważania. Widziałem, jak chroniono się tutaj przed deszczem lub dla posiłku; niektórzy oczekiwali, abym się oddalił i nie przeszkadzał ich miłostkom z kochankami...“ Czyżby to była jeszcze pozostałość szczątkowa po zwyczajach epoki neolitycznéj? Że grzebano jedynie szkielety, poszukiwania Pigoriniego w okolicach Palermo dowiodły tego stanowczo. Znaleziono np. kości pomalowane na czerwono. Naturalnie, trzeba było uprzednio oczyścić je z ciała. Jakeśmy widzieli, zwyczaj oddzielania ciała od kości istniałby téż w epoce paleolitycznéj. Zresztą, w czasach neo-

litycznych było jeszcze w użyciu palenie zwłok. Są tego oczywiste a niewątpliwe dowody. W departamencie Aisne znalezione zostały ślady, wskazujące, że kopano rodzaj niegłębokiéj studni, przed nią palono trupa i niedopalone kości wraz z popiołem wrzucano do dołu i zasypywano ziemią. Jak dalece ten sposób chowania był rozpowszechniony, niepodobna określić, gdyż ślady pozostałe nie są tak widoczne, jak w powyżéj rozpatrywanym zwyczaju.

Obrzędy pogrzebowe są najlepiéj odcyfrowaną stronicą Francyi neolitycznéj. Po za jéj zakresem mamy jedynie do czynienia z zagadkami. Do takich należą tak zwane menhiry, t. j. oddzielnie stojące głazy. Są one tu i owdzie przedmiotem kultu, przybranego niekiedy w formy chrześciańskie. W wielu bowiem miejscach kamienie, na których się wznoszą przydrożne krzyże, są właśnie dawnemi menhirami. Pierwsze miejsce należy się bretońskim, zarówno co do liczebności, jak i ustawienia. W niektórych okolicach są one ustawione tak, że tworzą aleje i linie (Karnac). Na wyspie Er-Laric 60 menhirów, z których największy posiada wysokości 3 metry tworzą jedno koło; do niego przytyka inne, zalane przez morze. Jakie było znaczenie tych głazów? Milczą one, lud jedynie baje o nich, zowią je płaczkami, ich nagromadzenie—ogrodem cmentarnym. Czyżby nie można było w nich widzieć miejsc czasowego pogrzebania, z którego dopiéro późniéj przenoszonoby nieboszczyka do zbiorowych grobowców, kiedy ciało już odpadło? Dotychczas jednak nie znaleziono najmniejszych śladów uprawniających do tego przypuszczenia. A może, jak u Vorimów madagaskarskich wznoszono je, jeśli rodzina nie zdołała znaleźć kogoś z swoich członków i pogrzebać w rodowym grobowcu? Głuche milczenie. Wprawdzie na menhirach, jak i dolmenach, znajdujemy różne nacięcia i znaki, lecz jest to język niezrozumiały. Zwykle powtarzają się pewne zasadnicze formy, często np. występuje młot-topór. Kilka razy, między innemi w sztucznych grotach, znaleziono postać kobiécą, nazwano ją boginią... Zwłaszcza żywe zainteresowanie wzbudziły wśród tych znaków nieznaczne wyżłobienia miseczkowate. Kiedyś obwiniano o autorstwo bezczynnych pasterzy, ale istnienie znaków na świéżo odkopanych a nietkniętych jeszcze głazach dolmenowych zbiło te poglądy. To znowu usiłowano widzieć w tém dowód, że „dolmenowcy“ składali tutaj ofiary bogom. W Skandynawii, gdzie menhiry są znane pod nazwą kamieni elfów, włościanie składają tutaj ofiary zmarłym, to samo czyni czasami chłop szwajcarski. W Aix dziewczęta i wdowy, podążając pielgrzymką do starodawnéj kaplicy S. Błażeja, przechodzą około małego eratycznego głazu z 60 miseczkami i wykonywują szczególne praktyki, aby wyjść za mąż w przyszłym ro-

ku. Lecz niepodobna stąd wyciągnąć żadnych wniosków, bo gdyby znaki owe miały służyć jako „czarki“ do przyjęcia ofiary, nie znajdowanoby ich na dolnéj powierzchni przykrycia dolmenowego...

## IV.

Jesteśmy u progu Francyi „celtyckiéj.“ Niektóre zwyczaje neolityczne mogły przetrwać dłużéj. Cartailhac sądzi, że ostatni kres budowania dolmenów przypada, być może, aż na wiek XII-ty naszéj ery, chociaż jednocześnie powiada, że dalsze badania mogą go bardziéj cofnąć w przeszłość. Pozostaje nam jeszcze zatrzymać się nad jedném zagadnieniem, związaném z przedhistoryczną Francyą. Chcielibyśmy mianowicie skreślić w krótkości przeszłość antropologiczną tego kraju. Prawda, podobnie żaden zakątek Europy nie jest lepiéj zbadany w téj mierze. Naturalnie, to rozjaśnienie mroków dziejowych posiada jedynie względną wartość i w gruncie rzeczy jest bardzo nieznaczne.

Topinard zestawił badania nad przeszłością antropologiczną dla środkowéj Francyi w domniemalnym porządku chronologicznym [1]).

| Wyznacznik szerokości czaszkowéj | Jaskinia Beaumes-Chaudes | Jask. L'homme mort | Dolmeny Lozery | Teraźniejsi Owerniacy |
|---|---|---|---|---|
| 60—64,9 | 2,9% | — | — | — |
| 65—69,9 | 17,6% | 5,5% | 4,1% | — |
| 70—74,9 | 67,6% | 77,7% | 42,5% | 5% |
| 75—79,9 | 11,7% | 16,6% | 29,1% | 7,4% |
| 80—84,9 | — | — | 12,5% | 51,7% |
| 85—89,9 | — | — | 12,5% | 34,6% |
| powyżéj 90 | — | — | — | 5,7% |

Średni wyznacznik szerokości czaszkowéj przedstawia się dla każdéj następującéj grupy w stopniu wzrastającym: 72,6, 73,2, 75,8, 84,—od silnéj podłużnogłowości do wydatnéj krótkogłowości. Fakty te dowodziłyby istotnego a zupełnego przewrotu w stosunkach rasowo-antropologicznych. Na miejsce grupy podłużnogłowéj ukazałaby się w ostatecznym rozwoju inna, zupełnie odmienna. A tymczasem kolejność chronologiczna, powyżéj wskazana, nie ulega wątpliwości; stwierdza ją i Cartailhac. Usiłowano pod cyfry powyższe podsunąć żywsze tłómaczenie i powiązać je ze znaną już hypotezą najazdu. W Beaumes-Chaudes mamy niby do czynienia z jaskiniowcami epoki renifera, tak uzdolnionymi pod względem artystycznym. W grocie L'homme mort są oni niby już zepchnięci w urwiska górskie przez

[1]) „Eléments d'anthropologie gènevese“, str. 385.

jakiś najazd, co przyniósł z sobą dolmeny, rolnictwo i hodowlę bydła. Blizny na znalezionych czaszkach dowodziłyby, że zawzięta walka wre pomiędzy obu żywiołami. Atoli mimo wzajemnéj nienawiści krzyżowanie rasowe postępuje, prawdopodobnie branki to wnoszą jeden typ w łono drugiego. Wśród pierwotnych podłużnogłowców zjawiają się krótkogłowcy, i na odwrót. Najezdnikami byliby krótkogłowcy. Wyszliby oni z dolin Pamiru azyatyckiego, gdzie dotychczas znajdujemy licznie ten typ, i po przez porzecze Dunaju i góry Jurskie wtargnęliby do Francyi... Cartailhac odzywa się o tém z przekąsem, jako o „romansie historycznym." Cokolwiek jednak okaże się, kwestya jest zawikłana. Można wskazać w téj mierze nader ciekawy fakt, jak pewien badacz, pierwszorzędnéj powagi naukowéj, zmieniał w krótkim przeciągu czasu radykalnie swoje zdanie o tym samym przedmiocie. Mamy na myśli Quatrefages'a. Wśród przedhistorycznych typów wyznaczył on jeden nader ważny, cro-magnoński; należą doń właśnie owi podłużnogłowcy, występujący na tablicy u Topinarda. Chodziło o wyznaczenie jego wyglądu zewnętrznego: barwy włosów, cery i t. d. W książce wydanéj przed laty 10-ciu pisał on z tego powodu: „Znajdziemy je (okazy tego typu) napewno w czasach obecnych. Sam osobiście zauważyłem u dwóch kobiét rysy, które mogą istniéć jedynie przy szkielecie czaszkowym i twarzowym rozpatrywanéj rasy. U jednéj sprzeczność twarzy z czaszką była tak samo jaskrawą, jak u wysokiego starca z jaskini Cro-Magnonu. Oko zagłębione pod sklepieniem oczodołowém patrzyło ponuro, nos był raczéj prosty niż zakrzywiony, cera bardzo ciemna, włosy bardzo czarne, rosnące nisko na czole" [1]. Cro-Magnończyk miał częściowo wyemigrować z Francyi wraz z reniferem, udając się na północ, w ciemnych Dalekarlijczykach Szwecyi autor chce widziéć potomków wychodźców... Tymczasem w ostatnim swém dziele Quatrefages zajął inne stanowisko. „Spostrzeżenie Hamy'go, gruntowne badania Verneau pozwalają nie wątpić, że jaskiniowcy Vezery, a Guanczowie (kanaryjscy) są identyczni rasowo. Nasz rodak, któremu udało się znaleźć czyste lub niemal czyste potomstwo istotnych Guanczów, mógł stwierdzić nader ważny szczegół. Spotkał on tutaj blondynów, popierając w ten sposób świadectwo pierwotnych historyków archip. kanaryjskiego. Atoli jasne włosy nie mogły być tutaj przyniesione przez jakąś rasę semicką" [2]. Szczegóły charakterystyczne, wykazują one, jak należy być powściągliwym we wnioskach.

---

[1]) „Espèce humaine", 1879, str. 248.

[2]) „Introduction à l'étude des races humaines", 1889, str. 304.

Cartailhac w swojéj pracy poświęca bardzo mało miejsca przeszłości antropologicznéj. Wszystkiego mamy zaledwie trzy kartki i pogląd jest nader pobieżny. Na swoje usprawiedliwienie powiada, że o tym przedmiocie można powiedziéć bardzo niewiele. Przedewszystkiém chelleńczyk, współcześnik nosorożca Merckii i starożytnego słonia, twórca licznych krzemieni migdałokształtnych z rzecznych pokładów napływowych, pozostał zupełnie nieznany — wiedza nie posiada po nim najmniejszych szczątków. Dowody, znajdujące się w posiadaniu nauki, sięgają czasów mamuta i nosorożca pokrytego szerścią. Są one dwojakiego pochodzenia: z napływów i z jaskiń epoki renifera. Pierwszym świadectwom trudno zawierzyć z powodu niepewności w określeniu pokładu. Większość tych szczątków nie posiada daty i geolog przyzwyczajony do większéj ścisłości, odsunąłby je od siebie jako dowody bez znaczenia. Zresztą, uznając ich wiarogodność, niepodobna oprzéć żadnych wniosków na tak nieznacznéj ilości okazów. Natomiast czaszki jaskiniowe są dość liczne i z ustaloném pochodzeniem, stanowią téż materyał zupełnie wiarogodny. W przedstawieniu ubiegłych stosunków rasowych Cartailhac opiéra się głównie na poszukiwaniach Quatrefages'a i Hamy'ego. Rzecz godna uwagi, że jako najpierwsze typy występują podłużnogłowcy, należący zresztą do dwóch odmiennych ras: canstackiéj i cro-magnońskiéj. Pierwsza jest starożytniejsza, odznacza się wydatnemi łukami nadocznemi, wązkością i długością czaszki. Cechy te zauważone zostały po raz pierwszy na sławnéj czaszce neanderthalskiéj, następnie na bruxskiéj i egnisheimskiéj. Usiłowano przedstawić owe okazy jako patologiczne, lecz odkrycia mnożyły się; między innemi wydobyto czaszkę w Spy, niewątpliwie czwartorzędową, przedstawiającą powyższe cechy w potężniejszém jeszcze napięciu. Neandertalczyk i canstadczyk, o ile można sądzić ze wskazówek dobytych w Spy, byli wzrostu takiego, jak dzisiejszy Lapończyk, z silnie rozwiniętemi mięśniami, lecz o krótkich członkach. Zresztą liczba szczątków osteologicznych jest zbyt nieznaczna, ażeby można było snuć jakieś uogólnienia o geograficzném rozsiedleniu téj rasy. Natomiast cro-magnończyk jest nam lepiéj znany dzięki daleko znaczniejszéj obfitości świadectw. Łuki nadoczne są umiarkowanie wydatne, szerokie a proste czoło, znaczna jama czaszkowa, szeroka nadmiernie twarz, silnie rozwinięte policzki, wysoki wzrost odróżniają go na pierwszy rzut oka od powyżéj rozpatrywanego typu. W epoce reniferowéj zaludniał on dolinę Vezery, okolice podpirenejskie i mentońskie. Ów artysta jaskiniowy wyszedł z jego łona. W epoce neolitycznéj jest on rzadszy i utrzymał się w wyjątkowych miejscowościach na południo-zachodzie Francyi, np.

w jaskini L'omme mort. Natomiast typy krótkogłowe są prawie nieznane w czasach paleolitycznych i zwykle o podejrzanéj starożytności. W ich liczbie znajdujemy typ truchèrski, znany dotychczas na całym globie ziemskim z dwóch czaszek. Krótkogłowcy poczynają ukazywać się gęsto dopiéro w epoce neolitycznéj, jakkolwiek o warunkach i czasie rozpowszechnienia nie można nic powiedzieć, gdyż grobowce ówczesne nie dają żadnych wskazówek chronologicznych. Między innemi, rasa furfooska, nieznana w okresach czwartorzędowych, usadawia się licznie w Belgii i na północo-wschodzie Francyi, mieszając się z cro-magnończykami w dolinie Marny.

Są to nieznaczne zdobycze. Byłyby one może większemi, gdyby nie wandalizm panów archeologów, którzy prawdopodobnie liczniéj przyłożyli rękę do zniszczenia czaszek, niż robotnicy i wpływy atmosferyczne... Tymczasem rzecz jest nader ważna, dostarcza bowiem klucza do zrozumienia składu antropologiczno-rasowego obecnéj narodowości francuskiéj. Zrobiono w téj mierze pewne kroki. Nie chcąc wszakże przedłużać i tak nieco przydłuższego artykułu, pomijamy to, témbardziéj, że wychylilibyśmy się po zazadanie sprawozdawcze z książki Cartailhaca.

*Lud. Krz.*





# Czwarty kongres więzienny międzynarodowy

## W PETERSBURGU, W CZERWCU 1890 R.

---

Druga połowa XIX-go wieku odznacza się bardzo bujnym i szybkim rozrostem najnowszych utworów towarzyskich, wszelkiego rodzaju narodowych i międzynarodowych wieców, zjazdów, kongresów naukowych, literackich, artystycznych, ekonomicznych, socyalnych, nawet politycznych. Są to zjednoczenia się kilkodniowe, przypadkowe, zmieniające się w swoim składzie, koczujące z miejsca na miejsce, tém łatwiéj się zawiązujące, że nie pociągają za sobą żadnych zobowiązań, żadnego skrępowania, chętnie podejmowane przez kraje i wielkie miasta, gdzie się odbywają, tolerowane i nawet zachęcane przez rządy, którym nie stoją nigdy na zawadzie, bo nic nie stanowiąc, poprzestają na wymianie myśli i życzeń, na miłości pospolitego dobra czysto platonicznéj. By stworzyć pewnego gatunku kongresowanie, wystarczy, gdy się znajdzie dwóch, trzech czynnych i wziętość posiadających specyalistów, którzyby ruch kongresowy zapoczątkowali, a mogą być pewni, że naleci przyzwoita liczba ludzi ochoczych do przejechania się za zniżoną cenę, do konferowania i do zabawienia się a rozerwania wesoło a uczciwie. Skoro kongres doszedł ku zadowoleniu powszechnemu, już samo przez się wytworzył z siebie komitecik organizacyjny do przygotowania drugiego, a zatém i następnych zjazdów. Ruch się rozwija, wciąga oprócz prywatnych osób instytucye w téj specyalności zainteresowane, a oprócz instytucyi i same organa rządowe państw rozmaitych. Z przybyciem delegatów od rządów, kongres przybiera wielkie rozmiary, wspanialszą powierzchowność, a nieraz wskutek zwiększania się masy stowarzyszonych, wejścia doń coraz to rozmaitszych pierwiastków traci coś z początkowéj energii,

rzutkości i nawet z gruntowności rezultatów; program jego staje się coraz bardziéj ogólniejszym, oderwańszym, obrachowanym na to, by niczego nie zaczepić, by niczego z dotkliwéj strony nie zahaczyć. Coraz uroczystsze i okazalsze ceremonie poprzedzają i zamykają otwarcie i traktowanie saméj rzeczy, co daje znowu pochop do powstania i krzewienia się zjazdowych stowarzyszeń w tymże fachu, ale skromniejszych, prostszych i głębiéj w treść przedmiotów sięgających. Wszystkie wyliczone przezemnie rysy charakterystyczne sprawdzają się najlepiéj na zjeździe, który się odbył niespełna przed miesiącem w Petersburgu.

Zjazdy więzienne w Europie datują się prawie od pół wieku. Dał im początek lekarz frankfurcki, Warentrapp. Odbyto mnóstwo takich zjazdów szczególniéj w Niemczech i Anglii, trzy międzynarodowe całkiem prywatne zjazdy frankfurcki w 1846 r., brukselski w 1847 r., frankfurcki w 1857 r. Wszystkie te zgromadzenia składały się głównie z uczonych, z profesorów, bujały w kwestyach oderwanych, teoretycznych, zbyt jednostronnie propagowały wynalazek amerykański— system zamknięcia celkowy. W 1872-im r. nastaje dla tych zgromadzeń nowy okres, powstaje nowa serya kongresów, peryodycznie odbywanych mniéj więcéj co lat pięć: 1872 r. londyński, 1878 r. stockholmski, 1885 r. rzymski, 1890 r. petersburski, przyszły z nich, piąty, ma się odbyć w 1895 r. w Paryżu. Kongresy te odbywają się przy współudziale rządów, wedle planu pierwotnie podanego przez inicyatora pierwszego z nich amerykanina, Wines'a, sekretarza towarzystwa więziennego północno-amerykańskiego. Wchodzą do składu ich: naczelni administratorowie organizacyi więzień w państwie, przełożeni nad domami penitencyarnemi czyli pokutniczemi (tak zwanemi przez zastosowanie, niezupełnie właściwie do cięższych kar kryminalnych, idei religijnéj oczyszczeń, a chociażby przez przymusową pokutę), urzędnicy, przełożeni nad statystyką więzienną, lekarze więzienni, duchowni przy więzieniach zostający. Prezydującym na kongresie bywa zwykle naczelnik wszystkich więzień danego państwa, takimi byli: Beltrani-Scalia na kongresie rzymskim, Gałkin-Wrasskij na petersburskim, na przyszłym zaś paryskim funkcyę tę sprawować ma p. Herbette. Każdy przyszły kongres przygotowuje komisya organizacyjna, złożona z delegatów państw uczestniczących, układająca zawczasu na lat parę przed kongresem program w rodzaju kwestonaryusza, mieszczący w sobie wszystkie rzeczy sporne, mające być roztrząsanemi na kongresie. Komisya zgromadza się w jakimkolwiek centralnym punkcie Europy, zwykle w B e r n i e. Szwajcar, dr. Guillaume stale z wyborów figuruje, jako sekretarz generalny zalecany i przekazywany przez ze-

szłe kongresy nowym. Kongres ze specyalnie więziennego przerobił się na stowarzyszenie o daleko szerszym zakresie (*International Congress for the Prevention and Repression of Crimes at home and abroad*) i podzielił się na trzy sekcye: 1) prawodawstwa karnego, 2) organizacyi więzień i 3) środków zapobiegających przestępstwom. Ciekawe cyfry podał 10 buletyn zamykający posiedzenia kongresu petersburskiego. Przybyło do Petersburga 177 cudzoziemców, z nich 69 delegatów urzędowych od 26 państw rozmaitych części świata. Nie wszystkie państwa obsyłające kongres biorą czynny i ciągły udział w pracach przygotowawczych komisyi penitencyarnéj. Na te ciaśniejsze kółko składają się dotąd tylko Hiszpania, Francya, Włochy, Belgia, Dania, Norwegia, Niderlandy, Baden, Bawarya, Szwajcarya, Grecya, Węgry i Rosya. Z przybyłych gości najliczniejsi byli Francuzi i Włosi. Nikt nie mógł iść z Francuzami o lepsze pod względem wymowy, prześlicznie przemawiali adwokaci Dreyfuss i Dumas,—były prefekt miasta Paryża, dziś członek sądu kasacyjnego Voisin, profesor Leveillé. Z Włoch nadjechali głównie sami profesorowie: biegły i śmiały dyalektyk Brusa z Turynu, Nocito z Rzymu, Taverni z Katany, Pessina z Neapolu i senator Tankred Canonico.

Wszyscy ci panowie liczyli się do szkoły kryminalnéj, tak zwanéj klasycznéj i wyrzekali się wszelkiego spólnictwa z antropologami-pozytywistami, którzy, idąc śladami Lombrosa, tyle wrzawy sprawili ostatniemi czasy przez rzekomy wynalazek nowego podgatunku rodzaju człowieczego: *uomo delinquente*, przez śmiałe rwanie się do ustanowienia za pomocą antropometryi i spostrzeżeń — cech odznaczających widocznie osobników, stworzonych na przestępców albo stanowczo zwyrodniałych, przez niemiłosierny pochop téj szkoły do eliminowania ze społeczeństwa wszystkich recydywistów, jako bezwarunkowo niepoprawnych. W 1885 r. w Rzymie obradowali jednocześnie i nieraz o tychże samych kwestyach antropolowie na kongresie antropologicznym, kryminaliści na penitencyarnym. Z wyznawców teoryi Lombrosa zapowiedział się tylko Garofalo, prokurator w Neapolu, ale i ten nie przyjechał. Z Berlina przybyli dwaj wysocy urzędnicy pruscy: Starke i Iling.

Jest na zachodzie europejskim od paru lat istniejący drobny jeszcze zawiązek stowarzyszenia, które zaczyna spółzawodniczyć z kongresami penitencyarnemi, tak zwana *Union internationale de droit criminel*, założona przez profesora z Halli Fr. Liszta, belgijczyka, publicysty Prinsa i holendra Van Hamela. Związek ten „międzynarodowéj jednoty w prawie karném,“ nie zajmujący się specyalnie więziennictwem, ale usiłujący wprowadzić kryminalistykę na nowe całkiem tory

wskutek widocznych braków, po części wytkniętych przez szkołę antropologiczną, która okazała się skuteczną nie przez swoje fantastyczne teorye, ale przez swój wcale nie do pogardzenia protest, zbierze się w tym roku w Bernie w początkach sierpnia. Głośny promotor „jednoty“, Liszt, nie stawił się. Brakło prawie Anglików, to jest przedstawicieli jedynego narodu, który urzeczywistnił na prawdę idealnie świetny pomysł patronatu, a bez patronatu, jak wiadomo, system karny poprawczy będzie zawsze tylko złudzeniem, albo ironią poprawy. Kalecząc język i obrażając uszy, mówili po francusku, jak mogli, nie dbając wcale o formę, Włosi i Hiszpanie, Holendrzy i Duńczycy, stanowczo lepiéj od nich sprawowali się pod względem poprawności języka Madziarowie i Serb Milenko Wiesnicz, Grek Skuzes. Poddawali się przewadze językowéj Niemcy, zadawalniający się tém, że jedna z prelekcyi publicznych była wygłoszona przez Wirtemberczyka, Jagemanna, po niemiecku. Znalazł się tylko jeden członek kongresu, delegat Rondall, ze stanu Michigan, nie władający żadnym prócz angielskiego językiem, który na ogólném zgromadzeniu kongresu miał przemowę angielską, wnet potém tłómaczoną przed zgromadzeniem na język francuski. Galicya delegowała parę osób: hr. H. Skarbka i księdza Korzeniowskiego ze Lwowa. Pomiędzy członkami kongresu było kilku księży katolickich i kilka kobiét. Wszelkie zjazdy naukowe i praktyczne specyalne wtedy tylko mogą coś przynieść, skoro są należycie przygotowane i poprzedzone przez całe wydawnictwo opracowań, poświęconych kwestyom, mającym podlegać dyskusyi. Wszystkich kwestyi w programie, ułożonym w Genewie w komisyi organizacyjnéj, było 25 (8 dla 1-éj sekcyi, 11 dla 2-éj, 6 dla 3-éj), drukowanych rozpraw, poświęconych tym kwestyom, przyjęto i wydrukowano w Genewie 139, więc przeciętnie około 6 rozpraw na kwestyę, wielu autorów opracowało po kilka rozpraw; pomiędzy rozprawami były i drobne po kilka kartek, ale były i większe po sto, albo i więcéj stronic. Pomiędzy referatami były i kobiéce. Jeden z nich napisany przez panią Conception Arenal z Vigo w Hiszpanii w gorącéj kwestyi: czy istnieją przestępcy niepoprawialni, taką się odznaczał gruntownością i objęciem rzeczy logiczném, że zyskał powszechne uznanie, zaprotokółowane na posiedzeniu ogólném kongresu. Dwaj nasi ziomkowie, A. Moldenhawer i J. Karnicki, opracowali jednocześnie ważną kwestyę cywilną o możliwém ograniczeniu władzy rodziców i opiekunów nad uwalnianemi z więzień po odbyciu kary nieletniemi, aż do ich pełnoletności. Mniejsza część z tych, którzy byli autorami referatów, przybyła na kongres.

W ciągu tygodnia, przeznaczonego na prace zjazdu, niepodobna

było, aby każdy z obecnych referentów powtarzał nawet w najzwięźlejszym skrócie swoje wnioski. Wszyscy, biorący udział w dyskusyach, przystępowali do nich obeznani jak najzupełniéj z treścią wszystkich referatów. Dla doprowadzenia obrad w najkrótszym czasie do rezultatów stanowczych, wyrobiła się przez nawyknienie pewna rutyna, pewien porządek obradowania, osnuty na podziale pracy na zasadach mniéj więcéj następujących. Wszystkie niby wybory na kongresie są po prostu fikcyą i odbywają się tak w sekcyach, jak na posiedzeniu ogólném, jak na dawnych elekcyach polskich, przez aklamacyę, ale bez używania *veto*. Ponieważ prezydyum kongresu należy do krajowca miejsca zjazdu (Gałkin-Wrasskij), więc przez grzeczność nie żaden z krajowców, lecz tylko cudzoziemcy mianowani są wice-prezesami ogólnego zgromadzenia, przewodniczącemi w sekcyach i ich zastępcami. Ponieważ cała waga instytucyi spoczywa w sekcyach, komisya organizacyjna wybiera i podaje dla przyjęcia przez aklamacyę wypróbowanych mistrzów w sztuce przewodniczenia z powagą i energią obradom, i stosowania regulaminu. Takich przewodniczących w sekcyach otrzymał kongres w osobach profesora z Utrechtu Polsa (I), duńczyka Goosa (II) i d-ra Jagemanna (III). Można się zapisać do kilku sekcyi jednocześnie. Kto chce brać udział w każdém posiedzeniu, powinien się podać do spisu obecnych. Regulamin daje prawo głosu mówcy w ciągu kwadransa. Po upływie pierwszych minut 10 mówca ostrzegany jest, by się śpieszył z wnioskami. Wyłączani w prezydyum, krajowcy przemagają w sekretaryacie i w składzie spółreferentów. Każdy przewodniczący ma przy sobie za stołem kilku sekretarzy, notujących treść głosów i wedle możności otrzymujących od samych mówców ich mowy w skróceniach. Każdą kwestyę poprzedza wygłoszona przez tak zwanego spółreferenta (*co-rapporteur*) ustna zwięzła relacya wszystkich opracowań przedmiotu ogłoszonych drukiem, opatrzona projektem decyzyi przez tegoż współreferenta proponowanéj. Wielkie znaczenie dobrego ustnego referatu zniewoliło komisyę organizacyjną do uorganizowania na miejscu w Petersburgu całkowitego korpusu spółreferentów, czy raczéj ustnych sprawozdawców, z samych miejscowych członków złożonego, gotowych albo do ustąpienia z placu, gdyby się znalazł pomiędzy przyjezdnymi jaki ochotnik, albo do referowania. Najzdolniejsi kryminaliści petersburscy podjęli się téj skromnéj funkcyi. Do téj organizacyi dużo się przyłożyło Towarzystwo prawnicze w Petersburgu, które wyznaczyło komitecik pod prezydencyą prof. Fojnickiego. Ten komitecik wszystkie 25 kwestyi programatu zbiorowo rozstrząsnął, rozdał do napisania wnioski w każdéj w nich swoim członkom i wydał te prace w osobnéj książce z 214

stronic, na parę miesięcy przed kongresem. Ponieważ ochotników z przybyłych gości znalazło się dość mało, więc w sekcyach referowali głównie spółpracownicy, którzy w ułożeniu téj książki uczestniczyli. Po wyczerpaniu zapisanych głosów i zamknięciu obrad, decydowano każdą kwestyę w sekcyi, albo przez wotowanie lub przez podjęcie rąk, albo gdy spory były gorące i kwestya miała szczególniejszą wagę, przez głosowanie imienne wedle spisu członków. Były wypadki, że sekcya nie mogła przyjść do żadnéj konkluzyi, bo się zdania równoważyły, albo rozstrzelały. Wtedy z głównych szermierzy tworzono podkomisyę, kwestyę przenoszono w sekcyi na czas późniejszy, wykreślając ją z porządku dziennego, podkomisya pracowała w godzinach przerw zajęć i zwykle stawała przed sekcyą z kompromisem do usankcyonowania.

Wszystkie prawie decyzye kongresowe mają i zalety i wady właściwe kompromisom, to jest że ostrza zasadniczych sprzeciwieństw zostają poodłamywane i że daje się rzeczy powierzchowna politura, pod którą trwać nie przestaje spór niezałatwiony, ale chwilowo zażegnany, spór, który się musi potém w innych terminach odnowić.

Posiedzenia sekcyjne trwały zrana od 9 do 12 godz., a często odbywały się i po południu od 3 do 5-éj. Po śniadaniu o 2-éj sekcye łączyły się w jedno ogólne zgromadzenie, które funkcyonowało niezmiernie szybko, można rzec galopem i raczéj fikcyjnie i *pro forma* decydowało o przyjętych przez pojedyńcze sekcye wnioskach w drugiéj instancyi. Stawał przed zgromadzeniem mianowany przez sekcyę referent, czytał decyzyę sekcyi, dawał potrzebne objaśnienia, a jeżeli w sekcyi decyzya miała oponentów, ci ostatni protestowali przeciwko decyzyi. W kilku razach zgromadzenie zawahało się, wskutek czego kwestye, jako niezałatwione, odesłano do następnego kongresu. Taki mniéj więcéj był mechanizm obradowania.

Wypada nam z kolei przypatrzyć się pobieżnie debatowanym na kongresie kwestyom i zaznaczyć, o ile można nazwięźléj wartość otrzymanych rezultatów.

W sekcyi 1-széj stała na samym początku kwestya międzynarodowa ekstradycyjna, kwalifikująca się raczéj do zjazdu tak zwanego Instytutu międzynarodowego, aniżeli do kongresu więziennego. Zagęściły się traktaty ekstradycyjne i rozpowszechniająca się ekstradycya staje się coraz bardziéj normą, a nie wyjątkiem, normą praktykowaną bez względu na wzajemność i nawet pomimo traktatów. Ponieważ jednak między prawodawstwami państw pojedyńczych zachodzi wielka rozmaitość, powstał pomysł, czyby nie można się porozumieć względem wprowadzenia jednakich nazw i jednakich określeń dla

przestępstw, mających figurować w przyszłych umowach ekstradycyjnych. Pomysł nieudolny i niepraktyczny. Nie troszcząc się wcale o jednostajność nazw i definicyi, państwa układały się coraz częściéj o ekstradycye parami, wymieniając w dwóch nazwach swoich języków narodowych przestępstwa nie zupełnie w określeniach jednakie, ale analogiczne (*vol-Diebstahl*, *faux-forgery*, *Mord-assassinat* i t. d.). W każdym danym przypadku państwo, od którego żądają ekstradycyi, rozważa, czy czyn wedle istoty swojéj ma cechy charakterystyczne przestępstwa i wedle karnego prawodawstwa państwa, gdzie czyn ten spełniony został i wedle karnego prawodawstwa państwa dotąd uciekł. Jeżeli tak jest, wtedy następuje ekstradycya. Zazwyczaj państwa wyłączają niektóre gatunki przestępstw, naprzykład przestępstwa polityczne, o które wcale w danéj kwestyi nie chodzi. Pomimo tych wyjątków poziom ekstradycyi obniżał się stopniowo przez traktaty i dzisiaj obejmuje zbrodnie i przestępstwa (*crimes et delits*), nie sięga tylko do wykroczeń (*contraventions*), bo te małéj wagi czyny karygodne nie zasługują na to, aby się niemi dwa państwa i dwa rządy w swoich wzajemnych stosunkach zaprzątały. Prawodawstwa karne poszczególnych krajów nigdy się nie ujednostajnią tak, aby doszły do zupełnéj jedności, cel wszakże zostanie dopięty, aby zbrodzień nigdzie nie znalazł przytułku, bo mord, fałszerstwo, kradzież, nadużycie zaufania i tak daléj zagrożone są karami we wszystkich prawodawstwach ludów cywilizowanych. Powoli z biegiem czasów przez obcowanie państw i narodów warunki życia społeczeństw ucywilizowanych będą coraz podobniejsze, co się niezawodnie odbije i w znaczném zbliżeniu się ku sobie wszystkich poszczególnych kodeksów karnych.

Przypuśćmy inny sposób wzięcia się do rzeczy: państwa dla uregulowania ekstradycyi, zbiérające się na kongres i układające definicye przestępstw cały świat jednako obowiązujące, ułożą niejako prawo karne jedyne wszechświatowe. Próba podobna nietylkoby nie przyśpieszyła postępów ekstradycyi, ale je stanowczo zatamuje, bo układy między rzeszą państw bezporównania idą trudniéj, i oporniéj, aniżeli pomiędzy jednostkami, układającemi się jedna z drugą i zgoda powszechna może odrazu ustalić się jedynie tylko na samych wyżynach kryminalizmu, to jest na niewielu najważniejszych przestępstwach, nie schodząc do pomniejszych. Dowody niepraktyczności propozycyi były tak mocne i oczywiste, iż sekcya wyraziła przekonanie: 1) że prawodawstwa karne nie dadzą się sprowadzić do jedynego typu, więc próżne są starania o wprowadzenie jednakiéj nomenklatury przestępstw i jednakich definicyi; 2) że wypadałoby, aby wszystkie prawodawstwa karne przyjęły do kodeksów ekstradycyą, jako normę,

z wyszczególnieniem w kodeksie za jakie czyny karygodne przestępcy będą wydawani nawet bez wzajemności i bez traktatów; nakoniec 3) że w przyszłości, z postępami ekstradycyi, same traktaty ulegną zmianie i wyszczególniać będą nie czyny karygodne, podpadające pod ekstradycyą, ale same wyjątki, to jest czyny od ekstradycyi wyłączone. Są jednakże umysły przeważnie dedukcyjne, które za punkt wyścia biorą uniwersalizm i rozstać się nie mogą z marzeniem o bezwzględnéj jedności i nawet o wszechświatowém jedyném prawodawstwie. W obronie uniwersalizmu wystąpili Francuzi (Dreyfuss, Reybaud), ustępowali teraźniejszości, wyłączali i rezerwowali przyszłość. Dla ich zaspokojenia już w sekcyjnych obradach sposobem kompromisu przyjęto do tezy pierwszéj dodatek, że dzisiaj, to jest obecnie, prawodawstwa karne nie dadzą się sprowadzić do jedynego typu. W ogólném zgromadzeniu pobita w głosowaniu mniejszość (37 głosami na 49) przyjmując trzy tezy przez sekcyę uchwalone, stawiła dodatkową czwartą: że kongres życzyłby jednak, aby kryminaliści różnych krajów wystudyowali społem, czyby nie można było dać jednakich nazw i definicyi przestępstwom, które mogłyby być przedmiotem ekstradycyi. I to założenie czwarte w skromnéj formie prostego życzenia zostało przyjęte mimo wyraźną sprzeczność z trzema poprzedniemi, bo jakże można zalecać do roboty środek już poprzednio uznany, jako bezowocny i utopijny, na który szkoda pracy i czasu. Rozwiedliśmy się nieco dłużéj nad kwestyą ekstradycyi, bo daje ona miarę do czego często prowadzą sztucznie kitowane kompromisy.

Przy załatwieniu się z 8-ą kwestyą sekcyi 1-éj, kongres co się nazywa, wykręcił się sianem, to jest dał rozwiązanie pozorne i zostawił rzecz po staremu, niby ją rozstrzygnąwszy, by nie przekazywać jéj w spuściźnie przyszłym kongresom. Więzień odsiadujący karę, może w czasie kary popełnić nową zbrodnię, zabić kogo, targnąć się na dozorcę, okraść, albo odmówić pracowania, upić się, naruszyć porządek więzienny. Wszystkie regulaminy nakazują władzy więziennéj praktykować w razie win pomniejszych, chociażby nawet stanowiących przestępstwa karne, pospolite w kodeksie karnym przewidziane, pewną karność dyscyplinarną wedle swego własnego uznania, bez nowego śledztwa, bez nowego procesu sądowego i bez nowego wyroku modyfikującego, dawniéj już zapadłą karę przez więźnia odbywaną. Program postawił zawiłe i trudne do zgryzienia zadanie: rozgraniczyć juryzdykcye dla przestępstw popełnianych przez więźniów, sądową i dyscyplinarną i określić, jakie przestępstwa prawa karnego pospolitego mogłyby być karane bez odniesienia się do sądów w drodze dyscyplinarnéj. Cel zadania widoczny: zmierzało ono w drodze prawo

dawczego opracowania regulaminów do ograniczenia dowolności władzy więziennéj w karceniu popełnianych w więzieniu przewinień, do wytknięcia w jakich razach władza ta powinna, nie uciekając się do własnych środków dyscyplinarnych, przekazać przestępstwo właściwemu sądowi. W sekcyi na wniosek przewodniczącego Polsa, przestawiono kwestyę na opak w duchu rzeczonego równouprawnienia więźniów z wolnymi ludźmi, i zdecydowano ją przecząco: nie potrzeba wyłączać od juryzdykcyi zwyczajnych sądów karnych przestępstw pospolitych, popełnianych przez więźniów, wyjąwszy jednak przypadki, w których te przewinienia przewidziane są przez regulamin. Darmo referent Szczegłowitow przekładał ogólnemu zgromadzeniu, że nie chodzi o nadwerężenie zasady równouprawnienia, ale o ograniczenie samego wyjątku, że jeżeli kwestya ta dla rozstrzygnienia jeszcze nie dojrzała, należy ją przekazać przyszłemu kongresowi. Ogólne zgromadzenie przyjęło uchwałę sekcyi, to jest właściwie wyrzekło się unormowania władzy dyscyplinarnéj więziennéj, która może, jeżeli w regulaminie nie są dosłownie wyszczególnione winy poddane środkom dyscyplinarnym władzy więziennéj, nic zgoła nie deferować sądowi karnemu i karać dowolnie za najpospolitsze a dużéj wagi przestępstwa.

Najmniéj było trudności z kwestyą 3-ą o uorganizowaniu wykładów nauki penitencyarnéj. Jest to widocznie część kryminologii, poświęcona wykonaniu kary. Część owa tak się rozrasta, że wypada aby miała odrębne katedry w uniwersytetach, osobne seminarya dla osób pragnących się poświęcić zawodowi dozorców, może nawet praktyczne kursa dla aplikantów i specyalne biblioteki przy zakładach więziennych, z dzieł wyłącznie więziennictwu poświęconych.

Wnioski w 2-éj kwestyi o pijaństwie, oparte na referatach w kształcie rozległych i wyczerpujących traktatów (prace Canonica, heidelberskiego profesora Heinzego), są takiego rodzaju, że trudno w czémkolwiek im zaprzeczyć: 1) stan upojenia sam przez się nie jest przestępstwem, chybaby się objawił publicznie w sposób grożący bezpieczeństwu publicznemu, albo skandaliczny i połączony z zakłóceniem spokoju i porządku publicznego; 2) można prawodawstwu zalecić użycie środków przymusowych, jako to umieszczenie nałogowych pijaków w przytułku leczniczym, albo w domu roboczym, stających się ciężarem dla dobroczynności prywatnéj czy publicznéj, albo niebezpiecznych; 3) wypadałoby obostrzyć odpowiedzialność szynkarzy za sprzedawanie napojów upajających, osobom widocznie już pijanym.

Uchwały w kwestyi 6-éj o przechowywaczach rzeczy drogą występną nabytych, gdyby zostały urzeczywistnione, ziściłyby dawne żądania kryminalistów; dają się one streścić w ten sposób: przechowywa-

nie podlega karze nie jako rodzaj wspólnictwa w główném przestępstwie, ale jako przestępstwo specyalne i ze stopniowém obostrzeniem kar w razie recydywy. Prócz tego powinny być obmyślane szczegółowe przepisy profesyonalne, zapobiegające przechowywaniu rzeczy drogą występną nabytych przez jubilerów, wekslarzy i tym podobnych ludzi, z zawodu swego najwięcéj mających okazyi do przechowywania cudzych rzeczy i wartości.

Kwestye 5 i 7 dotyczyły losu małoletnich, odpowiedzialności ich przed sądem i władzy rodzicielskiéj. Prawodawstwa powprowadzały drobne podziałki wieku do i po latach 10, 12 i tak dalej, z obowiązkiem stawiania sądzącym pytania, czy winowajca działał z pełną, czy nie zupełną świadomością. Przyjęto system francuski, bardzo prosty, jedynéj tylko normy wieku lat 16. Po dojściu do tego wieku, winowajca podlega karze, którą sąd wymierzając względem ludzi w wieku od 16 do 20 lat zostających, posiadać winien jak najszerszą władzę dyskrecyonalną, aby mógł wedle swego uznania poprzestać na najlżejszym środku karnym — strofowaniu, albo wymierzyć pełną karę, jaką ponoszą ludzie dojrzali. Względem obwinionych nie mających lat 16, sąd nie wyrokuje o winie lecz tylko orzeka, czy mają być wzięci pod publiczną opiekę, i przez nią wychowani, albo czy potrzebują oddania do zakładu poprawczego dla nieletnich. W ścisłym stosunku z temi proponowanemi zmianami, kongres sięgając w głąb prawa cywilnego chce i zaleca, aby sądy miały przyznaną sobie atrybucyę usuwania dzieci z pod władzy rodzicielskiéj, skoro się przekonają o złym i gorszącym wpływie rodziców i oddawania tych dzieci bądź do zakładów poprawczych, bądź do wychowawczych na czas pewien, nie przechodzący kresu pełnoletności cywilnéj, oraz skazywania rodziców na opłacanie alimentów na utrzymanie ich dzieci.

Z góry już odgadnąć było można, że najzaciętsze boje stoczą się na gruncie 4-éj kwestyi w materyi nowéj, dopiéro przed niewielu laty poruszonéj, o karach za pomniejsze przestępstwa, warunkowo zawieszanych w wykonaniu, pókiby osądzony na karę, nowemu nie uległ powtórnemu skazaniu. Od niejakiego czasu zaczęło coraz bardziéj rozpowszechniać się przekonanie o złych skutkach i niewłaściwości kar więziennych krótkich, od kilku dni do kilku miesięcy, któremi hojnie szafuje dzisiejsze prawo karne. Pozbawienie swobody, by mogło wywrzéć wpływ skuteczny, powinno trwać przynajmniéj pół roku, w przeciwnym razie hańbi tylko człowieka jeszcze nie zepsutego i demoralizuje go przez zaraźliwe zetknięcia z innymi bywalcami więzień. Myślano nieraz i na seryo, czém te chwilowe uwięzienia zastąpić. Za przykładem amerykańskiego stanu Massachusets, Anglia wprowadziła

przez *Probation of first offenders act* z 7 sierpnia 1887 ten system, że jeżeli obwiniony o przestępstwo nie pociągające dłuższego uwięzienia nad dwa lata, nigdy przedtém nie był karany, a jest zamożnym i osiedlonym człowiekiem, sprawa jego w sądzeniu się zawiesza, oskarżony przyrzeka, że będzie się prowadził nieposzlakowanie i składa kaucyę na pewien okres czasu kilkoletni. Jeżeli dotrzyma, sprawa się umarza, jeżeli nie dotrzyma, kaucyę traci i sprawa jego dawniejsza, która została zawieszoną, odzyskuje swój bieg przerwany. Inaczéj się wywiązał z tego samego zadania kodeks karny włoski z 1889 r., który przyjął system sądowych napomnień czyli admonicyi. Sąd na posiedzeniu publicznéin surowo upomina winowajcę i bierze od niego zobowiązanie do dobrego prowadzenia się nadal, za kaucyą albo za poręką na pewną sumę, daną przez ludzi poważnych, a płatną w razie uchybienia zobowiązaniu. Jeżeliby się winowajca wcale do sądu na publiczną naganę nie stawił, albo stawiwszy nie przyjął jéj z pokorą, sąd ma prawo zamiast nagany, wymierzyć prawem przepisaną karę. System włoski nie zyskał we Francyi uznania. Kaucya jest w każdym razie tylko odkupieniem się od kary pieniężnéj, upomnienie zaś samo przez się jest przebaczeniem upokarzającém, albo dla strofowanego, gdy ten jest człowiekiem honorowym, albo dla sądu, gdy strofowany wcale nie dba o żadne nagany.

Nakoniec wynaleziony został jeszcze nowy sposób rozwiązania zadania przez zawieszenie nie sądu ale wykonania kary. Środek ten zaprojektował słynny kryminalista francuski Beranger, popierali go Prins w Belgii, Liszt w Niemczech i cała *Union internationale du droit penal*. Zaakceptowało go prawodawstwo Belgii w ustawie z 31 maja 1888 r., a właśnie podczas posiedzeń ostatniego kongresu doszła wiadomość, że ten system został przyjęty i we Francyi. Wspomniane prawo belgijskie stanowi, że skoro winowajca nigdy przedtém nie karany, podlega karze pieniężnéj, albo i więziennéj, nie przenoszącéj 6 miesięcy zamknięcia, sąd może zawiesić wykonanie téj kary na czas nie przenoszący 5 lat, po upływie którego kara się umarza, pod warunkiem, że skazany nie popełni przez ten czas nowego przestępstwa. W tym ostatnim przypadku winowajca ponosi obie kary wedle prawideł dla zbiegu kar przepisanych. Komisya organizacyjna kongresu uprosiła Liszta o specyalny w téj kwestyi referat. U nas, na wschodzie europejskim wszelka nowość popłaca, więc komitet towarzystwa prawniczego petersburskiego oświadczył się za zawieszeniem kary jednogłośnie i z entuzyazmem, chociaż bardziéj niż gdziekolwiek bądź dalecy jesteśmy od praktycznego zastosowania zasady, wskutek nowego prawa z 19 lipca 1889 r. o naczelnikach ziemskich, które daje

szerokie zastosowanie karze cielesnéj w niższéj klasie społeczeństwa, zaś wedle zasadniczéj idei świéżo kreowanéj instytucyi, stosuje się ona tylko do kar więziennych i pieniężnych. Niemcy są wogóle przeciwni inowacyi, Duńczycy i Holendrzy toż samo, między Włochami zdania były na kongresie bardzo rozstrzelone. Pp. Pols i Brusa zbijali samą podstawę, samą ideę zawieszenia kary. Twierdzono, że jeżeli krótkie kary więzienne demoralizują przez obcowanie nowicyuszów ze stekiem społeczeństwa, nie należy sadzać skazywanych do ogólnych więzień, lecz wypada trzymać ich w areszcie samotnym, odosobnić; że zamierzone kary są to nie kary, lecz cienie kar, zaś sąd karny operuje za pośrednictwem samych kar, nie zaś przez ich widma, że sąd ten sądzi a nie ułaskawia, niech ma najszerszą władzę indywidualizowania kary, doprowadzania jéj do *minimum*, musi przecież tak działać, aby coś z téj kary pozostało, aby się uwidoczniała fatalna, ale zbawienna jéj konieczność, innemi słowy, aby świadomie dla ogółu prawo miało moc obowiązującą i niezaprzeczoną skuteczność. Niech w drodze łaski skazany a zasługujący na folgę nieposzlakowany przedtém winowajca prosi o ułaskawienie i niech to ułaskawienie dawane będzie przez rząd w drodze administracyjnéj i hojnie i często, niech tylko sąd nie pozbywa się grozy, którą wpływać na społeczeństwo powinien. Z tych kilku rysów łatwo się domyśléć, jak gorące były w sekcyi I-éj rozprawy, które trwały dwa dni prawie całe. Głosowano nietylko imiennie, ale pisanemi kartkami, system włoski napomnień został odrzucony, system skazań warunkowych upadł co do przestępstw (*delits*), utrzymał się małą większością co do wykroczeń (*contraventions*), w ogólném zgromadzeniu nie ostał się on nawet w tak okrojonéj formie. Na wniosek Polsa przekazano rzecz całą jako nie załatwioną przyszłemu kongresowi. Główna więc kwestya téj sekcyi nie dała żadnego rezultatu.

Przechodzę do sekcyi 2, obejmującéj wewnętrzną ekonomią i politykę więzienną. W grupie programowych zajęć téj sekcyi centralne miejsce zajęła kwestya 6 o tém, czy mogą, być jacykolwiek przestępcy za niepoprawialnych poczytywani i jeżeli mogą to jak należy ich traktować. Kwestyę tę wywołały surowe i niemiłosierne, a fatalistyczne prawie poglądy szkoły antropologicznéj włoskiéj, zarzucające kryminalistyce jéj sentymentalność i nadużycie we wszelkich wątpliwościach przypuszczeń, sprzyjających tak oskarżonemu, jako i przekonanemu winowajcy. Ponieważ na kongres nie przybył żaden ze znanych wyznawców tych teoryi, kwestya dałaby się bez zachodów załatwić przez najprostszą negatywę. Są zatwardziali zbrodniarze, nie dający żadnéj nadziei poprawy, ale nauka nie wynalazła cech, ani psychicznych,

ani fizyologicznych, niezaprzeczenie znamionujących potworność moralną, albo ostateczne zwyrodnienie. Gdyby nawet istniał taki gatunek ludzi, nie wpłynęłoby to wcale na prawo karne, bo aniby mógł zastosować tego pojęcia prawodawca, mający do czynienia nie z żywemi osobami, lecz z oderwanemi, możliwemi przestępcami, ani sędzia, który wyrokuje o oskarżonym tylko z jednego jego czynu, rozpoznanego pobieżnie w krótkich chwilach posiedzenia sądowego, ani tém bardziéj przełożony nad więzieniem, który zwykle sądzi o więźniach tylko ze strony ich ulegania dyscyplinie. Duński przełożony domu penitencyarnego Ammitzböll w referacie wyraził się, że o żadnym z mnogich tysięcy skazanych, którzy przez jego ręce przechodzili, nie mógłby sumiennie powiedziéć, że jest ostatecznie niepoprawialnym, toż samo powtórzył na posiedzeniu sekcyi człowiek fachowy, wielkiéj powagi belgijczyk Stevens, przełożony nad penitencyaryum w St. Gilles. Ostatecznie wszyscy godzili się, że oderwana kwestya o poprawialności ludzkiéj wogóle, jako kwestya czysto metafizyczna, powinna być zupełnie z badania usunięta i że wedle trafnego wyrażenia pani Arenal, są tylko skazani poprawiający się albo niepoprawieni (*incorrigés*). Niepoprawialność nie może miéć miejsca nawet jako prosta prezumpcya, trwająca, dopóki teza przeciwna nie zostanie dowiedzioną. Skoro są jednak niezawodnie skazani niepoprawieni, na których całkiem nie działają żadne środki poprawy przez karę, do dziś dnia wiadome i praktykowane, a liczba takich winowajców stopniowo wzrasta, o czém świadczą cyfry statystyczne recydyw, które ostatecznie są jedyną prawie cechą odznaczającą niepoprawionych i jedynym stanowczym sprawdzianem ich niepoprawności, więc przyszedł kongres łatwo i jednogłośnie do drugiego założenia, że należy zalecić prawodawstwu obmyślenie specyalnych środków przeciwko opierającym się akcyi karnéj i penitencyarnéj, nałogowym i jakby profesyonalnym przestępcom. Trzeci rezultat dodatkowy, polegał na wyszczególnieniu środków, do wystudyowania zalecanych przez kongres, względem zatwardziałych i opornych złoczyńców, w każdym kraju odrębnie wedle jego warunków i środków tak administracyjnych jako i sądowych. Do pierwszych należéć powinnyby domy przytułku dla osób nie zdolnych z pracy się utrzymać, zmknięcie w domach pracy przymusowéj żebraków, włóczęgów i tym podobnych. Do drugiego rodzaju środków należałyby przedłużenie zamknięcia więziennego, albo zesłanie w odległe strony, wszakże z zachowaniem dla skazywanych wszelkich prawnych rękojmi służących więźniom wogóle, a więc i z prawem odzyskania swobody stopniowo, wedle prawideł więziennych i karnych, przez dobre prowadzenie się.

Rozwiązanie kwestyi 6 o niepoprawionych jest ciekawym okazem tego, jak po długich dyskusyach dają się rozwiązywać niby zawiłe zadania w sposób, na który można byłoby się zdobyć prawie odrazu zdrowym rozumem gospodarskim. Inne prawie wszystkie kwestye téjże sekcyi dają w rezultacie to, co Anglicy nazywają truizmami, to jest pewniki jasne jak słońce i nie rodzące najmniejszych wątpliwości. Pytamy, zaliż można w jakikolwiek sposób zbijać tezy następne, które przytoczymy w całym szeregu dla przykładu:

1) Praca dla więźniów przymusowa jest konieczna; najlepszą organizacyą prac więziennych zdaje się być rządowe przedsiębiorstwo, nie zaś wynajmowanie tych prac przez przedsiębiorców prywatnych. Nawet przy tym ostatnim systemacie, wynajmujący nie powinien panować nad robotnikami ani ich wyzyskiwać bezpośrednio. Najwłaściwszą byłaby taka organizacya, w któréjby rząd był i producentem i konsumentem wyrobów więziennych. W ten sposób prace więzienne nie będą szkodziły przez konkurencyę wolnemu przemysłowi krajowemu (kwestya 1 i 2).

2) Osoby więzione prewencyjnie przed wyrokiem powinny być oddzielone od karanych i nawet wedle możności odosobnione jedne od drugich, chybaby same życzyły albo potrzebowały towarzystwa z powodu słabości czy wieku. Więźniowie w toku badania zmuszani do pracy być nie mogą. Uwolnieni z aresztu prewencyjnego mogą korzystać z opieki patronatów (kw. 7).

3) Zamknięcie na długie terminy zaczyna się od form najcięższego całkiem celkowego, i postępuje stopniowo w miarę dobrego prowadzenia ku odosobnieniu tylko nocnemu, nakoniec ku warunkowemu wyzwoleniu od reszty kary. Zalecają się prace więźniów na otwartém powietrzu, ale bez zetknięcia się karanych z miejscową ludnością wolną (kw. 4).

4) W więzieniach powinien być praktykowany system nagród i zachęt jaknajrozmaitszych, dochodzących nawet aż do dysponowania cząstką zarobku (kw. 3).

5) Urzędnicy więzienni, naczelnicy i dozorcy, powinni być dobrze wykształceni, pierwsi z nich naukowo i teoretycznie, a drudzy szczególniéj praktycznie; jedni i drudzy powinni być dobrze płatni. Na dozorców zalecają się wedle możności dymisyonowani wojskowi (kw. 4).

Kwestya co do typów uwięzienia dla skazanych na bardzo długie terminy, albo dożywotnio, odesłana została, jako niedostatecznie dojrzała, do przyszłego kongresu.

Urzędowy delegat francuski Iverness i Beltrani Scalia wypracowali formy międzynarodowéj statystyki penitencyarnéj, przez kongres

aprobowane. Ma być opracowany w ten sposób rok 1892, wedle danych dostarczanych przez państwa biorące stały udział w kongresowaniu, przez główny zarząd więzienny państwa, gdzie się przyszły kongres odbędzie, to jest Francyi.

Jeżeli program sekcyi 2-éj składał się z dość bezbarwnych ogólników, to w programie sekcyi 3-éj stały najmgławsze obrazy o zaledwie zaznaczonych zarysach. Główne środki dobroczynności publicznéj, zapobiegające przestępstwom, redukują się do pieczy o zaniedbanych albo opuszczonych dzieciach i do patronatów dla więźniów, którzy odsiedzieli kary i wchodzą znów do społeczeństwa z odstraszającém piętnem tych kar, utrudniającém im znalezienie zajęcia. W państwach, które albo wcale nie posiadają odległych krain, dokądby mogły wyrzucać zepsute odpadki swojego społeczeństwa, mało troszcząc się o dalsze ich losy, albo które zniewolone były zrzec się tego bardzo łatwego, ale bardzo niedoskonałego sposobu jak naprzykład Anglia, albo które już stoją na punkcie konieczności wyrzeczenia co najrychlejszego, jak naprzykład Rosya, w chwili obecnéj przechodząca od systematu prostéj ewakuacyi do systematu asenizacyi odpadków, żaden system karny nie zda się na nic bez spółdziałania rządowi sił i potęg społecznych, bez bardzo gorliwych i pilnych patronatów, biorących wyzwolonego skazańca za rękę i pomagających mu troskliwie a przezornie, by się przyzwoicie umieścił. Z wyjątkiem Angii, nigdzie dotąd na kontynencie europejskim patronaty nie doszły do należytego rozwoju i nie spełniają nawet połowy przypadających im funkcyi, Rosya ich wcale nie posiada, nikt nie wié, ani pomyślał jak je tworzyć; więc wszystkie rokowania o tém jak mają patronaty każdego kraju organizować się,ześrodkowując się w pewnym organie centralnym, jak się powinny jednoczyć i wspomagać centralne organy patronatowe wszystkich pojedyńczych krajów, układając się w międzynarodowy związek patronatowy, w jaki sposób powinny się urządzać stosunki tych patronatów z władzami karnemi, policyjnemi i instytucyami dobroczynności prywatnéj i publicznéj,—mogły interesować miejscową publiczność tylko pośrednio, jako rzeczy ciekawe, jako postępy cywilizacyi europejskiéj, z których tymczasem nie można wyciągnąć wniosków użytecznych praktycznie. Kongres zalecił czynną szerzyć propagandę, na korzyść więźniów za pomocą instytucyi penitencyarnych oraz zakładania patronatów, w kościołach przez kazania dusz-pasterzy, w prasie przez gazety, studya, konferencye (kw. 6), radził dla pojedyńczych krajów zjazdy czy kongresy z przedstawicieli patronatów i służb: sądowéj, policyjnéj, oraz zakładów dobroczynności, dla skombinowania usiłowań w celu opiekowania się wyzwolonemi więźniami (kw. 2) i potrzebują-

cemi pomocy rodzinami przestępców odsiadujących karę (kw. 4); radził patronatom, aby się jednako opiekowały i krajowcami i cudzoziemcami (kw. 1), a gminom, prowincyom i państwom, aby zakładały i utrzymywały domy pracy dla chcących pracować robotników (kw. 2). Po wymownym referacie p. Voisin'a kongres wyraził życzenie, aby ani policya, ani sądy nie ogłaszały prywatnym ludziom szczegółów o stanowczo, albo warunkowo wyzwolonych osobach, zaczerpniętych z ich akt sądowych (*cahiers judiciaires*), żeby policya nie zbiérała wiadomości o tych osobach i prowadzeniu się ich od przełożonych i właścicieli fabryk i warsztatów, ale zasięgała je od patronatów z odpowiedzialnością tych ostatnich za te wiadomości, nakoniec, aby dla dobra samych wyzwoleńców patronaty używały, opiekując się nimi, pomocy organów policyi bezpieczeństwa i porządku publicznego (kw. 5). W kwestyi 7 o opiekowaniu się dziećmi zaniedbanemi, albo opuszczonemi, uradzono kombinować oddawanie ich do domów prywatnych na wychowanie, z oddawaniem ich do specyalnych zakładów publicznych wychowawczych, z warunkiem, aby w tych ostatnich stroniono, o ile możności, od sposobu wychowania tak zwanego „pułkowego", a starano się o kształcenie ich małemi grupami. Kongres załatwił się pobieżnie z kilku kwestyami 2 sekcyi, proponowanemi przez rząd japoński, reprezentowany na kongresie przez posła Nissi, i przyjął przez aklamacyę kilka nowych tez, zaleconych przyszłemu kongresowi, o zniesieniu kary śmierci, o karach tak zwanych wieczystych (*perpetuelles*), o sposobach taksowania pracy więziennéj, nakoniec o środkach międzynarodowych zaopiekowania się dziewczętami, przyjeżdżającemi z kraju jednego do drugiego dla uczciwego zarobku, a pociąganych do rozpusty przez spekulujące na to osoby i agencye.

Do szeregu poważniejszych zajęć, nie zaś rozrywek, zaliczamy po raz pierwszy na kongresie petersburskim wprowadzone przez zaproszonych o to członków zjazdu, publiczne odczyty o rzeczach, zadaniach i systemach penitencyarnych. Zagajony w niedzielę 15-go czerwca n. st., kongres użył na posiedzenia czynnych dni 7 i zamknięty został uroczyście 24 czerwca.

Śród spólnych robót zawiązały się niespodziane znajomości, wytworzyły się stosunki miléj choć przelotnéj zażyłości, żegnano się nierzadko słowami: „do widzenia za lat 5 w Paryżu" — niektórzy dodawali: „a za lat 10 może za Atlantykiem albo w Tokio." Nic nie ma niepodobnego pod słońcem, wszakże uczestniczył w kongresie poseł japoński, rodowity japończyk, doskonale mówiący po rosyjsku, zaś wszyscy prawie inni przybysze zagraniczni dawali sobie radę bez uciekania się do miejscowego języka, posługując się jedynie francuskim,

który odegrał rolę mowy wszechświatowéj, czemu się poddawali nawet Niemcy bez żadnéj opozycyi.

Załatwiliśmy się ze stroną kongresu treściową i techniczną, a teraz dodajemy parę słów końcowych o zewnętrznych warunkach zjazdu, o jego wyglądzie, o stronie jego dekoracyjnéj, o towarzyszących mu rozrywkach i zabawach. Kongres odbywał się w obszernym gmachu, należącym do korporacyi szlachty gubernii petersburskiéj, — sekcyjne zgromadzenia miały swoje pokoje, ogólne zgromadzenie zbiérało się w sali sejmikowéj, używanéj także na publiczne bale i koncerty. Salę tę, o białych kolumnach koryntckich, jedną z największych w stolicy, zdobią portrety byłych zasłużonych marszałków szlachty i wielki posąg spiżowy Katarzyny II-éj. Po za pięknie przybraną estradą, po za stołem prezydyalnym stała mało co zmniejszona kopia pomnika na placu publicznym w Chersonie, wzniesionego na cześć angielskiego filantropa i reformatora więzień, Johna Howarda, zmarłego przed stu laty (1790) i pochowanego o parę wiorst od tego miasta na stepie, prosty z kamienia obelisk z bronzowym medalionem, mieszczącym popiersie zacnego nieboszczyka. W téj wielkiéj sali, mogącéj mieście do 3,000 osób, w przytomności Jego Cesarskiéj Mości, członków rodziny panującéj, dworu, dyplomatów, prawie wszystkich ministrów i wysokich urzędników, zagaił posiedzenia mianowany honorowym prezesem zjazdu Wielki Książę Aleksander Oldenburski. Tu w téjże sali odbywały się téż i cztery odczyty publiczne. O kilkadziesiąt kroków od tego lokalu, przez ulicę, w Hotelu Europejskim, największym jaki stolica posiada, mieściło się czasowe biuro komisyi penitencyarnéj i przygotowany był dla gości szereg pokojów, przeznaczonych dla schodzenia się członków kongresu i dla wieczornych ich biesiad i rozmów. Teatry były w Petersburgu już z powodu lata zamknięte, ale gościom stały otworem Ermitaż i Pałac Zimowy, muzea, służyły im specyalne parowce, które ich woziły oglądać newskie ostrowy, wodotryski i osobliwości Peterhofu. Interesujący się budownictwem więzienném i przyrządami systematu karnego, nie omieszkali zwiedzić gmachu instytucyi sądowych w dawnym arsenale na ulicy Litejnéj, wraz z przyległym domem aresztu celkowego dla inkwizytów, dawne więzienie miejskie tak zwany „Zamek Litewski,“ przerobione dziś na bardzo czynną fabrykę więzienną, całkiem nowy i jak z igły zdjęty dom penitencyarny na „Wyborskiéj stronie“ nad samą Newą, składający się z dwóch odrębnych budynków trzypiętrowych w kształcie krzyżów, mieszczący w sobie do 900 celek, dla zostających w zamknięciu samotném, opatrzonych w warsztaty tkackie, stolarskie i inne; nakoniec specyalnie z powodu kongresu urządzono

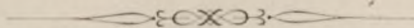
olbrzymią wystawę międzynarodową więzienną w ujeżdżalni Michałowskiéj.

Przybyszów fetowano, podejmowano i można rzec nawet, iż do zbytku okarmiano. Prezydent honorowy kongresu, W. Ks. Oldenburski, dał wielki obiad dla członków, miasto uczciło ich zabawą wieczorną i obiadem w wielkiéj sali ratuszowéj, obiad na 700 osób był dla nich podany w Pałacu Zimowym, zagraniczni goście i prywatni członkowie kongresu zaprosili komisyę organizacyjną na śniadanie, komisya żegnała téż śniadaniem członków na rozjezdném, — a wszystko to w ciągu jednego tygodnia. Rozjeżdżających się i nieskrępowanych czasem czekały równie gościnne przyjęcia w Helsingforsie i w Moskwie, dokąd po zamknięciu kongresu urządzono systematyczne wyprawy.

Dziś gdy zjazd cały należy już tylko do historyi i zostało zeń w pamięci blade, stopniowo zacierające się wspomnienie, nasuwa się wątpliwość, czy sama rzecz była warta dalekiéj jazdy, tylu zachodów i nakładów. Nie podlega najmniejszéj wątpliwości, że uczestniczący w zjeździe byli zeń osobiście bardzo zadowoleni, że się zabawiali wybornie, że każdy z nich osiągnął korzyści, które dają obcowanie z nowemi krajami i nowemi ludźmi. Niewątpliwie przyszły kongres liczyć będzie jeszcze większą ilość ochotników. Ale dla ogółu, dla sprawy więziennéj, dla dobra publicznego, czy będzie jaki dodatni nabytek? czy można będzie z przekonaniem zaprzeczyć zarzutowi w rodzaju następującego: *nil nisi verba*. Sądzę, że można będzie to uczynić poważnie i stanowczo. Fałszem jest, jakoby prawda się krzesała, jak iskra z krzesiwa, ze starcia się zdań; nowe pomysły nie rodzą się z kongresów, lecz wytrwarzają w utalentowanych głowach pojedyńczych osób; ale przez starcie się zdań świat się poleruje, kongresy pomagają znakomicie do spopularyzowania pomysłów już będących w obiegu. Nim kongres się zebrał, już z urzędu i z ochoty pracowały nad zagadnieniami jego liczne głowy, mnóstwo tematów przeszło przez gazety, nieznane kwestye poruszyły publiczność, rozniosły się we wszystkie strony świata i przez powtarzanie a naśladowanie rozpowszechniły się olbrzymio. Wytworzony ruch jest niezmiernie szeroki, cóż stąd, że nie bardzo głęboki, wszakże te dwa przymioty nigdy nie idą w parze. Więc nawet i przy drobnych pod względem jakości rezultatach, pocieszać się należy przeświadczeniem, że się zajmowano rzeczą pożyteczną i nie całkiem napróżno, nie całkiem bezowocnie.

Lemieszówka na Podolu, 11 lipca 1890 r.

*W. Spasowicz.*





# POPRZEDNICY DANTEGO.

Świadectwa Pisma Św. i Ojców Kościoła o krainie cieniów są bardzo skąpe i zostawiają bardzo szerokie pole dla domysłów i polotu fantazyi. Głęboka wiara i umysł dziecinnie ciekawy średniowiecznego społeczeństwa nie mogły poprzestać na ogólnikach; męki piekielne i rozkosze rajskie musiały się przyoblec w zmysłowe kształty i zapanować nad wyobraźnią. Starożytność mało interesowała się tém, co czeka duszę człowieka w wieczności; wiadomości o tém u greckich i rzymskich pisarzy są bezbarwne, a z poetycznych kreacyi najlepszą jest Wergiliusza. Zaniepokojony umysł wyszukiwał najdrobniejszych wzmianek i z nich czerpał wątek dla fantastycznych opowiadań; ustęp z listu św. Pawła do Koryntyan posłużył za temat dla wizyi, przypisywanéj temu świętemu [1]). Imię apostoła nadawało podaniu urok w oczach licznych czytelników i rozpowszechniało ją w szerszych kołach. W pierwszéj fazie rozwoju wizyi domniemanemi widzami mąk piekielnych byli święci, najbardziéj popularni (Paweł, Patryk, Alberyk i t. d.), z czasem jednak po nieznanéj krainie zaczynają wędrować i ludzie świątobliwi, ku zbudowaniu innych. W celach moralno-dydaktycznych nie poprzestano na tém: ludzie źli, rozpustni, ale nie zupełnie pozbawieni uczuć religijnych, nawracają się i pokutują, ujrzawszy, za łaską boską, to, co ich czeka po śmierci. Niektóre miejsca, np. jaskinia św. Patryka, ze względu na pewne własności fizyczne, od czasów jeszcze pogańskich nie przestawały zwracać zabobonną uwagę gminu, jako siedlisko złych duchów. Duchowieństwo uświęciło gawędy gminne, dowodząc, że jaskinia ta do piekła prowadzi i że św. Patryk nawrócil pogan, dając im możność ujrzéć tam wszystko, co

---

[1]) Por. artykuł: „Wizya średniowieczna“. Ateneum, paźdź. 1888 r.

ich po doczesném życiu spotkać może. Kiedy zaś wiara w wizye osłabła, stały się one narzędziem dydaktyki i satyry; walka polityczna wprowadza polemikę i wyraźną tendencyę do tych utworów: znane są ustępy w „Boskiéj Komedyi", gdzie poeta występuje przeciw osobistym i politycznym wrogom. Podajemy próbę klasyfikacyi wizyi w myśl wyżéj wypowiedzianym uwag.

Naiwna wiara, zaciekanie się w pobożnych rozmyślaniach zrodziły kilka wizyi, które kontemplacyjnemi nazwać można; cechuje je wielka bezbarwność, niski polot fantazyi i nieśmiałość myśli; znać, że wyszła z celi klasztornéj, z dusznéj atmosfery anachorety, przygnębionego groźnemi widmami. Dydaktyczne wizye pragną dać naukę moralną czytelnikom; bohaterami często bywają grzesznicy lub ludzie, słynący z gwałtownych namiętności; do téj kategoryi można zaliczyć i takie, które miały na celu przytłumić pogańskie reminiscencye. Polityczne wizye przeważnie za panowania Karola Wielkiego i jego następców powstały; w wizyach ułożonych przez księży, przyjaznych wielkiemu cesarzowi, znać pragnienie usposobienia na jego korzyść opinii publicznéj; przy następcach Karola, którzy nie umieli dać sobie rady z klerem, ten ostatni nierzadko ostro przeciwko nim występuje; wizye stanowią tu pokaźną broń. Nadużycia formy wizyi wywołały w łonie świeckich stanów reakcyę, która karciła duchowieństwo, stawiając je pod pręgierzem śmiechu, lub gryzącéj ironii i walcząc przytém bronią przeciwników, t. j. bez litości skazując ich w wizyach na męczarnie piekielne.

Pragnęlibyśmy zaznajomić czytelnika z temi wizyami, które niezaprzeczenie stały się źródłem dla Dantego. Jakkolwiek źródła te są bardzo liczne, nie można wszelako z jednakową pewnością o wszystkich mówić; nie ulega zresztą wątpliwości, że autor „Boskiéj Komedyi" znał, oprócz wizyi św. Pawła (kontemplacyjna), wizyę św. Brandana, Tundala, czyściec św. Patryka i wizyę św. Alberyka; przynajmniéj wynika to z zestawienia pojedyńczych ustępów i ogólnego planu, który szczególniéj do planu wizyi Alberyka i Tundala jest zbliżony. Zgadzają się w tym punkcie tacy badacze, jak Lobitte, D'Ancona, Ozanam i Wribgt. Sam Dante wspomina tylko o wizyi św. Pawła.

---

Najbujniejsze kwiaty fantazyi, najwspanialsze pomniki literackie zawdzięczamy północy i południowi. Na południu jaśnieją one tęczowemi barwami, w obfitém oświetleniu zdumiewają bujnemi a niekiedy i potwornemi kształtami; na północy szklą się zimnemi brylantami, olśniewają jednostajnym a uroczym blaskiem i nęcą oryginalną monotonnością. Na północy zrodziły się pieśni skaldów, mitologiczne

hymny, bohaterski epos i bojowe pieśni wikingów. Na północy powstały trzy ze wskazanych wizyi. Zacznijmy od wizyi św. Brandana. Arcy-katolicka i pobożna Irlandya przepełniona była zawsze legendami o świętych i licznemi cudami; wizye św. Brandana, Tundala i św. Patryka téj wyspie zawdzięczają swoje istnienie. Najstarszą jest wizya św. Brandana (XI w.), ułożona przez kleryka i bardzo popularna w klasztorach. Ozanam nazywa ją trafnie klasztorną Odysseą. Wiara w wędrówki tego świętego była tak silna, że nawet na mapach geograficznych umieszczano wyspę fantastyczną a w XVIII w. (r. 1721) z Hiszpanii dla wyszukania jéj posłano flotyllę [1]). Święty mnich irlandzki porzucił brzegi swéj ojczyzny, żeby szukać obiecanéj ziemi. Po długiéj podróży przypływa on do raju ptaków, t. j. zamienionych w ptaki aniołów, którzy podczas buntu Lucypera zachowywali się biernie. Następnie widzi św. wędrowiec wyspę, gdzie czarni kowale kują potępieńców. Wśród oceanu, miotany falami, siedzi Judasz [2]), który wszakże w niedziele i święta ma odpoczynek. Na bezludnéj wyspie spotyka Brandan pustelnika Pawła; ten mu nie skąpi rad i wskazówek, jak trafić do raju. Raj Brandana znajduje się także na wyspie i jest właściwie tym Edenem, z którego pierwsi rodzice wygnani zostali.

Daleko obfitszą w ciekawe szczegóły, bardzo zbliżone do niektórych epizodów „Boskiéj Komedyi“, jest legenda o Tundalu. Przygody św. Pawła, Brandana i innych interesowały szerszą publiczność, która w bohaterach nie przestawała widzieć ludzi świętych, a więc cieszących się względami nieba, które dla ich cnót i dla przykładu innym zezwalało niekiedy zwiedzić otchłanie piekielne i sfery niebieskie. W legendzie o Tundalu po raz pierwszy dostępuje téj ła-

---

[1]) St. Brandan. Eine lateinische und drei deutsche Texte her. v. Schröder. Erlangen 1872. Jubinal: Legende latine de St. Brandaines etc. 1836. Włoskie teksty u Jubinala i Villari: Antiche leggende e tradizioni.

[2]) We włoskim tekście Judasz opowiada swą biografię: zabił on własnego ojca i poślubił matkę (Edyp, Grzegorz), miał z nią dzieci, był rzezimieszkiem, zbójcą, lichwiarzem, późniéj uwierzył w Zbawiciela i stał się Jego uczniem. Chrystus przeznaczył na jego utrzymanie dziesięcinę ze zbiorów, wpływających na korzyść apostołów. Judasz uważał siebie za skrzywdzonego, kiedy nie otrzymał swéj części z wonności, któremi Marya namaszczała nogi Chrystusowe; postanowił więc wynagrodzić sobie tę stratę i wydać Jezusa. Nie wiedział on jednak, że ta zdrada będzie przyczyną śmierci mistrza. Dowiedziawszy się o wyroku, Judasz z żalu i rozpaczy obwiesił się. Godném jest uwagi, że tradycya ludowa broni Judasza i robi z niego nie skończonego złoczyńcę, ale chciwca, po za tą wadą nie pozbawionego ludzkich uczuć i miłującego Chrystusa (Por. La leggenda di Vergogna e di Giuda. Bologne. 1869).

ski grzesznik zatwardziały, rycerz niepohamowanych namiętności i człowiek występny. Wizya Tundala jest najpopularniejsza ze wszystkich znanych dotąd; liczne rękopisma i przeróbki pozwalają wyznaczyć téj wizyi pierwsze miejsce w szeregu innych.

W 1149 r. żył w Irlandyi rycerz szlachetnego rodu, urodziwy, mężny, ale niedbający o zbawienie duszy i obojętny na głos sumienia. Nazywał się on Tundal (Tungdalus). Życie pędził rozwiązłe i starannie kościół omijał. Pewnego dnia za biesiadniczym stołem u swego dłużnika padł, jak gromem rażony. Dostrzeżono jeszcze słabe objawy życia i zostawiono go na kilka dni. Minęło 4 doby i już miano przystąpić do pogrzebu, gdy nagle rycerz powstał z łoża i opowiedział struchlachłym przyjaciołom, czego był naocznym świadkiem.

Dusza Tundala porzuciła ciało i ujrzała się samotną wśród nieznanéj pustyni. Strach ją opanował, kiedy ze wszech stron zaczęli się do niéj zlatywać złe duchy i szarpali a naigrawali się bez litości. Zjawienie się cudnéj piękności młodziana (anioła) rozproszyło oprawców. Anioł kazał Tundalowi iść za sobą. Wędrowcy ujrzeli kotlinę pokrytą żarzącemi się węglami, na których siedzieli potępieńcy. Zwęglone członki odpadały, zastępowane nowemi a z niemi i nowe katusze. Tu cierpieli zabójcy duszy i ciała. Nieco daléj znajdowała się góra, a na niéj z jednéj strony buchał płomień, drugą śnieg i lód okrywał. Oprawcy hakiem ciągnęli swoje ofiary z jednéj strony na drugą; tak karano wiarołomców. Przez las, ogołocony z liści i strzeżony przez dwóch olbrzymów, dochodzi rycerz ze swym przewodnikiem do wąskiego mostu, zawieszonego nad przepaścią; tylko wybrani przejść przez niego mogli; grzesznicy zaś stawali się pastwą potwora Acherona, którego paszcza 9000 uzbrojonych mężów pomieścić mogła. Nasz rycerz przechodził wszystkie wymienione wyżéj męczarnie, ale tu, kiedy go anioł opuścił, a dyabli wciągnęli do paszczy potwora, sądził się zgubionym. Powtórne zjawienie się posłańca niebios zmusiło piekielne siły do opuszczenia nieszczęsnego rycerza. Krocząc wśród ciemności daléj, wędrowcy ujrzeli ognisty potok, napełniony ogromnemi „jak wieża“ potworami. Tu stałe miejsce pobytu bluźnierców. Nad potokiem węższy od poprzedniego most, najeżony żelaznemi kolcami. Tundal musi przejść i prowadzić za sobą rozjuszoną krowę, którą kiedyś odebrał ubogiemu sąsiadowi. Z wielkim mozołem doszedł nasz rycerz do połowy mostu, kalecząc nogi o ostrza i gdy od bólu i zmęczenia omdlewał, niebiański przewodnik go uzdrowił i od upadku uchronił.

Nieco daléj w ognistym domu widział Tundal niepowściągliwych i nieumiarkowanych w jadle i napoju. Za domem, który anioł Phi-

strinus nazywa, nabawia naszego rycerza strachu potwór ze skrzydłami, z długim żelaznym dziobem, ziejącym płomienie, i z pazurami. Siedząc w błocie, pożérał on potępionych, przetrawiał i wyrzucał, żeby znowu pochłonąć. Potępieńcy obojga płci wydawali na świat węże, które nielitościwie ich gryzły; byli to duchowni, niepomni wzniosłych obowiązków swego stanu. Następnie czarni kowale kują naszego rycerza, a potém bawią się nim, jak piłką. Z rozpalonéj studni, gdzie doświadcza on kary za zmysłowe grzechy, staje Tundal przed obliczem Lucypera.

Czarny, z ludzką twarzą i ciałem, z tysiącem rąk, z żelaznemi pazurami i ogonem, opatrzonym żelaznemi kolcami, leży książę ciemności na rozpalonych węglach, otoczony tysiącami swych podwładnych. Dysząc, wchłania on miliardy dusz, a potém je z ogniem i dymem wyrzuca z paszczy. W ten sposób karani są książęta i potentaci, bo „możnych można téż czeka kara“.

Doświadczywszy wszystkich mąk piekielnych, uczuła dusza Tundala skruchę i została przez anioła wyprowadzona z piekła. Idąc za swym przewodnikiem, dostrzegła ona bardzo wysoki mur, za nim pod ciągłym deszczem stali mężczyźni i kobiety cierpiący głód i pragnienie: to opieszali oczyszczają się ze swych grzechów. Nieco daléj, na kwitnącéj łące, zdala od tronu Najwyższego i oblicza świętych, błądzą w wiecznéj tęsknocie ludzie, co nic złego nie robili, ale i cnotami zajaśnieć nie umieli, i grzesznicy, którzy w godzinę śmierci pokutowali. W pysznym pałacu, błyszczącym od złota i drogich kamieni, w towarzystwie ubogich biesiaduje potężny król; trzy godziny na dobę musi on gorzéć w płomieniach za to, że raz złamał wiarę małżeńską.

Nakoniec Tundal dochodzi do bram niebieskiéj Jerozolimy. Za srebrnym murem słyszy on śpiéwy wiernych małżonków, za złotym, siedząc na tronach, śpiewają Alleluja męczennicy pańscy. W namiotach z purpury i złotogłowiu grają na złotych harfach, cytrach, cymbałach i t. d. świątobliwi mnisi. Firmament okrywają tysiące aniołów ze złotemi rószczkami i kielichami w ręku, a cudna melodya brzmi w powietrzu. Pod olbrzymiém rozłożystém drzewem, obciążoném kwiatami i owocami, widzi Tundal obrońców kościoła i fundatorów. W pałacu z drogich kamieni używają wiecznych rozkoszy łagodni i pokornego ducha. Tundalus poznaje tu czterech znajomych biskupów. Przed oblicze Najwyższego nie może stanąć nasz rycerz; anioł żegna go nauką moralną i skruszony Tundal wraca na ziemię.

Wizya ta, jak zaznaczyłem wyżéj, na szczególne wyróżnienie zasługuje. Fantazya autora nie szczędzi barw dla odmalowania całéj grozy piekielnych katuszy; układ i wiele szczegółów zbliżają tę wizyę do „Bo-

skiéj Komedyi". Piekło Tundala przechodzi okrucieństwem Dantejskie; tortury wykonane są z amatorstwem, właściwém wiekom średnim i dla spotęgowania męczarni potępieni muszą się przyglądać szczęściu wybrańców („żeby więcéj cierpieli", dodaje anioł). Komicznego elementu, dającego u Dantego możność czytelnikowi zapomniéć o płonących stosach i kałużach krwi — nie ma ani śladu; wszędzie panuje ton surowy, zaprawiony nieubłaganą zemstą. Ciekawy szczegół o krowie, którą Tundal musi wlec za sobą i sam most — nieznane są Dantemu, ale mają prawo obywatelstwa w wielu bardzo wizyach. Dla względów estetycznych mógł Dante pominąć ten utarty ustęp. Zestawienie epizodów „Boskiéj Komedyi" z wizyą Tundala dowodzi wielkiéj wspólności pomysłów [1]).

Poświęcimy parę słów czyśćcowi św. Patryka i wizyi św. Alberyka.

Już w VI w. istniało podanie, że św. Patryk, patron i apostoł Irlandyi, pragnąc utwierdzić w wierze swych ziomków-pogan, wprowadził ich przez jaskinię do królestwa cieniów; niezwłocznie po powrocie, poganie pośpieszyli się ochrzcić. W XII w. jaskinię św. Patryka zwiedził rycerz Owen, którego nie mogły odwieść od powziętego zamiaru przestrogi biskupa. Najpierw wchodzi nasz wędrowiec do schludnego klasztoru, gdzie znajduje kilku mnichów, którzy mu dają zbawienne rady, jak się zachowywać w czasie wędrówki. Mianowicie ostrzegają go, żeby nie upadał na duchu i w ciężkich okolicznościach wzywał imienia Chrystusowego. Zaledwie Owen zdołał próg klasztoru przestąpić, gdy tysiące dyabłów zleciały się i zaczęły się nad nim pastwić; Owen odmawia modlitwy i oprawcy opuszczają go. W piekle widzi ukrzyżowanych i przez węży kąsanych grzeszników (zbójcy Dantego), obnażonych i wystawionych na podmuchy wiatrów i zamarzłych w lodzie potępieńców (Farinati Ugolino); rycerz musi przejść przez wąski most i oglądać olbrzymiego potwora, którego paszcza zieje ogień. Oryginalność stanowi ogniste koło, na którém torturują nieczystych; dyabli starają się rzucić naszego rycerza do ognistego potoku, ale on w porę wzywa pomocy boskiéj. Nakoniec Owena dwaj arcybiskupi na czele olbrzymiéj procesyi wiodą do raju; ogląda on rozkosze wybranych, ale do nieba wstępu on nie ma i od podwoi musi wracać na ziemię.

---

[1]) Wyd. wizyi Tundala, Schade: Visio Tungdali a Halle 1769; najlepsze nowe Wagnera 1880; włoski tekst u Villari: Antiche leggende e tradizioni; fragmenty u Mussafii Appunti: sulla visione di Tungdoli. Vienna 1875.

Do XII wieku należy sławna wizya św. Alberyka, napisana na górze Kassino w 1127 r. i tak popularna, że znajdują ją na freskach starożytnego kościoła niedaleko od Fossa. Młody Alberyk wstępuje do piekła w towarzystwie św. Piotra i dwóch aniołów; widzi on lubieżnych wędrujących po gładkiéj szybie lodu, występne niewiasty ciągnione przez cierniste zarośla, zabójców zanurzonych do roztopionego metalu, bluźnierców w ognistym potoku i występnych duchownych, winnych symonii, w bezdennéj studni. W głębi piekła znajduje się potwór pochłaniający tysiące dusz. Na rzece, stanowiącéj granicę smutnego państwa, znajduje się most, który ściągał się lub rozciągał stosownie do potrzeby, zatrzymując grzeszników i pozwalając przejść wybranym. Św. Piotr porzuca na chwilę naszego mnicha; korzystają z tego dyabli, porywają go i rzucają w płomienie; nagle zjawia się jego przewodnik i stawi naszego wędrowca przed trybunałem Najwyższego. Grzesznik wygląda tu kary; występki jego są zapisane w księdze, którą anioł zemsty trzyma. Ale łza skruchy, wylana w godzinę śmierci, przyniesiona przez anioła miłosierdzia, zaciéra potępiające pisma. Daléj na równinie, okrytéj kwiecistym kobiercem, wznosi się zanurzona w promieniach światła góra ziemskiego raju, w którym tysiące błogosławionych używają rozkoszy. Młody mnich przechodzi nawet sferę planet i niebo gwiazd, żeby oglądać cuda nagromadzone przed obliczem stwórcy. Tam św. Piotr żegna go, rozkazując opisać tę wizyę [1].

„Boska Komedya“ należy do tych genialnych utworów, które bez komentarzy obejść się nie mogą, a nawet nie mogą bez nich być czytane. To też kwestya jéj źródeł jest bardzo ważną i niejednokrotnie w bieżącém stuleciu stawała się przedmiotem badań. Jeżeli się uda rozstrzygnąć wszystkie wątpliwości w tym kierunku, to dzieło Dantego ulegnie pewnéj analizie naukowéj. Znajomość szczegółów biograficznych szczególniéj jest tu niezbędna. W kwestyi, którą potrąciliśmy, ostatecznym wynikiem badań będzie wskazanie, że wszystkie szczegóły „Boskiéj Komedyi“ zapożyczone są z poprzedzających ją wizyi.

Czy taka analiza powagi i wartości samego dzieła nie obniży? Czy dowiedzie, że pochwały tyle wieków przypadające w udziale trylogii Dantego są przesadzone? Czy sława nieśmiertelnego Florentczyka nie dozna uszczerbku? Zastanówmy się nad tém.

Główną zaletą geniuszu nie oryginalność pomysłów i tematów stanowi; wybiéra on prawie zawsze motywa, które nigdy nie przestaną

---

[1] Po raz pierwszy wydał ją w 1814 r. Cancellieri (Rzym).

interesować ludzkość. Stare, jak świat, miłość, nienawiść, cnota i występek poruszają dotąd ze sceny teatru ciekawych widzów. W wymowie Bossueta nie ma nic zgoła, czegoby ten mówca ojcom kościoła nie zawdzięczał; w „Boskiéj Komedyi“ nie ma nic, czegoby wieki średnie nie znały. Religijne malarstwo od siedmiu w. wydaje arcydzieła, nie rozstając się z Chrystusem i Bogarodzicą. W poezyi temat z prastaréj a żywotnéj tradycyi jest nawdzięczniejszym. Nie nowość treści jest właściwością geniuszu. Wyróżnia go z gminu natchnienie i wielka praca. Z niekształtnego kamienia, na którym pasterz pilnuje trzody, Buonorotti stworzy Mojżesza. Długo wędrowały po świecie dziecinne niemal podania legendy, z których śmiały się dzieci, a tłum kaleczył, opiewając niezgrabnemi rymami i dodając czasem niezbyt estetyczne epizody, wędrowały, nie obchodząc nikogo. W końcu XIII w. żył we Florencyi człowiek wzniosłego umysłu, z nabytą przez długą i mozolną pracę wiedzą, wielkiego serca, nie złamanego bolesnemi zawodami w najdroższych nadziejach. Ten człowiek wcześnie dojrzewa, kocha i zapala się do wielkich czynów; ma on pragnienie wiedzy i pochłania wszystko, co mu współczesna nauka dać może a wzbogaca swój głęboki umysł doświadczeniem. Nakoniec zaszczepiono mu głęboką wiarę, która mu dyktuje nieśmiertelne dzieło. Co przeciętnego człowieka onieśmiela, przyprowadza do rozpaczy, niekiedy potrąca do występku — to zwróciło Dantego do wieczności. Nie mając odpowiedniéj sfery działalności w życiu publiczném, znajduje on ukojenie w twórczości. W swe olbrzymie dzieło wkłada on wszystkie siły swéj wielkiéj duszy, cały zasób miłości, oburzenia, natchnienia i nauki. I dzieło jego nie przestaje dotąd wzbudzać zachwytu i podziwu. Rzecz dziwna, ciekawe i wzniosłe poematy rycerskie, cykl okrągłego stołu, św. Gral, Lancelot, prace Eschenbacha i inne, współczesne Dantemu kreacye, ulegały najrozmaitszym losom i, zmieniając zewnętrzną szatę a niekiedy i treść, zstępowały do najniższych sfer. Nie trudno odgadnąć, jaki je los spotkał: miejsce podniosłych kreacyi zastąpiły liche przeróbki, gdzie nie pozostało ani śladu talentu autorów. Późniejsze zaś utwory nie mogły zyskać szerszéj wziętości i nie przestąpiły ciasnéj sfery. Dante tylko ze swoją trylogią był zawsze popularnym i zawsze nietykalnym; żaden śmiałek nie targnął się zmienić choć jedne słowo w „Boskiéj Komedyi“; i dzisiaj znają Dantego we Włoszech żebracy, ale nie popularyzują go. W tym średniowiecznym gmachu nie można dotknąć drobnego szczegółu, bo plan z drobiazgową starannością jest wykończony. Z lichych powiastek, wirujących oddawna w powietrzu, złożył Dante wspaniałe dzieło i wycisnął na całości piętno swego geniuszu na pożytek i zbudowanie potomności.

Nic nadto geniusz nie może. Nie ma on zadania wprowadzać w obieg nowe prawdy. Znajduje on niekiedy rozproszone rezultaty wiekowéj myśli ludzkiéj; przypadek zwróci jego uwagę na błahe w oczach innych zjawiska, a talent odkryje w nich nieznane piękności i w harmonijną całość ułoży [1]).

*L. Szepielewicz.*



[1]) Najlepsze prace o źródłach „Boskiéj komedyi": Villari: Antiche legende etc. Pisa. 1865. Labitte: La Div. Com. avant Dante. R. d. d. M. 1842. Ozanam: Dante et la Philosophie catholique i Des sources poétiques de la Div. Com. (Dzieła, tom V). D'Ancona: I precursori di Dante. Firenze. 1874.



# ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Ad. Bartoli: „Storia della letteratura italiana,“ t. VI, cz. 2, Firenze, 1889 r.

Kto się interesuje literaturą włoską, a więc i Dantem, z przyjemnością przeczyta książkę prof. Bartolego, jednego z pierwszorzędnych znawców literatury dantejskiéj i bardzo trzeźwego a światłego krytyka. Dzieła, poświęcone Dantemu, są tak liczne, że ująć w system rozmaite teorye i przypuszczenia jest rzeczą bardzo trudną. Nadto bezwzględna admiracya dla Dantego częstokroć zaślepia krytyków i komentatorów nawet nowoczesnych i raczéj oddala ich od prawdy, niźli do niéj zbliża.

W książce, o któréj mówimy, prof. Bartoli mówi o polityce i historyi w „Boskiéj Komedyi“, o religii Dantego, o technice i znajomości natury tego poety, oraz o chronologii dzieł jego. Wszystkie te kwestye są dla historyka literatury nader ważne i od należytego ich wyświetlenia zależy i należyte zrozumienie nieśmiertelnego dzieła włoskiego poety.

Mówiąc o polityce i historyi Dantego, Bartoli zwraca naszą uwagę na to, że poeta na wypadki i osoby spoglądał okiem wygnańca, skrzywdzonego przez współrodaków i nawet przez towarzyszów niedoli. Szczególną zaś niechęć, oprócz florentczyków, żywi do mieszkańców Sieny. Sympatyami politycznemi tłómaczyć należy umieszczenie niektórych osób, mało lub wcale w historyi niezasłużonych, w czyścu i raju i wymierzanie niektórym nieprzyjaciołom cięższych kar, niźli, o ile wiemy z kronik, zasłużyć oni mogli. Z 79-ciu osób, umieszczonych w piekle—32 florentczyków i 43 toskańczyków, pochodzących z rozmaitych miast (najwięcéj—4—bolończyków, 4 przypada na inne prowincye). W czyścu znajdujemy tylko czterech florent-

czyków i 15 toskańczyków. W raju umieścił poeta dwóch współrodaków.

Cyfry te świadczą wymownie, że wielki poeta, kreśląc wspaniały obraz naszéj przyszłości, nie miał na celu bezwzględnéj prawdy; z gniewem i oburzeniem wypowiada on to, co go boli, a boli go najwięcéj krzywda doznana i to poniżenie, w jakiém swą ojczyznę widział.

Wiadomo, że kościół średniowieczny w ogóle niewiele miał do zarzucenia wielkiemu florentczykowi, jako chrześcianinowi, i wśród książek na indeksie nigdy „Boska Komedya“ nie była zapisana. Wiarą głęboką w dogmata, obok wielkiéj ostrożności w obec niektórych tajemnic, nacechowana jest książka Dantego; trudno więc robić z poety, jak o to się kusili niektórzy krytycy, poprzednika reformacyi; a jednak, jeżeli zwrócimy uwagę na nieprzyjazny stosunek do papieży i ich świeckiéj władzy, oraz na to, że umieszczając ich w najcięższych mękach piekielnych, systematycznie ignoruje następców św. Piotra w raju (lubo wiedział poeta, że znalazłby wśród papieży niemało świętych) i przemilcza o nich tam, gdzieby wspominać był powinien (np. mówiąc o Karolu W., nie mówi o Leonie), — w obec tego wszystkiego, powiadam, nasuwa się pewna wątpliwość, co do szczerości wszystkich wyznań wiary poety. Pochodzi to najprawdopodobniéj stąd, że Dante razem z lepszemi umysłami swego wieku marzył o reformie kościoła i kleru, t. j. o ulepszeniu obyczajów bez naruszania dogmatów. Kurya rzymska w owe czasy nie dawała dobrego przykładu, a polityka jéj bardzo często była naganna. Poeta widzi źródło złego w tém, że miecz spoczywa obok pastorału, t. j. w świeckiéj władzy papieża, „w darze Konstantyna.“

Podziwiając stronę techniczną „Boskiéj Komedyi,“ p. Bartoli zwraca uwagę na niektóre drobne usterki. Do nich należą niektóre neologizmy, niezawsze udatne, pewna zależność od rymu i używanie, gwoli temuż, słów małoznaczących i zaciemniających sens i znaczenie tercyny, nakoniec niektóre niewyszukane rymowania, często się powtarzające. Wyświetlenie tych nielicznych usterek wpływa na należyte ocenienie technicznych zalet poezyi Dantego.

Dante posiadał wrażliwość na wpływy piękna przyrody w większym stopniu, niźli jakikolwiekbądź z włoskich poetów do Leopardi'ego. Pod tym względem często bywa on nieporównanym. Żaden drobny szczegół nie uniknie jego uwagi. Za to brak mu wielkiéj subtelności psychologicznéj i pod tym względem porównać go z Szekspirem nie można.

Kwestye chronologii „Boskiéj Komedyi“ są bardzo zawiłe. Wszystkie daty są tylko prawdopodobne. Nie chcąc obarczać uwagi

czytelnika szczegółami, nadmienię, że „Boska Komedya“ za życia poety mało, lub nawet wcale nie była znana i dopiéro po śmierci unieśmiertelniła imię Dantego na wsze czasy.

Książki Bartoli'ego o Dantem, obok wielkiéj literackiéj wartości, są prawdziwą nitką Aryadny dla tych, którzy z literaturą dantejską w głównych jéj prądach poznać się zechcą.

*L. Sz.*

---

Prochaska dr. Antoni: „Materyały archiwalne wyjęte głównie z Metryki Litewskiéj od 1348 do 1607 roku.“ Lwów, 1890, 4-to, str. VIII, 212.

Zbiór dokumentów, którym p. Prochaska powiększył obecnie szereg wydawnictw historycznych, był już gotowy przed kilkunastu laty, a dopiéro teraz dzięki ofiarności hr. Jerz. Borkowskiego stał się dla wszystkich przystępnym. Obejmuje on 289 numerów, z których 137 podanych jest w całości, reszta zaś w wyciągach. Obok dokumentów z archiwaliów Metryki Litewskiéj pomieszczono tu 38 numerów, zebranych z innych archiwów: hr. W. Baworowskiego (7), z muzeum Rumiancowa (2), z kopiaryuszów Trzebiciana i Rosa, znajdujących się w archiwum kapit. przemyskiéj (14), z biblioteki publ. w Petersburgu (3) i in. W zbiorze tym nie znajdujemy dyplomów do „ważniejszych momentów i dat historycznych“, ale mamy tu akta odnoszące się do sądownictwa, dokumenty lokacyi wsi i miast na prawie niemieckiém i średzkiém, w ogóle akta, które mogą rozświetlać stosunki wewnętrzne na Rusi, powstawanie wsi i miast i kolonizacyi téj części rzeczypospolitéj, które to prace kolonizacyjne, podjęte przez Kazimierza W. już pod koniec XV w. upadają.

Poraz pierwszy spotykamy się tutaj z księciem Mytkiem, synem Symeona, księcia Druckiego, któremu Wład. Jagiełło zapisuje w roku 1425 (mylnie na str. IV-éj r. 1420) nr. 53-ci 60 grzywien na żupach przemyskich i drohobyckich (tutaj żupnikiem był „Dzathco iudeus“) i 20 na mycie lwowskiém, drugi raz w r. 1427 (mylnie na str. IV rok 1425) nr. 64,—a zawsze za wierne usługi, na 5 wsiach i dworzyszczach w Grodeckiém i Szczyrzyckiém leżących sumę 300 grz., z obowiązkiem dostawienia na każdą wojnę, toczącą się na Rusi, jednego włóczn. i 4 łuczników na koniach, — ostatni raz w r. 1433, nr. 92, zapisuje król Mytkowi („*dux Mythko de Smolensko*“) 200 grz. na trzech wsiach w Halickiém. Dokument donacyi ostatniéj, jak i wiele innych umieszczonych w „Materyałach“, jest przecięty, świadczy to, że sumy zastawione na dobrach królewskich zostawały potém umorzone. W nr. 71 z r. 1431 wynagradza Jagiełło Ziemowita, ks. mazowieckiego, za to, że w walce króla ze Świdrygiełłą wyświadczał nie małe posługi.

Szczegóły o Jagielle podają jeszcze n-ra 15, 46, 96, a inne o Władysławie Warneńczyku, Kazimierzu Jagiel. Spora wiązanka znajdzie się tu także wiadomości do historyi rodów XV w., Tarnowskich, Oleśnickich, Odrowążów Sprowskich i t. d.

Dokumenta donacyjne, wydawane przeważnie za zasługi publiczne lub wierną służbę, wskutek czego powstawały nowe rodziny, świadczą o hojności Jagiellonów w rozdawaniu dóbr koronnych; ale z drugiéj strony mamy wskazówskę (nr. 210), że w razie, gdy szlachta obowiązków donacyą zastrzeżonych nie wypełniała, traciła nadanie. Największa ilość aktów przypada po r. 1402, bo między latami 1386—1507 mamy ich 225, z których 140 dotyczy zastawów i wykupna, 27 lokacyi na prawie niem., nadań jarmarków, wyroki w sprawach handlu z Wołoszczyzną i Tatarami, o które był spór między Lwowem i Krakowem (nr. 18 z 15 marca 1403 r. i nr. 21 z 13 maja 1406 r.), 27 potwierdzeń aktów prawno-prywatnych, zapisów wiana i t. d.; z przed r. 1386 jest dokumentów 6.

Wydanie „Materyałów“ odznacza się wierną dokładnością w oddawaniu pisowni dokumentów. Przeważnie na każdéj karcie dokumentów, drukowanych w całości, spotykamy po kilka razy *sic*. Nie ma jednak pod tym względem jednéj miary, wiele wyrazów (np. gagys nr. 64 . . . .) nie jest niém opatrzonych. Również niewłaściwie przywiléj Kazimierza W. z r. 1348 znajduje się pod r. 1393, t. j. w potwierdzeniu tegoż przez Władysława Jagiełłę, gdyż winien być na miejscu jego regestu pod nr. 1, tak samo dokument z r. 1443, znajduje się w potwierdzeniu pod r. 1509 (nr. 229), tém bardziéj, że nr. 5 i 82, stanowiące właściwy przywiléj i jego potwierdzenie, są rozdzielone. Brakuje zupełnie indeksu rzeczowego, który w obec charakteru „Materyałów“, objaśniających kwestye prawa polskiego, był potrzebny. Brak ów nie da się usprawiedliwić tém, że p. P. na początku „Materyałów“ dał ogólną wskazówkę na charakter tychże. Większa połowa dokumentów (152) podana jest w regestach, szczególniéj od r. 1508 aż do końca wszystkie, prócz 3, a są one krótkie i podobnie jak treść dokumentów w języku polskim spisane. *Ad. Ch-l.*

---

## NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

---

— *Boirac Emil.* **Zasady filozofii**, tłómaczył *Adolf Dygasiński* (Warsz., T. Paprocki). Charakter téj książki, t. j. jéj układ, sposób przedstawienia rzeczy jest bardzo podobny do wydanéj przed rokiem, również w tłómaczeniu p. Dygasińskiego „Historyi cywilizacyi“ Seignobosa. Jasność w określeniach, zwięzłość w wykładzie, przedmio-

towość w ocenie są cechami „Zasad filozofii,“ których autor nie ma pretensyi budowania jakiegoś nowego systemu, lecz stara się w sposób przystępny dla osób średnio-ukształconych podać zasadnicze pojęcia o „królowéj nauk,“ któréj 5 działów: psychologią, logikę, etykę, metafizykę i historyą filozofii zawarł w swém dziele. Wydane dotychczas dwa zeszyty przekładu polskiego, dokonanego starannie, zawierają na 192 stronach prawie już całkowity wykład psychologii. Podręcznik ten może wybornie zastąpić jedyną dotąd u nas książkę przedstawiającą całość filozofii, wydaną w 1862/3 w tłómaczeniu Eleonory Ziemięckiéj p. t. „Przewodnik filozofii.“

---

= *H. Taine.* **O metodzie.** Przełożył z piątego, poprawionego przez autora, wydania *Ludomir Grendyszyński*, przedmowę napisał *Adam Mahrburg* (Warsz. i Petersburg, 1890, str. 109). Jestto wyjątek, stanowiący zamkniętą w sobie całość, z dzieła Taine'a p. n. „*Les philosophes classiques du XIX siècle en France*“; określa w sposób żywy, malowniczy, zajmujący, kwestye, które zdawałoby się, że tylko sucho i abstrakcyjnie traktowane byćby mogły. Rzecz ta stanowi wymowny dowód, jak umié wielki talent, gruntowną wiedzą wzmocniony, najbardziéj nawet oderwane rzeczy przystępnie dla każdego wyłożyć; wzór to wyborny popularyzowania pojęć filozoficznych. Przyswojenie téj pracy wyszło bardzo na dobie. Poprzedza je dobrze, gruntownie napisana rozprawa p. Mahrburga o eklektyzmie francuskim i stosunku Taine'a do filozofii współczesnéj. Książeczkę tę gorąco polecamy uwadze czytelników.

---

= **Joachim Lelewel w Bruksellі** przez *Henryka Merzbacha* (Poznań, 1889, str. 49). Broszura ta zawiera serdecznie skreślone wspomnienia p. Merzbacha, od lat wielu księgarza w Bruksellі, z osobistych stosunków ze znakomitym historykiem naszym. Nowych rysów do poznania usposobienia, charakteru i przyzwyczajeń uczonego nie dają nam one wprawdzie, lecz ilustrują już znane świéżemi barwami, dorzucają kilka drobnych szczegółów do życia człowieka, zajmującego tak wydatne miejsce w dziejach cywilizacyi naszéj. Nie powtarzając ich tu za autorem, przytoczę tylko jednę znamienną drobnostkę, malującą nam dosadnie znaną skądinąd skłonność Lelewela do wywodów etymologicznych. Mówił tedy nasz uczony w r. 1856 częścią z powagą, częścią z humorem sobie właściwym: „Gdym przybył do Belgii, pierwsze miasto, którego nazwa mnie uderzyła, Bruksella, to bezwątpienia słowiańskiego pochodzenia: Brusiłów, z przedmieściem Skarbek (Schaerbeek). W wędrówce narodów Słowianie natrafili na poczciwe plemię zamieszkałe nad morzem, które przyjęło ich po bratersku. Po

bratali się z niém, stąd Bretania. Wsiedli na statki, długo szukali. Nareszcie dobili do lądu, stąd Londyn.—Ja sam, jadąc nad Ren, zatrzymałem się w Düsseldorfie. Tu nie ma na nieszczęście nic słowiańskiego, myślę. Ale idę zamyślony na przechadzkę. Nagle mocny zapach torfu dochodzi mnie i dusi. Zakrztusiłem się... Dusił cię torf, stąd Düsseldorf. Oto czysto polska etymologia" (str. 27). Obok takich są tu poważniejsze i ważniejsze wspomnienia, nadają książce wartość i zapewniające jéj poczytność.

---

= Cennego wielce wydawnictwa **Prac filologicznych** wyszedł nowy zeszyt (2-gi tomu III-go) i zawiera kilka bardzo interesujących rozpraw i materyałów. Wymienić tu najprzód wypada artykuł p. Baudouin de Courtenay: „O ogólnych przyczynach zmian językowych", daléj ogłoszony przez p. Antoniego Kalinę i pod względem językowym rozpatrzony dyalog z rękopisu wieku XVI p. n.: „Prostych ludzi w wierze nauka"; rozmówcami są: pleban i „podawca" (t. j. kolator). Następnie zaznaczymy dwie prace charakteru słownikowego: p. Aleksander Berka podał „Słownik kaszubski porównawczy", p. J. S. Ziemba „Słownik prowincyonalizmów powiatu będzińskiego." Wreszcie p. Stanisław Ciszewski napisał „Przyczynek do studyów nad słoworodem ludowym." Dział rozbiorów i sprawozdań jest bardzo obfity w tym nowym zeszycie; dostarczyli ich pp. Kryński, Malinowski i Jan Łoś. Sprawozdaniu tego o pracy B. Delbrücka („*Altindische Syntax*") można zarzucić rozwlekłość i schematyczność; daleko pożądańszą byłoby rzeczą streścić od siebie rezultaty, do jakich doszedł autor niemiecki, niż podawać zawartość kolejnych paragrafów.

---

= **Geneza Grażyny** przez *W. A. Bruchnalskiego* (Lwów, 1890, str. 23). Rozprawka ta autora, znanego już z kilku sumiennych prac na niwie historyczno-literackiéj, porusza przedmiot zajmujący, a dotąd mało rozjaśniony, mianowicie historyczne źródło powstania „Grażyny." Pomiędzy krytykami i komentatorami panowało dotąd zgodne przekonanie, że temat poematu tego wzięty jest z fantazyi, że historya ani tradycya nie przekazały wypadku opiewanego w „Grażynie" i że jedynie tło, na którém Mickiewicz rozsnuł swą opowieść jest historyczne. Wiadomo jednak, że poeta przed napisaniem tego poematu czynił ścisłe studya historyczne w kronikach polskich i pruskich, że rozczytywał się w Stryjkowskim, Gwagninie, Kromerze, Kotzebuem i Beckerze, pragnąc jak najwierniéj odtworzyć w swym poemacie dziejowe tło zamierzchłéj epoki. Ten ostatni szczegół spowodował p. Bruchnalskiego, że postanowił, idąc śladami wskazówek zawartych w przypisach do „Grażyny," zbadać wątpliwość tę

i rozstrzygnąć pytanie, czy i o ile osnowa „Grażyny“ oparta jest na fakcie historycznym. W badaniu tém dopomógł autorowi rękopis „Grażyny“ przechowany w zbiorach K. hr. Przezdzieckiego. W rękopisie tym są odmiany w nazwiskach osób głównych, poemat ma tu tytuł „Korybut książę Nowogródka“; Litawor przezwany jest Korybutem i nosi to miano do chwili, w któréj wyrusza do boju, odtąd bowiem dopiéro nazywa go poeta Litaworem. Grażyna zwie się „Karyną“, Witold zaś w całym poemacie od początku do końca nazwany jest Kiejstutem. Otóż w XIII i XIV-ym rozdziale „Kroniki“ Stryjkowskiego znalazł autor szczegółowo opisany zatarg między Dymitrem Korybutem Olgierdowiczem, księciem nowogrodzkim, a Kiejstutem, wielkim księciem litewskim. Rozdziały owe opowiadają nieco inaczéj dzieje zatargu i ostatecznéj wyprawy książąt, ale nie ulega wątpliwości, że one służyły za podstawę poecie do osnucia konturów „Grażyny.“ Właściwą część fabuły, mianowicie historyę zatargu między Witoldem a Korybutem, zaczerpnąć mógł Mickiewicz, zdaniem p. Br., tylko z kronik pruskich Lindenblatta i Wiganda, bo one jedynie dochowały wzmiankę o wyprawie na Lidę. Mickiewicz w kilku punktach odstąpił od historyi, mianowicie kazał Korybutowi sprowadzać Krzyżaków, gdy według kronik uczynił to Kiejstut, tudzież odmiennie zupełnie skreślił koniec życia Korybuta, który nie zginął na stosie pod Lidą, lecz wzięty został wówczas do niewoli i zginął dopiéro w 6 lat późniéj w bitwie z Tatarami. W drugiéj części swéj pracy roztrząsa autor kwestyę, dlaczego Mickiewicz pozmieniał historyczne imiona bohatérów swéj powieści na zmyślone. Wywody swe w tym kierunku opiéra autor na przypuszczeniach, które lubo ostatecznie nie rozwiązują pytania, jednak mają wiele cech prawdopodobieństwa. I tak, zmianę nazwiska Korybuta na Litawora, tłómaczy autor w ten sposób, że Mickiewicz uczynił to ze względu na osobiste stosunki z rodziną Chreptowiczów, u których w Szczorsach bawił w zimie 1821 r. tam wedle zapewnień Chodźki pisał „Grażynę,“ a wywdzięczając się za gościnne przyjęcie i w uznaniu zasług szanowanéj rodziny, nazwał bohatéra swéj powieści ich przydomkiem. W rysach charakteru drugiéj wybitnéj postaci, w Rymwidzie widzi wielkie podobieństwo do Wojdyłły, doradcy Olgierdowego, którego charakterystykę podał Stryjkowski. Co do postaci saméj Grażyny, to obok wskazanego przez p. Chlebowskiego podobieństwa do Kloryndy w „Jerozolimie“ Tassa, odnajduje autor także wiele rysów wspólnych ze Zorą, bohatérką romansu Floryana „Gonzalw z Korduby.“ Zora, podobnie jak Grażyna, „imała się rycerskich zabaw i dobywała oręża w razie potrzeby,“—dowiodła tego bohatérskim czynem, wyzwawszy na pojedy-

nek hiszpańskiego wojownika Larę, który wziął do niewoli jéj męża, Izmaela. Końcowy epizod pojedynku i zgon Izmaela żywo przypomina tragiczny koniec Grażyny i Litawora, i zdaje się nie ulegać wątpliwości, że Mickiewiczowi epizod rzeczony z powieści Floryana żywo utkwił w pamięci i wyobraźni, i załamanym promieniem odbił się w „Grażynie.“ *P.*

---

= **Epigrammat Kochanowskiego** (Dodatek do artykułu H. Kopii p. t. „Trzy epigramaty Kochanowskiego“, „Ateneum“, 1888, IV, 402—404). W notatce wyżéj wymienionéj zwrócił p. Kopia uwagę na trzy epigramaty pióra wieszcza z Czarnolasu, umieszczone na czele słownika łacińsko-polskiego Jana Mączyńskiego z r. 1564-go. Dwa ostatnie t. s. polskie znane były już innym badaczom, co do trzeciego to zdawało się panu K., że przezeń został „wydobyty z ukrycia.“ Tymczasem, jeśli owe znane były historykom literatury, żyjącym w naszym wieku, to łaciński ten epigramat przypomniał publiczności czytającéj XVII w. ojciec tychże, Szymon Starowolski. W słynném bowiem i cenném swém dziele „*Scriptorum Polonicorum* Ἑκατοντάς; *seu centum illustrium Poloniae scriptorum elogia et vitae*“ (Francoforti, 1625), podając pod N-rem LXVI (str. 87) biografią Mączyńskiego, którego z łacińska zwie „Macinius“, wyraźnie wspomina, że w liczbie przyjaciół tego filologa, do których należeli znany Karol Sigonius, Turnebus, Ursinus, był téż „Jan Kochanowski, poeta sarmacki, który ze względu na przyjaźń ich łączącą, taki na jego Słownik łacińsko-polski napisał epigramat.“ Następuje teraz sześciowiersz, tylko w interpunkcyi i pisowni różniący się nieco od tekstu podanego przez p. K. Dowodzi to, że już Starowolski znał ten wiersz w źródle, t. j. owym Słowniku, co popiera i ta okoliczność, że wspomniany przez p. K. dystych Roysiusa także Starowolski przytoczył, jako po epigramacie Kochanowskiego, umieszczony w Słowniku. Sądziłem, że warto podnieść drobny ten szczegół, wskazujący, że nie tak prędko u nas zapomniano o Kochanowskim, a raczéj o dziełach jego, choćby drobniejszych (gdyż o nim samym w panegirykach XVII w. często spotykałem się z jego nazwiskiem i epitetami jaknajpochlebniejszemi), a zarazem stanowiący choć drobny przyczynek do charakterystyki Starowolskiego, jako historyka literatury. *Franciszek Krček.*

---

= **Podręcznik metryki łacińskiéj i greckiéj do użytku szkolnego** ułożył *Marcin Sas.* Kraków. Nakładem autora. 1889. duża 8-ka str. 39. Na samym wstępie uderza nas brak przedmowy: prawda, że zwykle na 100 pojawiających się książek 90 zupełnie zbytecznie nosi przedsłowia często długie i szumne, ale książeczka p. Sasa należy do

téj dziesiątki, która zasługuje na to wyszczególnienie. Życzylibyśmy sobie krótkiéj przedmowy nie dla tego, żeby autor w niéj wyłuszczał powody, które go skłoniły do napisania swego podręcznika: bo to może być potrzebném w literaturze filologicznéj niemieckiéj, francuskiéj lub angielskiéj; ale u nas tak mały ruch panuje na tém polu, że każdą z zakresu filologii cech nasz wita z radością. Nie dla tego także, żeby autor przedstawiał metodę i zasady, jakich się trzymał: to widać jasno z saméj książki. Ale jeżeli autor odstępuje tu i owdzie od dotychczasowych (zwłaszcza w podręcznikach szkolnych utartych) zapatrywań, jeżeli wprowadza pewne zmiany, to słusznie żądać możemy, aby—nie uzasadniał i bliżéj rozwijał (bo na to nie w przedmowie miejsce)—ale je zaznaczył lub do specyalnéj rozprawy czytelnika odesłał [1]).

Przechodzimy najpierw do szczegółów.

Str. 1. Brakuje określenia pojęcia metryki (w dwojakim kierunku).

§ 4. Naszém zdaniém należy już raz przywrócić terminologię starożytnych: zatém przez ἄρσις rozumiéć część stopy słabą, a przez θέσις mocną.

Str. 4 d. Połączenie kilku szeregów czyli kola w rytmiczną całość nazywa autor wierszem: wolelibyśmy nazywać je peryodem, bo nazwa „wiersz“ może łatwo sprowadzić zamięszanie.

Str. 5. § 18. Należało już tutaj (cf. str. 8 § 24) dodać, że hexametr dakt. składa się nietylko z trypodyj dakt. akat., ale także z tetrapodyi i dypodyi, na które to części składowe wskazuje z jednéj strony τομὴ κατὰ τρίτον τροχαῖον i τ. πενθημιμερής. z drugiéj strony τ. βοσ κολική i τ. ἑφθημιμερής w połączeniu z τριθημιμερής.

Str. 6. § 21. Dla klasycznéj poezyi można z całą pewnością powiedziéć, że hexametr ze spondejem w 5 stopie nie „zazwyczaj“ (jak autor) ale „zawsze“ się kończy wyrazem 3-y lub 4-o zgłoskowym. Nanależało dodać powszechnie używaną nazwę hexam. ze spond. w 5 stopie „*versus spondiacus* (σπονδει άγων, σπονδειακός“).

§ 22, który autor tak stylizuje: „Jeżeli w hexametrze koniec wyrazu zgadza się z końcem stopy, to powstaje dyeresa; jeżeli zaś koniec wyrazu przypada w środku stopy, to powstaje cesura“, praktyczniéj jest naszém zdaniem tak sformułować: jeżeli koniec wyrazu schodzi się z końcem rytmicznego kolon (czyli podział metryczny z rytmicznym), powstaje dyeresa; jeżeli zaś koniec wyrazu wypada wewnątrz kolon (czyli podział metryczny rozrywa podział rytmiczny),

[1]) Czyniąc to za autora cytuję tegoż rozprawę: „O miarach Macieja Kazimierza Sarbiewskiego i o ich wzorach“, umieszczoną w XIII tomie Rozpraw i Spraw. Wydz. filolog. Akad. Um., Kraków, 1889 str. 83.

powstaje cezura. Odpowiednio do tego oznaczałbym tylko τ. πενθημ., ἐφθημ., κατὰ τρ. τροχ. i βουκολ. (τριθημ. występuje tylko dodatkowo przy ἐφθημ.), zaś wszystkie inne, jako i tak mające wartość teoretyczną, śmiałobym pominął.

Str. 9. W uwadze należało pomieścić § 41, albo przynajmniéj zaznaczyć, że t. z. *versus hypermeter* (autor téj nazwy nie przytacza) polega na § 41; a to tém więcéj ze względu na § 44 Uwaga.

Str. 16. Rozdz. IV. Należało dodać, że peryod, składający się z 2 trypodyi dakt. kat. nazywa się zwykle pentametrem nazwa ta naturalnie jest niewłaściwą, ale wobec *usus* panującego w szkolnych wydaniach i metrykach, całkiem jéj wyrzucać niepodobna—przynajmniéj do czasu.

Str. 18. § 51. Nie można wprost twierdzić, że u Homera forma zewnętrzna wiersza nie jest zastosowana nigdy do myśli (czyli, że § 25 nie ma zastosowania w poezyi hom.): często tak jest rzeczywiście, ale często wyraźnie chodzi o efekt rytmiczny.

Str. 24. § 70. Część tego § o skandowaniu wierszy daktyl. można było podać jeszcze w § 18.

Str. 26. § 75. Należało dodać, że takie niewymierne jamby, zwykle nazywają spondejami; wyróżnianie niewymiernego trybrachu jest wobec § 76 uw. 1, gdzie mowa o daktylu cyklicznym, niepotrzebném (przynajmniéj dla szkoły!).

Str. 27. Na końcu ustępu o trymetrze jamb. należałoby może wspomnieć o regule Porsona i o σχῆμα Σοφόκλειον.

Str. 32. § 94. 1. Zaznaczenie spondeju w 5 st. hex. i w 3 st. tetram. można było wziąć w nawias (bo są tylko w lir.).

Str. 33. § 97. Można było dodać, że w trym. jamb. ak. mamy anapest w 1 tylko raz, a w 5 dwa razy.

§ 98. Można było dodać, że trym. jamb. ak. wchodzący w skład Syst. *Pyth. alterum* jest t. z. *senarius purus*.

§ 100. Jakkolwiek ref. zgadza się z autorem, że drugą część zwrotki archil. drugiéj należy pojmować w sposób umiejętny, jako i odrębne szeregi, niemniéj należało dodać, że zwyczajnie łączą dym. jam. ak. z trym. dakt. kat. i nazywają wiersz ten *v. iambelegicus*. To samo odnosi się do t. z. *v. elegiambicus* str. 34. § 101. Také można było dodać, że w trym. jamb. ak. mamy raz trybrach w 1, a raz w 5 stopie.

Str. 35. § 104. Należało dodać, że drugi szereg wiersza archil. większego zwyczajnie pojmują jako trypodyę troch. ak. i nazywają *v. ithyphallicus*. Ref. naturalnie zgadza się ze sposobem pojmowania autora, idącego za Westphalem tak w téj jak i innych zmianach.

Str. 37. § 109. Ref. również jest za tém, żeby 3-ci szereg wrotki askl. III pojmować w sposób umiejętny jako dymeter log. brachykat., ale należało dodać zwykłą jego nazwę *Pherecrateus*. Tak samo zgadza się ref. z pojmowaniem (naturalnie trzeba to brać *cum grano salis*: w nauce mniéj więcéj wszyscy tak pojmują, ale chodzi o zastosowanie w szkole) *v. triotophanius* § 116 i wierszy alkaickich tamże. To samo odnosi się do wyrzucenia przez autora t. z. anakrusis.

Ze zrobionych uwag wynika, że błędu treściowego autorowi nigdzie zarzucić nie można: przeważnie chodzi o to, żeby p. Sas ze względów praktycznych uwzględniał owe przestarzałe zapatrywania i nazwy, chociaż je stanowczo potępia (na co się zresztą ref. najzupełniéj pisze). Co do formy zewnętrznéj, to książeczka p. Sasa pisana jest jasno, bardzo zwięźle i doskonale zastosowana układem do potrzeb szkoły: naturalnie potrzeba do niéj nauczyciela, bo nie jest to dziełko dla niedorosłych samouków.

Krótko mówiąc, metryka p. Sasa odpowiada zupełnie swemu celowi, ułożona jest ze znajomością rzeczy, gruntownie i sumiennie, to to téż na uzyskaną od rady szkolnéj aprobatę w pełnéj mierze sobie zasłużyła. *Jan Rozwadowski.*

---

— *Puzyrewskij*, generał-major generalnego sztabu, **Polsko-ruskaja wojna 1831 goda.** Drugie, przerobione, poprawione i dopełnione wydanie. S.-Petersburg, 2 tomy, 1890 r.—Dzieło poświęcone opisowi kampanii z 1831 r. znaném jest naszéj publiczności z pierwszego wydania, które się ukazało w r. 1886 i wkrótce potém zostało przez ś. p. Jaksę Bykowskiego przetłómaczone na język polski. Już pierwsze wydanie zwróciło na siebie uwagę znawców bogatym materyałem źródłowym, oraz tonem przedmiotowym, w którym przebijało się poczucie sprawiedliwości i rzadkie poszanowanie uczuć przeciwnika. Autor wyzyskał bogate archiwum sztabu generalnego w Petersburgu, wczytał się pilnie nietylko we wszystkie urzędowe sprawozdania, lecz i w korespondencye cesarza Mikołaja z obu feldmarszałkami, dowodzącemi armiami ruskiemi w Królestwie.

Generał Puzyrewskij nie poprzestał jednakże na tym niewyzyskanym dotychczas przez historyków materyale, zapoznał się prócz tego z opracowaniami historycznemi i z mnóstwem pamiętników, w jakie zarówno polska, jak i ruska literatura obfitują. Pełność materyału dziejowego, na którym autor oparł swe wywody, jest niezawodnie znaczną, lecz mimo to zakradły się i tu pewne niedostatki. Tak np. dziwném się wydać musi, że autor tak staranny, nie zdołał zapoznać się z pracami generałów pruskich: Willisena i Dallvitz-Canitza, którzy poświęcili kampanii z 1831 roku całe monograficzne studya. Willisen

zwłaszcza, jest dotąd w literaturze specyalnéj uważany za autorytet, pominięcie więc jego pracy nie może być uważaném za odpowiednie.

Z prac polskich pozostały autorowi nieznanemi dzieła Ludwika Mierosławskiego, fachowego oficera, którego historya kampanii z 1831 roku została oddawna przetłómaczoną na język niemiecki. Również nie znał generał Puzyrewskij książki generała Prądzyńskiego p. t. „Czterej ostatni wodzowie polscy", gdzie się znajduje charakterystyka generałów Chłopickiego, Skrzyneckiego, a po części i Krukowieckiego. Nadto zauważyć należy, że autor przeglądał tylko pobieżnie Barzykowskiego i dla tego nie zauważył, że pisarz ten w V-ym tomie opisał całą kampanię militarną aż do końca. Nawet w ruskiéj literaturze specyalnéj pominął autor dwie prace Okuniewa i Mansurowa, któreby mogły z pożytkiem dla jego dzieła być uwzględnionemi.

Za to wszakże oddał nam generał Puzyrewskij wielką przysługę, przedrukowawszy cały memoryał generała Prądzyńskiego, napisany na żądanie specyalne cesarza Mikołaja w r. 1832 w Gatczynie. Memoryał rzeczony, napisany po francusku, znajdował się w manuskrypcie w archiwum sztabu generalnego, a więc przystępny był dla niewielkiéj liczby badaczów. Obecnie, dzięki generałowi Puzyrewskiemu, możemy się z nim zapoznać, a przestudyowanie memoryału Prądzyńskiego nie jest bynajmniéj bagatelną rzeczą i nawet, zdaniem generała Prądzyńskiego, stanowić on będzie na zawsze jeden z najważniejszych dokumentów historycznych do dziejów kampani z 1831 r.

Pod względem naukowym, drugie wydanie pracy generała Puzyrewskiego przedstawia się niewątpliwie pełniéj i gruntowniéj. Jakkolwiek jednak nie zawsze się można zgodzić z poglądami generała Puzyrewskiego, w każdym razie trzeba przyznać, że ton jego pracy jest poważny i przedmiotowy, a traktowanie przeciwnika iście rycerskie. Wobec téż podobnego nastroju autora, giną drobne usterki, a całość pracy przedstawia się bardzo korzystnie. Generał Puzyrewskij obdarzył niewątpliwie literaturę ruską najlepszém dotychczas opracowaniem historyi kampanii 1831 roku, a za sumienne i z dobrą wiarą napisane dzieło należy się mu i od nas podzięka, zwłaszcza, że praca Mierosławskiego jest cokolwiek jednostronną i w tonie podnieconym napisaną.

Opublikowanie memoryału Prądzyńskiego jest, jak powtarzam, dużą dla nas usługą. Memoryał zaś ów uzupełniony zostanie niezadługo inną ciekawą publikacyą, a mianowicie wydrukowaniem obszernych pamiętników Prądzyńskiego, które stosownie do żądania zmarłego generala, kilkadziesiąt lat musiały pozostać w manuskrypcie. Sześćdziesiąt lat, wszakże to epoka dostateczna, aby uspokoić namitę-

ności. Wszystkich główniejszych działaczy pokryła już zresztą mogiła. Prawdopodobnie więc w roku przyszłym ujrzymy pierwszy tom pamiętników generała, którego zdolności podziwiali uczeni wojskowi wszystkich krajów. *A. R.*

---

= *Le prince Lubomirski*, **Histoire contemporaine. Transformation politique et sociale l'Europe,** t. I, Paris, 1889, str. 470. Z tytułu sądząc, należałoby mniemać, że spory i pięknie wydany tom będzie pracą historyczną, poświęconą epoce niedawnéj, bo od roku 1851 się rozpoczynającéj. Tymczasem książki powyższéj historyą w ścisłém znaczeniu tego słowa nazwać niepodobna. Autor nie wskazuje bynajmniéj źródeł, z jakich czerpał treść do swéj pracy, a natomiast zawiadamia czytelnika, że jest z pochodzenia polakiem...

Jak widzimy, oświadczenie powyższe, nie zastąpi znajomości źródeł, a dowód wymowny tego mamy w obszernéj przedmowie i samym tekście dzieła.

Autor w opowieści historycznéj podaje same znane i pospolite fakty, notowane niewątpliwie w dziennikarstwie współczesném. Historyozoficzne zdania jego oparte są téż z tego względu na bardzo nikłéj podstawie. Niekiedy książę Lubomirski powołuje się na swe osobiste wspomnienia, lecz z nich bynajmniéj nie możemy odgadnąć męża stanu. Z licznych audyencyi, jakie autor miał miéć u papieża Piusa IX-go, nie ma śladu historycznych owoców w tomie pierwszym, a reminiscencye z domu gry w Monaco dziejom przekształceń europejskich nie wiele przyniosą pożytku. Jedném słowem, stykanie się księcia Lubomirskiego z wysoko w hierarchii europejskiéj postawionemi osobistościami nie rzuca na historyę XIX-go wieku jaśniejszych promieni, a obszerny tom pierwszy może uchodzić zaledwie za dość skrzętną kronikarską robotę, czerpaną z poważniejszych współczesnych dzienników. *A. R.*

---

= *Hermann Kuntz*, **Der polnisch-russische Krieg 1831**, Berlin, 1890, 1 tom. Pierwsze wydanie dzieła Puzyrewskiego wywołało w literaturze niemieckiéj nowe studyum fachowego oficera, poświęcone kampanii z roku 1831. Zdaje się jednak, że autor nie przestudyował należycie ruskiéj pracy i tylko ważniejsze wyjątki miał na niemiecki przetłómaczone. Znajomość zaś innych źródeł historycznych także nie była zbyt wielką. Dla historyi téż kampanii z r. 1831 książka Kuntza nie przynosi nowych spostrzeżeń, ani gruntowniejszéj krytyki. Spotykamy się jedynie z apodyktycznemi sądami, które w wymotywowaniu wniosków pozostawiają niekiedy dużo do życzenia. Ton lekceważący, czasem wyniosły, nie licuje z powagą pracy. W każdym ra-

zie znajdują się i uwagi głębsze, które książce zapewnią należyte uwzględnienie w literaturze. Do publikacyi ważnych, tak jak dzieło Puzyrewskiego, książka Kuntza zaliczoną być nie może. *A. R.*

---

— **Poczet najstarszych pieczęci** szlachty polskiéj z tematów runicznych (z 48 figurami w tekscie) zestawił *dr. Franciszek Piekosiński*. (Odbitka z „Wiadomości numizmatyczno-archeologicznych“ Nr. 1, styczeń 1890). Krak. 1890, 8-o, str. 24. Zasłużony wydawca tylu naszych zabytków dyplomatycznych i prawnych obdarza nas nowym przyczynkiem do poznania dawno ubiegłéj przeszłości. Najstarsza z ogłoszonych tu pieczęci należała do komesa Gniewomira, zmarłego w r. 1185, najpóźniejsza — sędziego Jakusza Wolskiego — wisi przy akcie z r. 1379. Cztery zabytki sfragistyczne dochowały się nie w odciskach przy aktach, lecz w oryginalnych tłokach: jeden należał do Sulka, kasztelana krak., drugi dwustronny do komesa Degnona, ostatni do Pawła de Drochza. Do niniejszego pocztu pieczęci dołączył autor wyobrażenie znaku na pieniążku z wypisaném imieniem Sieciecha. Patrząc na te doskonałe rysunki, któremi tekst został zaopatrzony, trudno nie wyrazić żalu, że autor poznajomił nas z pewną tylko, szczupłą kategoryą pieczęci; taki bowiem specyalista jak dr. Piekosiński, mógłby wzbogacić piśmiennictwo nasze historyczne kompletną sfragistyką polską, któraby winna sięgać przynajmniéj aż po koniec XVI stulecia.

---

— W ósmym tomie „Pamiętnika wydziału filozof.-hist. Akademii umiejętności“ profesor *Stanisław Smolka* pomieścił obszerną pracę pod nap. „**Najdawniejsze pomniki** dziejopisarstwa rusko-litewskiego,“ w któréj rozebrawszy krytycznie tak zwany Latopis Litewski, wykazuje, że nie jest to pomnik jednolity, lecz składa się z pięciu odrębnych zabytków: *a*) Rocznik Smoleński 1395—1418 r., *b*) Rocznik Smol. z lat 1432—1446, *c*) Kronika Smol. z wstępem o panowaniu Witołda, *d*) Historya Podola, wreszcie *e*) Latopis w. książąt litews., zawierający w sobie: α. akt urzędowy i β. jego kontynuacyą do r. 1396, z powsuwanemi w nią pod koniec kilkoma wtrętami. Na czele całego zabytku, którego powstanie wiąże p. Smolka z osobą metropolity Herasima, miał stać rocznik Włodzimierski.

Ten sam przedmiot roztrząsał powtórnie *dr. Antoni Prochaska* w pracy zatytułowanéj „**Latopis Litewski**. Rozbiór krytyczny“ (Lwów, 1890, 8-vo, str. 58), gdzie oddawszy należne pochwały bystrości spostrzeżeń d-ra Smolki, rozważa szczegółowe jego wywody i wielokrotnie ściéra się z nimi. Wyniki, do jakich doszedł, streszcza p.

Prochaska w ten sposób, że Latopis Litwy obejmował w sobie: 1) kontynuacyę aktu urzędowego „*Origo regis Jagyelo*“ do 1395 roku; 2) ustęp o Podolu; 3) pochwałę Witołda; 4) opis wojny między Zygmuntem Kiejstutowiczem a Świdrygiełłą. Wszystkie te części, pisane epizodycznie, powstały w kancelaryi litewskiéj prawdopodobnie pod jedném piórem w latach 1449—1451, które miało przed sobą roczniki Smoleńskie 1386—1449 r., korzystając z nich w części opisowéj.

---

= **Wisła** (miesięcznik geograficzno-etnograficzny pod kierunkiem literackim Jana Karłowicza). Tom IV-ty: kwiecień, maj, czerwiec, tworzy duży zeszyt (od str. 289 do 517) z rysunkami, przedstawiającemi spinki góralskie. Znajdujemy tu: 1) przełożony z czeskiego „Szkic dziejów antropologii“ przez *Lubora Niederlego*, 2) obszerną pracę *Romualda Łazęgi* „Ziemia Chełmińsko-Michałowska,“ 3) dalszy ciąg „Systematyki pieśni ludu polskiego“ przez *Jana Karłowicza*, 4) „Przyczynki do pieśni dziadowskiéj o bitwie pod Wiedniem r. 1683“ przez *Zygmunta Wolskiego*, wreszcie liczne podania, klechdy, przesądy i bajdy. Jak zwykle, mamy tu dział „Poszukiwań“, odnoszący się do rozmaitych działów ludoznawstwa i starannie prowadzoną rubrykę „Bibliografii, krytyki i wiadomości bieżących.

---

= Wyszedł świéżo z druku ósmy zeszyt „**Wielkiéj encyklopedyi** powszechnéj ilustrowanéj“ (str. 457—520), zawierający część litery *A* (Akrotion—Albani). Zdobią ten zeszyt kolorowana tablica, na któréj widzimy jamochłonne zwierzęta, zwane ukwiałami (*Actinidae*), i wielki drzeworyt, wyobrażający akwaryum morskie. W tekście pomieszczono liczne drobniejsze drzeworyty. (Cena zeszytu kop. 50).

---

= *Dr. Antoni Małecki* ogłosił dwa spore tomy swoich „**Studyów heraldycznych**“ (Lwów, Gubrynowicz i Schmidt; Warszawa, Gebethner i Wolff; 1890, 8-vo, str. 351 i 399). Z ważnego dzieła tego mamy zamiar podać czytelnikom naszym obszerniejsze sprawozdanie.

---

= Mamy przed sobą cztery książeczki, przeznaczone dla ludu: 1) **Jurgis Durnialis**, opowieść wiejska przez *Brolisa*, 2) **Na służbę bożą**, opowiadanie przez *Bronisława Grabowskiego*, 3) **Nasi wrogowie i przyjaciele wśród ptaków**, Z. K. Wodzickiego i W. Taczanowskiego, wybrał *M. Brzeziński* i 4) **Maszyny parowe i koleje żelazne**, dla ludzi wiejskich napisał *W. Olszewski (M. Brzeziński)*. Nie wielkie to broszurki (mają po str. 44, 46, 78, 48), więc nie mogą drogo kosztować, zaopatrzone rysunkami, zgóry przeto zaciekawić są zdolne wieśniaka

i do czytania go zachęcić. Nie wątpimy téż, że czytane będą z zajęciem i pożytkiem, zwłaszcza że na ostatniéj z nich czytamy wyrazy: „Wydanie drugie“. Byłoby pożądane, żeby ludzie, którzy nie wątpią, iż oświata jest ludowi potrzebna, przyczyniali się do rozpowszechniania książeczek powyższych, jako téż i innych, staraniem tegoż wydawnictwa już ogłoszonych, a których liczba wynosi półkopy zgórą. Znaleść je można wymienione na okładce każdéj książeczki

---

= Zeszyt 122 **Słownika geograficznego** Królestwa Polskiego (str. 81—160) wyszedł z pod prasy i zawiera między innemi artykuły: Soroki, Sosnowiec, Sosnówka, Soż, Spa, Spicymierz, Spiż, Sprynia, Srocko, Sroda.





# KRONIKA MIESIĘCZNA.

4 lipca.—Kto był tam i jak to było, —Wpływ pogrzebu na wybory do miejskiéj. — Uprzykrzona spuścizna po Metternichu. — Dwa świadectwa: o narodowości Mickiewicza i o wyznaniu. — Co to jest sekta. — Polski zamach stanu w Paryżu. — Kogo winić należy.—Pod złym adresem.—Reforma szkolna.—Niepoprawni nauczyciele.—Zabawy dziecinne na placach publicznych.—Kolonie żydowskie w powiecie trockim i na Podolu.—Henryk Silberstein.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Rozprawy nad reformą szkolną w prasie ruskiéj, o których pisaliśmy przed kilku miesiącami, już się skończyły, gdyż reforma szkolna uzyskała sankcyę. Charakter szkół właściwie nie przeinaczył się wcale. Zmniejszona została tylko liczba godzin języków starożytnych. Prócz tego usunięte być mają całkowicie egzaminy piśmienne z niektórych przedmiotów; *extemporalia* zaś, t. j. tłómaczenie z języka wykładowego na grecki i łacinę, przeszły do ciężkich wspomnień przeszłości.

Ostatnia reforma oczywiście jest bardzo pomyślną i była bardzo pożądaną. *Extemporalia* wisiały nad uczniami jak miecz Damoklesa, stanowiły przeszkodą do patentów i pokusę do przykrych nadużyć. Ale pozostało wiele braków szkolnych, których żadna ustawa usunąć nie jest w stanie, a na które prasa nawet urzędowa wskazywała z wielkim naciskiem. Najważniejszym czynnikiem w nauczaniu są i być muszą zawsze nauczyciele. Jeżeli oni zreformować nie zechcą praktyki swojéj, wszelkie przepisy pozostaną martwą literą. A tego nieco obawiać się można. Wnosząc z ostatnich egzaminów, wymowne filipiki najkompetentniejszych publicystów i profesorów, napomnienia ministrów i Rady państwa pozostały bez żadnego wpływu i skutku, tematy egzaminowe, zadania, metoda i surowość egzaminowa były

takież same jak zawsze. Co wobec tego znaczy usunięcie kilku godzin łaciny!

Dobrzeby było, żeby prasa nie przestała zajmować się i nadal sprawami szkolnemi, chociaż prawodawstwo teraz już przez lat kilka lub kilkanaście dotykać ich nie będzie. Może z czasem by to poskutkowało. Nie można polegać na organach specyalnych, gdyż te zwykle—u nas przynajmniéj—nie są wcale czytane.

Doświadcza tego „Przegląd pedagogiczny“ z wielką stratą dla ogółu. Zaznaczaliśmy już dawniej, jakim głosem bez echa było wezwanie organu nauczycielskiego w sprawie ogródków szkolnych. Miesiąc znowu temu tenże Przegląd poruszył sprawę zabaw dziecinnych na placach publicznych dziecinnych w Warszawie.

Roztrząsnąwszy sprawę tę teoretycznie, t. j. jakie znaczenie zabawy podobne mieć mogą pod względem hygienicznym i moralnym, autor, p. J. Wł. Dawid, zaznacza, iż w krajach innych na kwestyę tę zwrócono uwagę, u nas zaś panuje stale wielka obojętność, jak gdyby nikt troszczyć się nie chciał, czy wysyłając z domu syna lub córkę na świeże powietrze, nie naraża się ich na niebezpieczeństwo dla zdrowia i dla charakteru.

Najpopularniejszém może miejscem zabawy dla dzieci od lat kilku jest Ogród Zoologiczny. Redaktor „Przeglądu pedagogicznego“ jaknajbardziéj stanowczo powstaje przeciwko prowadzeniu tam dzieci. Zaduch z wyziewów tylu zwierząt nabawić musi w końcu wszystkie dzieci bólu głowy. Miejsca jest mało, to téż niepodobna urządzić żadnéj istotnie hygienicznéj i kształcącéj gry (w piłkę, gonitwy, kroketa, wolanta i t. d.). Mniéjwięcéj toż samo powiedziéć można o ogródku prywatnym w Alejach Ujazdowskich.

Zachodzi więc potrzeba zajęcia się wynalezieniem miejsca i uorganizowaniem zabaw dziecinnych. A nie należy zapominać o jednym bardzo ważnym warunku: zabawy te winny być dostępne dla wszystkich warstw. Wstęp do ogrodu zoologicznego kosztuje za drogo.

W jednym z ostatnich N-rów „Słowa“ znajdujemy artykuł, pisany w Wilnie, p. t. „Rolnicy żydowscy“. Autor, opierając się na przykładzie kolonii żydowskich w pow. trockim, twierdzi, iż osiedlanie żydów na roli udać się nie może. Poniszczyli oni tylko gospodarstwa, wytępili lasy, zapuścili ziemię, a pootwierali szynki, kradną konie i t. d.

Nie zwracalibyśmy uwagi na tę korespondencyę, gdyby nie okoliczność, że dziś tego rodzaju fakty mogą mieć szczególne znaczenie. Jak wiadomo w najwyższych sferach prawodawczych na porządku dziennym oddawna już stoi sprawa ograniczeń pobytu żydów na wsi.

Korespondent „Słowa“ wiadomości swoje czerpie ze źródła urzędowego, mianowicie z raportu p. Zadorskiego, urzędnika ministeryum dóbr państwa. Niewiemy czy śledztwo zwróciło uwagę na wykrycie szczegółowe przyczyn nieudania się kolonizacyi żydowskiéj w powiecie trockim, pomiędzy któremi mogą być czasowe i miejscowe, czy też, podobnie, jak korespondent „Słowa“, z góry złożyło je, bez dowodzenia, na właściwości rasy semickiéj, czy rodu żydowskiego.

Przeciwko podobnemu tłómaczeniu zjawiska możnaby przytoczyć wypadki rezultatów wprost przeciwnych osadzania żydów na roli w innych okolicach. Ostatniemi czasy miałem możność dokładnego poznania bardzo szczegółowych danych o koloniach rolniczych w gub. podolskiéj, w powiecie, jeżeli mnie pamięć nie myli, bałckim. Tam istnieją osady żydowskie: Abazówka, Gliniany i t. d. Żydzi sami od lat wielu uprawiają rolę (w Abazówce istnieje 90 gospodarstw), prowadzą gospodarstwa porządnie, zbierają z desiatyny nie mniéj od sąsiadów chrześcian; słowem, mamy rezultat całkiem odmienny, niż w pow. trockim.

W początku ubiegłego miesiąca zmarł zagranicą na kuracyi Henryk Silberstein, doktor chemii, znany ze swoich prac czysto naukowych i dziennikarskich. Życie jego nie było bardzo wesołe. W zamiarach i planach jego jaśniała karyera naukowa, miał po temu dużo warunków: zdolności, wiedzę i chęci, ale... potrzebował pracować na chléb powszedni. Nauka czysta chleba nie daje. Musiał się dwoić, męczyć... i marnieć. Sił miał nie wiele, długo nie wytrzymał. Niech mu ziemia będzie lekką.

*Lus.*



# POLEMIKA.

Z powodu artykułu p. Tadeusza Zaleskiego pod tyt. „Łódź i Moskwa", drukowanego w zeszycie czerwcowym r. b., p. W. Swiatłowskij nadesłał redakcyi „Ateneum" następującą poprawkę:

„P. Zaleski pisze, że wkrótce po ukazaniu się sprawozdania pp. Iljina i Łangowego, wydrukowałem w „Warszawskim Dniewniku" kilka artykułów pod napisem „Fabryczny przemysł Królestwa Polskiego", w których cytowałem ważniejsze ustępy z tego sprawozdania i wyraziłem swe niezadowolenie z wniosków autorów sprawozdania.

„Artykuły, o których tu mowa, podpisane są nazwiskiem *Wewesa* i wcale nie rozumiem, jakim sposobem p. Zaleski, wbrew zdrowym tradycyom literackim, pozwala sobie utożsamiać ów podpis z mojém nazwiskiem. Oprócz téj osobliwości dodam, że autor pomienionych artykułów nigdzie żadném słowem nie wyraził niezadowolenia z wniosków pp. Iljina i Łangowego, o którém mówi p. Zaleski. A więc i to zdanie p. Zaleskiego okazuje się zupełnie bezzasadném i niezgodném z prawdą.

Proszę przyjąć zapewnienie i t. d.

W. Swiatłowskij
Inspektor fabryczny okręgu warszawskiego."

Na zarzuty powyższe p. Zaleski przysłał takie wyjaśnienie:

Pan Swiatłowskij, tutejszy inspektor fabryczny, zarzuca mi, że jakoby wbrew wszelkim tradycyom literackim utożsamiam jego nazwisko z pseudonimem *Wewes*, położonym jako podpis pod artykułami o „Przemyśle fabrycznym Królestwa", zamieszczonemi w NN. 155, 156 i 190 gazety „Warszawskij Dniewnik" r. z. P. Sw. najwidoczniéj zapomniał, że te same artykuły, wydane pod tym samym tytułem dosłownie bez żadnéj zmiany w broszurce, w Warszawie 1889 r. podpisane są „W. Swiatłowskij". Wobec tego mam najzupełniejsze prawo utożsamiać, w tym wypadku p. Sw. z pseudonimem *Wewes*.

Co do tego, że zarzucam kłamliwie panu Sw. niezadowolenie z wniosków pp. Iljina i Łangowego, do których ci panowie doszli w swojém sprawozdaniu, — niech za mnie przemówi zdanie p. Sw. zamieszczone na str. 19 omawianéj broszury — albo w Nr. 160 „Warsz. Dniewn.“: „Powracając do ciekawego studyum Iljina i Łangowego, nie możemy odżałować—i jest to jedyny zarzut, jaki pozwalamy sobie uczynić szanownym badaczom — nadmiernej ostrożności i łagodności z jaką wskazują środki, które okazałyby się pożytecznemi dla zrównoważenia warunków działalności łódzko-sosnowickiego przemysłu z naszym wewnętrznym okręgiem przemysłowym“. Następnie p. Sw. posyła czułe westchnienia do p. Szarapowa i marzy o zastosowaniu środków przez tegoż proponowanych. To chyba jest zapatrywanie wyraźne, o ile zaś jest wręcz przeciwne poglądom pp. Iljina i Łangowego szanowni czytelnicy „Ateneum“ wiedzą z mojego artykułu „Łódź i Moskwa“.

Nie rozumiem więc celu, jaki sobie zakładał p. Swiatłowskij, pisząc swój protest przeciw memu artykułowi.

*Tadeusz Zaleski.*

---

# NEKROLOGIA.

— **Edmund Stawiski,** syn Jana, referendarza rady stanu Księstwa Warszawskiego, i Alojzy z Biernackich, urodził się r. 1813 we wsi Russowie pod Kaliszem. Nauki przechodził w szkole wojewódzkiéj Kaliskiéj, następnie w szkołach pijarskich w Warszawie, po których ukończeniu słuchał wykładów w uniwersytecie Aleksandryjskim, aż do jego zamknięcia. Studyowanie dzieł w zasobnéj bibliotece domowéj, podróże do Włoch, Niemiec i Anglii uzupełniły jego wykształcenie i wyrobiły wydatne wśród współziemian stanowisko. Od roku 1840 powoływany był przez długi lat szereg na coraz ważniejsze urzędy w Towarzystwie Kredytowém Ziemskiém. Po zawiązaniu Towarzystwa Rolniczego został członkiem kierującego niém komitetu, członkiem istotnie czynnym, zdolnym, pracowitym. On to prowadził redakcyę „Roczników gospodarstwa krajowego“ w najświetniejszym okresie tego wydawnictwa. Nie możemy tu wyliczać wszystkich prac, i posług obywatelskich Stawiskiego, wspomnimy więc tylko, że był on współpracownikiem „Biblioteki Warszawskiéj“, „Kroniki Rodzinnéj“

„Wiadomości archeologicznych“ i t. d. Osobno wyszła praca „Poszukiwania do historyi rolnictwa krajowego“ (1858 r.). Stawiski zmarł 9 lipca r. b. w Podłężycach w Sieradzkiem.

= **Henryk Silberstein** ur. 1858 roku w Warszawie, gdzie ukończył gimnazyum II-ie w r. 1876; następnie przez lat pięć studyował chemię w Dreznie pod kierunkiem prof. Schmidta; doktorat filozofii otrzymał roku 1882 w Tubindze, poczém w uniwersytecie berneńskim został asystentem prof. Nenckiego i wtedy wygotował obszerną pracę pod tyt. „Synteza alkaloidów“. Po powrocie do kraju ogłosił inną pracę z dziedziny chemii w „Sprawozdaniach niemieckiego stowarzyszenia chemicznego“ w r. 1884 r. Był nadto współpracownikiem kilku pism peryodycznych. „Ateneum“ drukowało w r. 1886 sprawozdanie jego z dzieła J. H. Taylora „O zmyślności i moralności roślin“. Silberstein zakończył krótkie lecz pożytecznie spędzone życie w Gleichenbergu 9 lipca roku bież.

---

## SPROSTOWANIE.

W zeszycie lipcowym r. b. w artykule „Monizm współczesny“ sprostować należy następujące usterki:

| | | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|---|
| Str. | 79, | w 20 od góry, | zamiast: | powołują się, | — winno być: | powołując się |
| „ | 85 | „ 5 „ | „ | ruchy, przechodzą | — „ | ruchu, przechodząc |
| „ | 89 | „ 6 od dołu | „ | to widzimy tu | — „ | widzimy tylko |
| „ | 100 | „ 15 od góry | „ | jak | — „ | jakie |
| „ | 105 | „ 18 od dołu | „ | zresztą | — „ | wreszcie. |

Wydawcy: ***W. Spasowicz*** i ***A. Pawiński***.—Redaktor ***P. Chmielowski.***

Дозволено Цензурою. Варшава, 21 Іюля 1890 г. — Druk Jana Cotty.

# NOWE KSIĄŻKI

## nadesłane do redakcyi „ATENEUM"

### w kwartale II-gim i III-cim 1890 r.

1. *Mikołaja Reja z Nagłowic* **Żywot Józefa** z pokolenia żydowskiego, 1545. Wydał *Roman Zawiliński.* (Biblioteka pisarzów polskich wyd. Akademii umiejętności). Kraków, 1889, 8-o, str. XVI i 224.
2. **Algoritmus** to jest nauka liczby, polską rzeczą wydana przez *księdza Tomasza Kłosa*, 1538. Wydał *d-r Maryan A. Baraniecki.* (Biblioteka pisarzy polskich, wyd. Akademii umiejętności). Kraków, 1889, 8-o, str. XXIV i 56.
3. **Proteus** abo Odmieniec. Satyra z roku 1564. Wydał *d-r Władysław Wisłocki.* (Biblioteka pisarzy polskich, wyd. Akademii umiejętności). Kraków, 1890, 8-o, str. X. i 41.
4. **Wielka encyklopedya powszechna** ilustrowana. Zeszyt V. Warszawa, nakł. i druk. S. Sikorskiego, 1890, 4-o, str. 265—328 (Agatokles—Aix-les-Bains). Cena zeszytu 50 kop.
5. *Kazimierz Gliński.* **Czarodziejka.** Romans. Warszawa, nakł. „Biblioteki Romansów i Powieści", 1890, 8-o, str. 333.
6. **Obrazki szare.** Powiastki i nowelle *Klemensa Junoszy.* Warszawa, nakł. S. Lewentala, (1890), 8-o, str. 375.
7. **Sprawozdanie komisyi fizyograficznéj.** Tom XXIV. Kraków, 1889. (Roślinna szata gór Pokucko-Marmaroskich, napisał *d-r Hugo Zapałowicz*), str. 389 i 6.
8. **Zbiór wiadomości do antropologii krajowéj** wydawany staraniem komisyi antropologicznéj Akademii umiejętności w Krakowie. Tom XIII. Kraków, 1889, str. 62, 245 i 6 tabl.
9. **Rozprawy i sprawozdania** z posiedzeń wydziału filologicznego Akademii umiejętności. Tom XIII. Kraków, 1889, 8-o, str. 436 i XLIV.
10. **„Czytelnia rolnicza"** pod redakcyą *Jana Biedronia.* Marzec, książeczka 2: Jak gospodarze radzić sobie mają w obec braku ściółki. Napisał *Jan Biedroń.* Cieszyn, 1890, str. 24 (cena 10 kop.).
11. **Katechizm Ledesmy** w przekładzie wschodnio-litewskim z wydania wileńskiego z r. 1605 wydał i gramatycznym wstępem i słownikiem opatrzył *d-r Jan Bystroń.* Kraków, 1890, 8-o, str. 132.
12. **Akta Grodzkie i Ziemskie** z czasów rzeczypospolitéj polskiéj z Archiwum tak zwanego bernardyńskiego we Lwowie, wskutek fundacyi ś. p. Aleksandra hr. Stadnickiego, wydane staraniem Galicyjskiego Wydziału krajowego (redaktor *d-r Xawery Liske*). Tom XIV. Lwów, 1889, 4-o, str. XVII i 634.
13. *P. Mantegazza.* **Wiek obłudy.** Tłómaczył *Jan Lorentowicz.* Warszawa, nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki, 1890, 8-o, str. 67 i II.
14. *Edmund de Amicis.* **Na oceanie.** Przekład z włoskiego. Warszawa, nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki, 1890, 8-o, str. 360.
15. **Sprawozdanie** zarządu stowarzyszenia wzajemnéj pomocy subjektów handlowych miasta Łodzi za rok 1889. Łódź, 1890, 8-o, str. 13.

---

**Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.**

